ATOMOWA GORĄCZKA '83
NATO-wskie ćwiczenia „Able Archer" zelektryzowały ZSRS

MALARSKA ZEMSTA
Potomek Jana Zamoyskiego i niezwykły obraz Matejki...

WYŚCIG NA KSIĘŻYC
Astronauta Apollo 7 opowiada o rywalizacji z Sowietami

NR 10(129)/2023 PAŹDZIERNIK 2023

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI



Obrońcy rubieży wczoraj i dziś

WSCHODNIA GRANICA W OGNIU!

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

KONFERENCJA

„Prawna obrona przed polonofobią”

już w październiku!

KŁAMCY PRZED SĄDEM
Jak Polacy bronią dobrego imienia swojego narodu

SKUTECZNA POLITYKA HISTORYCZNA
Czego Polska może się nauczyć m.in. od Izraela

MANIPULACJE, KŁAMSTWA I POMÓWIENIA
Jak działają środowiska wrogie Polsce

EDUKACJA I WALKA O PRAWDĘ HISTORYCZNĄ NA TEMAT II WOJNY ŚWIATOWEJ

Fundusz Sprawiedliwości
Ministerstwo Sprawiedliwości

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 0c302ee7c4

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż)

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon.–pt. w godz. 10–16
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie: www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerami: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Węgierska Górka, maj 1936 r.

Ćwiczenia uczestników obozu Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Lekcja KOP

Zorganizowane grupy przedzierające się na drugą stronę granicy. Ciągły stan niepokoju i ataki na funkcjonariuszy zabezpieczających rejony przygraniczne. Skąd my to znamy? Dziś skala zagrożenia naszej rubieży wschodniej jest – jak na razie – mniejsza niż to, co działo się na kresach II RP w latach 20., już po wygranej z Sowietami wojnie. Ale kto wie, co przyniosą kolejne miesiące i lata? Widać bowiem, że reżimy w Moskwie i w Mińsku chcą zdestabilizować w sposób hybrydowy naszą granicę wschodnią. Początkowo mieliśmy do czynienia z samym przepychaniem migrantów, potem doszły do tego agresywne działania białoruskich pograniczników i innych służb podległych Łukaszence, aż w końcu niedawno nad Białowieżą pojawiły się białoruskie śmigłowce. Służby specjalne Rosji (trzymające białoruskie na smyczy) mają spore doświadczenie w takich działaniach.

Możemy w ciemno zakładać, że podczas szkolenia nowego narybku specsłużb Putina i Łukaszenki omawiane jest to, jak przed wojną Sowieci podpalali wschodnią granicę II RP. Obyśmy już nigdy nie mieli takich problemów na pograniczu – ataki grup dywersyjnych na miasteczka, zabójstwa urzędników i funkcjonariuszy państwowych, napady na pociągi i dwory. Mimo przegranej wojny 1920 r. Moskwa nie przestawała marzyć o zgnieceniu Polski i wciąż siała chaos na pograniczu.

Państwo polskie zareagowało wtedy ze stanowczością – na granicy zamiast Policji Państwowej pojawił się specjalnie stworzony do tego zadania Korpus Ochrony Pogranicza. Wojskowa formacja, która miała zadziałać jak straż pożarna i ugasić pożar na granicy wschodniej. KOP postępował w sposób zdecydowany, nie patyczkując się z sowieckimi dywersantami, co też wkrótce przyniosło pozytywne rezultaty. Dziś o tej lekcji KOP – Moskwa rozumie tylko język siły – powinni usłyszeć wszyscy ci, którzy plują na mundury polskich formacji strzegących naszej granicy wschodniej... ©℗

eprasa.pl 0c302ee7c4



/ TEMAT NUMERU

.6 ARTUR OCHAŁ
Pogranicze w ogniu

.10 TOMASZ STAŃCZYK
Wrześniowe boje KOP

.14 MICHAŁ MACKIEWICZ
Od berthierów do mauserów – uzbrojenie KOP

.16 RADOSŁAW WOJTAS
Królowie rubieży

/ CZASY I LUDZIE

.20 LESZEK LUBICKI
Malarska zemsta Zamoyskiego

.23 PIOTR SEMKA
Obozowe piekło Polaków i Czechów

.26 ANNA SZCZEPAŃSKA
Cesarz po moskiewsku

.30 WALTER CUNNINGHAM
Zdążyć przed Sowietami!

.34 SŁAWOMIR KOPER
Książęce tajemnice

.38 ŁUKASZ CZARNECKI
Usama i krzyżowcy

.42 MIKOŁAJ IWANOW
„Prigożyn" Lenina

.45 ADAM CYRA
Tajna armia rotmistrza

.48 PIOTR TYLUS
Obrzydliwość Woltera

.52 JAKUB OSTROMĘCKI
Atomowa gorączka '83

.56 MAREK GAŁĘZOWSKI
Miał być następcą Piłsudskiego

.60 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Tatarska kolaboracja

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Podwawelska rusałka

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.72 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Kapitalizm zwyrodniały

.73 PIOTR SEMKA
Złota nadzieja

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Sądny dzień Izraela

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Owocne zmiany

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Wszyscy kłamią na wojnie

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Błogosławiona rodzina Ulmów

eprasa.pl 0c302ee7c4



Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ

eprasa.pl 0c302ee7c4

Wywiad / z mjr. dr. Arturem Ochałem, autorem książki „Tarcza II Rzeczypospolitej”



rozmawia Piotr Włoczyk

Pogranicze w ogniu

Żołnierze KOP pełniący służbę nad Niemnem, 1934 r.
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

– Spektakularny atak utwierdził władze wojskowe w przekonaniu, że trzeba jak najszybciej wysłać na wschodnie pogranicze nową specjalistyczną formację, która ugasi „pożar” wywołany przez Sowietów – mówi historyk

PIOTR WŁOCZYK: 19 lipca 1924 r. mieszkańcy przygranicznego Wiszniewa byli świadkami wydarzeń, które musiały mocno podkopać ich wiarę w siłę państwa polskiego. Dlaczego nikt nie bronił tego miasteczka?

MJR DR ARTUR OCHAŁ: Wiszniew był bezbronny, ponieważ na tamtejszym komisariacie służbę pełnił tamtego dnia tylko jeden policjant. Jak pokazało późniejsze dochodzenie, reszta policjantów została podstępem wywabiona z miasteczka. Mieszkający w sąsiedniej miejscowości sprzyjający komunistom sędzia pokoju wezwał tamtego dnia policjantów na przesłuchanie. Pod ich nieobecność sowiecka grupa dywersyjna „Chorążyka” zaatakowała Wiszniew. Miasteczko zostało opanowane w sposób wojskowy – odcięto drogi dojazdowe, przecięta została linia telefoniczna – i napastnicy zaczęli plądrować Wiszniew.

Ilu było napastników?

Około 20. Byli oni uzbrojeni w broń maszynową, co pokazuje, że nie była to „zwykła” banda rabunkowa. Dywersanci po rabunku wycofali się w kierunku granicy polsko-sowieckiej. Podczas odwrotu zorganizowali zasadzkę na ścigających ich policjantów, zabijając komendanta powiatowego i rozpraszając pościg.

W leżących ok. 50 km na południe przygranicznych Stołpcach aż tak łatwo nie było...

eprasa.pl 0c302ee7c4

Do ataku na Stołpce doszło dwa tygodnie później. Napastnicy znów mieli broń maszynową, ale także posiadali granaty. Uderzyli na najważniejsze instytucje, w tym areszt, z którego wypuszczono m.in. działaczy komunistycznych. Policjanci, którzy byli na miejscu, zdołali odeprzeć atak na starostwo i kasę skarbową, ale napastnikom udało się obrabować m.in. pocztę i tartak. Walki w miasteczku trwały ok. godziny. W strzelaninie zginęło siedmiu policjantów i urzędnik starostwa. Bandyci znów uciekli w stronę granicy, gdzie po drugiej stronie mogli liczyć na azyl i wsparcie.



Żołnierze KOP na Polesiu

FOT. ZBIORY ARTURA OCHAŁA

Te dwa wydarzenia przelały czarę goryczy?

Tak, państwo polskie postanowiło zareagować zdecydowanie i stworzyć wyspecjalizowaną formację – Korpus Ochrony Pogranicza. Ale tak naprawdę fala sowieckiej dywersji na pograniczu zaczęła wzbierać już rok wcześniej, w połowie 1923 r. Jednym z powodów pojawiania się problemów z bezpieczeństwem była bez wątpienia zmiana formacji, która pilnowała granicy. Sowieci doszli do wniosku, że wyznaczenie do tego zadania policji będzie dla nich oznaczało łatwiejsze operowanie po stronie polskiej.

Dlaczego to właśnie policja dostała zadanie zabezpieczenia tak trudnej granicy?

Państwo polskie dopiero szukało właściwego modelu ochrony rubieży. Początkowo wschodnia granica ochraniana była przez wojska frontowe. Takie jednostki nie są jednak przygotowane pod względem fachowym i sprzętowym, by odpowiednio zabezpieczać granicę. Nie jest sztuką postawić wartownika przy budce, jeżeli kilkadziesiąt metrów dalej będzie biegł szlak przemytniczy. W 1923 r. Ministerstwo Spraw Wojskowych zadecydowało, że wszyscy żołnierze, którzy zostali zmobilizowani na czas działań wojennych, zostaną odesłani do cywila. Ktoś musiał wypełnić tę lukę. I dlatego w czerwcu 1923 r. na wschodniej rubieży pojawiły się kompanie graniczne Policji Państwowej. A trzeba przy tym pamiętać, że policja w województwach wschodnich była generalnie słabsza niż w zachodniej części kraju. Oprócz tego, że policjanci mieli pilnować granicy i porządku w strefie przygranicznej, mieli też zabezpieczać szlaki kolejowe, mosty i węzły drogowe. To było zbyt duże wyzwanie jak na niewyspecjalizowaną do takich zadań formację, która na domiar złego musiała tam służyć bez podstawowej infrastruktury, jak choćby strażnice.

Gdzie w takim razie bazowali policjanci broniący granic?

Tymczasowe strażnice lokowano w... chłopskich chatach. Często wręcz zmuszano chłopów do dzielenia się swoimi domostwami z policjantami. Jak utrzymać w takich warunkach dyscyplinę i niejawność operowania, jeżeli cała wieś widzi, że policjanci wychodzą na patrol?

Wspomniał pan, że zamiana wojska na policję w strefie granicznej była tylko jednym z powodów zwiększenia aktywności sowieckich dywersantów.

Inna kwestia to sytuacja międzynarodowa. Rok 1923 to ruchawka komunistyczna w Niemczech i w Bułgarii. Komuniści sowieccy myśleli o wsparciu tych ruchów, a Polska była na ich drodze... Zbiegły się tu więc dwie rzeczy: słabość ochrony polskiej granicy i okazja do wzniecenia rewolucji na Zachodzie. Zbyt świeża była porażka w wojnie z Polską, żeby myśleć o interwencji zbrojnej, więc Moskwa stawiała na działalność dywersyjną. Dziś nazwalibyśmy ten rodzaj agresji „wojną hybrydową": destabilizacja sytuacji na pograniczu, próba udowodnienia, że Polska nie kontroluje własnego terytorium. Fala napaści na Polaków z pogranicza osiągnęła swoje apogeum latem 1924 r. i to przelało czarę goryczy. Nawiasem mówiąc, już od początku 1924 r. zaczęto wprowadzać na pogranicze wojsko, by wspomóc policję. Były to jednak działania doraźne. Latem tamtego roku było już oczywiste, że nie jest to skuteczna metoda i trzeba stworzyć nową formację wyspecjalizowaną w zabezpieczaniu tak trudnej rubieży.

Jak wyglądał skład band dywersyjnych?

Częściowo te grupy były zasilane przez sowieckich oficerów, ale część członków rekrutowano spośród osób mieszkających po polskiej stronie granicy. Niektóre ataki miały ewidentny cel polityczny, np. uderzenia na urzędy państwowe. Jednak bandyckie napady miały ten sam efekt – destabilizowały sytuację na pograniczu. Obrabowanie Polaka w dworze wpisywało się więc w działalność dywersyjną, ponieważ podkopywało zaufanie do państwa polskiego.

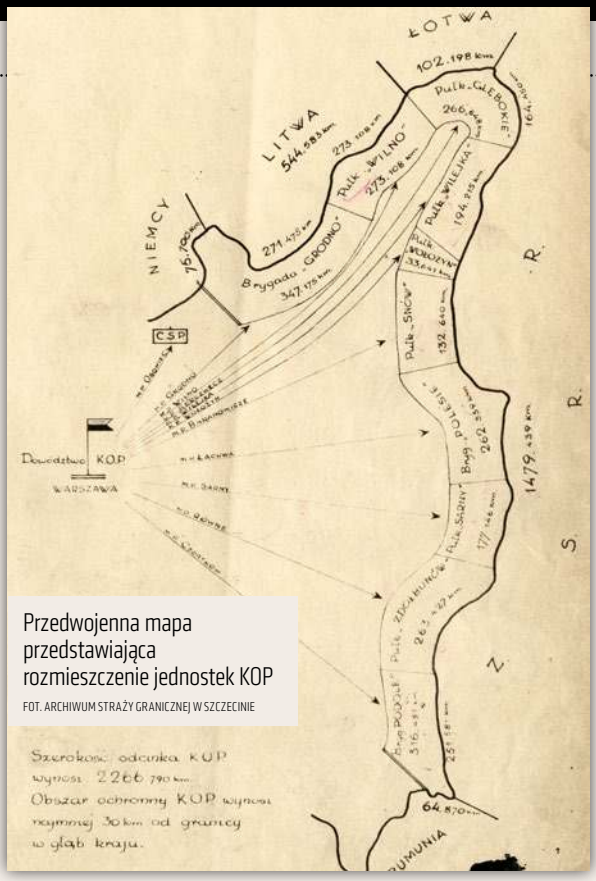
Korpus Ochrony Pogranicza został powołany 12 września 1924 r. Jeżeli ktokolwiek z rządu miał wątpliwości, czy aby na pewno warto inwestować dużo środki w tworzenie tej specjalistycznej formacji, to już półtora tygodnia później zapewne nikt nie miał takich myśli...

23 września pod Łunińcem na Polesiu zaatakowany został pociąg pasażerski. Podróżowało nim kilku znanych polityków, m.in. wojewoda poleski Stanisław Downarowicz. Dywersanci sowieccy przebrali się w mundury polskich kolejarzy i zablokowali tor, minując go. W pociągu było ok. 20 oficerów, żandarmów i policjantów. Najciekawsze jest to, że wszyscy oni, poza jednym funkcjonariuszem, się poddali.

Po obrabowaniu podróżnych wojewoda Downarowicz został rozebrany do kalesonów, to samo spotkało komendanta okręgowego policji Józefa Mięsowicza. Upokorzenia tego oszczędzono na szczęście biskupowi mińskiemu Zygmuntowi Łozińskiemu. Oficer sowiecki dowodzący atakiem wystawił „pokwitowanie" za to, co zrabował. Ustawił się więc w roli

eprasa.pl 0c302ee7c4

urzędnika, który zabrał to, co należy się państwu, które reprezentował. Wojewoda i komendant zostali szybko zdymisjonowani. Oficerów natomiast postawiono przed sądami honorowymi za to, że nawet nie próbowali stawić oporu. O napadzie pod Łunińcem było bardzo głośno w całym kraju – to był cios dla wizerunku Polski. Zdawało się to potwierdzać głosy, że Warszawa nie panuje nad Kresami. Ten spektakularny atak utwierdził władze wojskowe w przekonaniu, że trzeba jak najszybciej wysłać na wschodnie pogranicze nową specjalistyczną formację, która ugasi „pożar" wywołany przez Sowietów.



Przedwojenna mapa przedstawiająca rozmieszczenie jednostek KOP

FOT. ARCHIWUM STRAŻY GRANICZNEJ W SZCZECINIE

Kto stworzył korpus?

Jego pierwszy dowódca – gen. Henryk Minkiewicz, nawiasem mówiąc, mocno skonfliktowany z Józefem Piłsudskim, był bardzo silną osobowością. Nadał KOP specyficzny kształt, wydając jasne zarządzenie: bandy dywersyjne mają być ścigane i zwalczane do skutku, nawet z użyciem siły w celu pozbawienia życia… Pierwszy dowódca wielokrotnie podróżował wzdłuż granicy, doglądał procesu tworzenia formacji, docierał na każdą strażnicę i na miejscu nagradzał żołnierzy. Generał potrafił najlepszym żołnierzom wypłacać nagrody ze swojej własnej pensji!

Widać było, że państwo polskie, wciąż bardzo biedne, nie szczędziło pieniędzy na tę formację?

KOP był bez wątpienia kosztowną formacją. Trzeba było dla niej zbudować całą infrastrukturę graniczną, przede wszystkim strażnice i koszary na zapleczu, takie jak choćby w Dawidgródku na Polesiu. To był spory wysiłek finansowy dla Polski. Marszałek Piłsudski przewidywał, że Rosja bolszewicka będzie największym i stałym zagrożeniem dla Polski, dlatego dążył do tego, żeby ta formacja miała siłę, by sprostać trudnym zadaniom, które przed nią stawiano.

Chociaż widać też, że przynajmniej na początkowym etapie tworzenia KOP próbowano gdzieniegdzie oszczędzić. Pierwotnie planowano wystawienie sześciu brygad dla zabezpieczenia całej granicy wschodniej, w tym pogranicza polsko-litewskiego i polsko-łotewskiego. To był trudny sektor graniczny, ponieważ na Grodzieńszczyźnie i Białostocczyźnie działały białoruskie grupy bandycko-dywersyjne finansowane ze źródeł litewskich. Szybko jednak udało się tam spacyfikować sytuację. Wojska było na tyle dużo, że Litwa zrezygnowała z utrzymywania takich grup.

Gdy gen. Minkiewicz przystąpił do tworzenia 6. brygady, rząd zaczął się wycofywać z pierwotnego planu i dążył do tego, by KOP poradził sobie pozostałymi pięcioma. Dowódca korpusu był jednak nieugięty i udało mu się przekonać władze do realizacji pierwotnych zamierzeń. W ten sposób powstała 6. Brygada KOP „Wileńska".

Na początku lat 30. w KOP służbę pełniło ok. 27 tys. żołnierzy. To jak armia niejednego mniejszego państwa…

Na początku lat 20. kalkulowano, że aby zabezpieczyć samą granicę wschodnią, potrzeba minimum 20 tys. żołnierzy, w tym 500 oficerów. Jak widać, KOP dostał do dyspozycji jeszcze więcej personelu. Przy czym korpus nie miał stałej kadry – żołnierze i oficerowie byli tam kierowani czasowo z armii. Oficer służył w KOP zazwyczaj do czterech lat, a żołnierz dwa lata. Korpus nie prowadził szkolenia rekruckiego, tylko polegał na szeregowych już przeszkolonych w pułkach piechoty armii. Co ciekawe, do KOP nie kierowano żołnierzy wywodzących się z ośrodków robotniczych uważanych za zagrożone indoktrynacją komunistyczną, preferowano natomiast synów chłopskich. Żołnierze strzegący granicy wschodniej musieli być bowiem godni zaufania.

W swojej książce przywołuje pan szacunki prof. Andrzeja Ajnenkiela, według którego tylko w 1924 r. przeprowadzonych zostało ok. 260 akcji dywersyjnych na wschodniej granicy. Jak szybko pojawienie się KOP zmieniło sytuację?

Korpus wszedł do służby z „marszu" i już pod koniec 1924 r. widać, że skala sowieckiej dywersji maleje. Żołnierze są już na pograniczu, pojawiają się sieć strażnic i wsparcie służby informacyjno-wywiadowczej. Bez tego ostatniego elementu nie da się skutecznie zabezpieczać granicy. Oficerowie wywiadowczy, kontrwywiadowczy i do spraw zwalczania przemytu byli absolutnie kluczowi dla prawidłowego działania KOP. Już w początkowym okresie funkcjonowania korpusu jego wywiad był na tyle skuteczny, że na przełomie lat 1924 i 1925 KOP uspokoił pogranicze. Dywersanci wiedzieli, że polscy żołnierze nie patyczkują się z nimi i łatwo jest zginąć. Członkowie band zaczęli kalkulować, czy to się opłaca… Grupy dywersyjne były stopniowo odwoływane na sowieckie terytorium i Moskwa mocno ograniczyła swoją politykę destabilizowania polskiej granicy.

Jak zmieniły się zadania korpusu, gdy udało się już ugasić „pożar" na granicy wschodniej?

KOP zabezpieczał pogranicze pod kątem wojskowym, politycznym i celnym, ale prowadził także działalność społeczno-oświatowo-propagandową. Żołnierze KOP żyli w pewnej wspólnocie z miejscową ludnością. Przy strażnicach zakładano ogródki warzywne, miejscowi dzięki temu mogli podpatrzeć nowinki, jeżeli chodzi o technikę rolniczą. KOP-iści pełnili też rolę ochotniczej straży pożarnej i dokarmiali dzieci z biednych rodzin. Lekarz

eprasa.pl 0c302ee7c4

wojskowy leczył nie tylko żołnierzy, lecz także okolicznych mieszkańców, a weterynarz KOP przy okazji zajmował się zwierzętami z chłopskich gospodarstw. Wszystkie święta kościelne i państwowe ogniskowały się wokół strażnic.

Państwu zależało na zyskaniu przychylności ludzi na pograniczu. W latach 30. KOP-iści szkolili młodzież w ramach Przysposobienia Wojskowego (PW KOP). Ale to wszystko zależało od nastawienia lokalnego dowódcy strażnicy. Musimy pamiętać, że ci podoficerowie mieli bardzo dużą autonomię. I niestety zdarzały się również takie sytuacje, gdy KOP-iści nękali mniejszości, np. rozbierali cerkiew prawosławną, by zbudować kościół katolicki.

Symbolem tych ciemnych kart KOP stała się wołyńska wieś Hrynki, której mieszkańców żołnierze KOP zmuszali do przejścia na katolicyzm... Skąd się brały takie rozkazy?

Nie spotkałem żadnych wytycznych centrali odnośnie do dyskryminowania mniejszości. Dowództwo KOP nie wydawało takich rozkazów. Jeżeli dochodziło do tak skandalicznych wypadków jak właśnie w przypadku wsi Hrynki, to była to inicjatywa lokalnych dowódców. Ponadto Warszawa nie interweniowała, by nie dochodziło już do takich sytuacji.

Czy żołnierze KOP mieli swojego bohatera, kogoś, kto stał się legendą w tamtym środowisku?

Takim człowiekiem niewątpliwie był por. Kazimierz Śledziński. 1 lutego 1926 r. porucznik jechał nocą autobusem w okolicy Klecka, udając się na urlop w Warszawie. Czterech dywersantów napadło na autobus, zabijając kierowcę. Porucznik Śledziński w pojedynkę stanął do walki. Zabił jednego bandytę, a dwóch ranił. Ciężko ranny w twarz sam próbował dojść do jednostki. Odgłos strzelaniny zaalarmował załogę garnizonu w Klecku, która ruszyła w tamtym kierunku. Porucznik Śledziński ciężko chorował po zranieniu i dwa lata później zmarł. Był to pierwszy oficer KOP, który został odznaczony Medalem za Dzielność, ustanowionym specjalnie dla żołnierzy formacji granicznych.

Wspomniał pan, że korpus chronił nie tylko granicę polsko-sowiecką, lecz także litewską i łotewską. Później doszły jednak kolejne zadania.



ARTUR OCHAŁ „TARCZA II RZECZYPOSPOLITEJ"
IPN

To Piłsudski zadecydował o „zagięciu skrzydeł", czyli o wprowadzeniu KOP na pogranicze polsko-niemieckie i polsko-rumuńskie. Celem było oczywiście chronienie flanek formacji. W 1927 r. KOP wszedł na odcinek suwalski, a batalion „Borszczów" przejął odpowiedzialność za fragment granicy z Rumunią.

Który odcinek granicy z Sowietami uchodził za najtrudniejszy?

Jeżeli chodzi o warunki naturalne, to zdecydowanie było to Polesie. Ze względu na brak dróg i bagnisty teren długie odcinki tamtejszej granicy były ochraniane z kładek patrolowych budowanych nad bagnami przez żołnierzy, a służbę często trzeba było pełnić w woderach (długich spodniach ochronnych przeznaczonych do brodzenia w wodzie). Do tego dochodziła plaga meszek i komarów, przez co żołnierze musieli być wyposażeni w specjalne siatki.

Natomiast pod względem zwalczania dywersantów i szpiegów najtrudniejszym odcinkiem była Brama Smoleńska, czyli region wspomnianych już Stołpców, ochraniana przez Pułk KOP „Wołożyn". Po drugiej stronie granicy leżał Mińsk, gdzie wywiad sowiecki był bardzo aktywny.

Na wypadek wojny KOP miał wyznaczone bardzo konkretne zadania.

Korpus miał prowadzić działania osłonowe i opóźniające. Jak to ujął marszałek Piłsudski, miał to być swoisty dzwoneczek sygnalizujący, gdzie naciera nieprzyjaciel. Żołnierze korpusu mieli minować mosty, groble, robić zasieki w lesie, powalać drzewa na drogach. W latach 30. przygotowywani do tego byli wytypowani podoficerowie, tworzono patrole minerskie.

Korpus był częścią składową Wojska Polskiego i po wypełnieniu zadań przewidzianych na pierwsze dni konfliktu miał się przemieścić w głąb terytorium. Na bazie jednostek korpusowych planowano tworzenie większych jednostek – dywizji rezerwowych, które miały być przeznaczone do walk w „drugim rzucie".

We wrześniu 1939 r. korpus zdał egzamin?

KOP nie był w stanie obronić Polski przed miażdżącą przewagą Armii Czerwonej, musimy sobie zdawać z tego sprawę. Jednak żołnierze korpusu podjęli walkę, próbując opóźniać marsz Sowietów.

W marcu 1939 r. część jednostek korpusu została przesunięta na zachód na najbardziej newralgiczne odcinki – wycofano wówczas w głąb kraju kompanie odwodowe z drugiej linii. We wrześniu 1939 r. KOP był więc osłabiony, ponieważ nie tylko została mu odebrana znaczna część lepszego uzbrojenia – m.in. artylerii, broni maszynowej – i środków łączności, lecz także zamiast wyćwiczonych żołnierzy pojawili się rezerwiści, których trzeba było doszkolić. KOP mimo dysproporcji sił podjął walkę wszędzie tam, gdzie było to jakkolwiek możliwe, choć oczywiście w obliczu wojny na dwa fronty niestety nic już nie było w stanie uratować Polski przed klęską.

Dziś na naszej granicy wschodniej znów potrzeba KOP?

Współczesna Straż Graniczna kultywuje tradycje KOP i przedwojennej Straży Granicznej (1928–1939), a niektóre oddziały i placówki noszą imiona wybitnych oficerów i żołnierzy tych formacji. Czerpiemy też naukę z ich doświadczeń w ochronie granicy, dostrzegając wiele podobieństw w agresywnym postępowaniu naszego wschodniego sąsiada w latach 20. XX w., a także obecnie. Dlatego nasze działania muszą być na tyle stanowcze, aby mieszkańcy pogranicza czuli się bezpieczni.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



mjr SG dr Artur Ochał
– historyk, od 1993 r. funkcjonariusz Straży Granicznej, aktualnie pełni służbę w Archiwum SG z siedzibą w Szczecinie, zajmuje się historią polskich formacji granicznych. Autor kilkudziesięciu artykułów i opracowań, m.in. albumu „Tarcza II Rzeczypospolitej. Korpus Ochrony Pogranicza (1924–1939)".

eprasa.pl 0c302ee7c4

17 września–1 października 1939 r. / Od Słuczy do Bugu



Patrol KOP FOT. NAC

Wrześniowe boje KOP



Tomasz Stańczyk

Oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza stawiły zbrojny opór Armii Czerwonej, pokazując światu, że Polacy przeciwstawiają się agresji sowieckiej Rosji

Polska przygotowywała się do dwóch wojen: z Niemcami i Rosją sowiecką. Nigdy jednak nie planowano, że Wojsko Polskie będzie walczyć przeciwko dwóm agresorom. W sierpniu 1939 r. na front nieuchronnie zbliżającej się wojny z Niemcami wysłano znaczną część oddziałów Korpusu Ochrony Pogranicza: pułk kawalerii i 39 batalionów piechoty. Po ogłoszeniu mobilizacji do oddziałów KOP rozlokowanych wzdłuż granicy wschodniej napływali rezerwiści, jednak nie mogli oni wyrównać uszczuplonych stanów oddziałów. W efekcie były one nawet niższe niż pokojowe.

Wiadomości o ataku Armii Czerwonej dotarły do Kwatery Naczelnego Wodza w Kołomyi o godz. 6.10. Dowódca pułku KOP „Czortków", ppłk Marceli Kotarba, poinformował, że Sowieci zajęli już przygraniczne Podwołoczyska nad Zbruczem, Husiatyn i Skałę. Siły Korpusu Ochrony Pogranicza były słabe, natomiast przewaga wroga ogromna. Mimo to podjęto walkę. Polscy żołnierze starali się opóźnić marsz Sowietów.

„Pierwsza decyzja Naczelnego Wodza – pisał we wspomnieniach płk Józef Jaklicz, zastępca szefa sztabu – pada bezpośrednio po otrzymaniu wiadomości o przekroczeniu granicy przez

eprasa.pl 0c302ee7c4

bolszewików. Decyzja ta brzmiała: Bić się!". Marszałek Edward Śmigły-Rydz, jak stwierdzał Wacław Stachiewicz, szef jego sztabu, nie mógł się pogodzić z tym, by nowy agresor bez oporu zajmował nasz kraj, żeby bezprzykładny zdradziecki jego czyn pozostał bez zbrojnej odpowiedzi z naszej strony.

Marszałek nakazał oddziałom KOP cofającym się znad Zbrucza oraz jednostkom znajdującym się w rejonie Seretu stawienie oporu na linii rzeki. Ponadto polecił zniszczyć w odpowiedniej chwili przeprawy mostowe na Dniestrze, szczególnie na drodze prowadzącej do Kołomyi. Spontaniczny opór oddziałów wzdłuż granicznego Zbrucza miał znaczenie nie tylko symboliczne – opóźniał również marsz Armii Czerwonej w stronę Kołomyi, Kut i Kosowa, gdzie przebywali prezydent, rząd i Naczelny Wódz.

Wprawdzie agresorzy uzyskali ogromną przewagę, jednak Sowietom nie udało się z zaskoczenia opanować mostu granicznego w Podwołoczyskach. Wywiązała się zacięta walka, w której zginęło kilkunastu Polaków, a kolejnych kilku poległo na stacji kolejowej. Natomiast strażnica „Dorofijówka" uległa dopiero po ostrzale artyleryjskim. Broniła się także strażnica „Trybuchowce", a gdy opór polskich żołnierzy został złamany, czerwonoarmiści zamordowali jej dowódcę (J.R. Prochwicz, „Formacje Korpusu Ochrony Pogranicza w 1939 roku").

„Strzelanina była bardzo gęsta i raczej bezładna – wspominał jeden z żołnierzy walkę w koszarach w Husiatynie – ale jednak wielu napastników, choć słabo widocznych w pomroce nocnej, padało i nie podnosiło się, ranni czołgali się do tyłu […]. Od czoła koszar kilku osobników przedarło się przez mur otaczający koszary i wtargnęło na parter budynku. Sierżant wezwał dwóch żołnierzy i we trójkę (pobrawszy zapas granatów) ostrożnie zeszli schodami na parter, strzelając przed siebie z karabinów i rzucając granaty. Po około dwudziestu minutach cała trójka wróciła na piętro z lekko rannym w rękę sierżantem, ale przynieśli ze sobą czapkę wojskową i karabin sowiecki" („Wrzesień 1939 na Kresach w relacjach", wybór i oprac. C.K. Grzelak).

Nie podjął natomiast walki batalion „Skałat", którego dowódca, ppłk Franciszek Janusz, otrzymał instrukcje od gen. Aleksandra Narbuta-Łuczyńskiego, dowódcy etapów armii „Karpaty". Polecił on, by oddziały KOP nie stawiały oporu, lecz się cofały. Podobno taką dyspozycję przekazał generałowi… starosta.

„Wycofać się bez walki?"

Generał Wilhelm Orlik-Rückemann, dowódca KOP i kresowiak urodzony we Lwowie, nie czekał 17 września na dyrektywy Naczelnego Wodza. Tak wspominał tamten dzień: „Już po pierwszych wiadomościach o próbach przekroczenia granicy przez bolszewików wydałem zarządzenia przeciwstawienia się energicznego tym próbom. W godzinach późniejszych wydałem rozkazy szczegółowe ustalające sposób walki, organizację oraz zadania oddziałów" (R. Szawłowski ps. K. Liszewski, „Wojna polsko-sowiecka 1939").

17 września żołnierze pułku KOP „Sarny" znajdowali się na stacjach kolejowych i czekali na odjazd na południe, zgodnie z rozkazem Naczelnego Wodza,



Generał Wilhelm Orlik-Rückemann, dowódca KOP we wrześniu i październiku 1939 r. FOT. NAC, ZDJĘCIE KOLOROWANE

który ściągał wszystkie jednostki na przedmoście rumuńskie. Jednak po wiadomości o wtargnięciu wojsk sowieckich do Polski dowódca, płk Nikodem Sulik, wydał rozkaz opuszczenia wagonów



Bunkier w miejscowości Tynne z tablicą poświęconą żołnierzom KOP
FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

eprasa.pl 0c302ee7c4

i udania się na porzucone niedawno pozycje obronne.

Następnego dnia gen. Orlik-Rückemann rozmawiał telefoniczne z Sulikiem, polecając mu opuścić umocnienia i wycofać się w stronę Kowla. Dowódca KOP, zdając sobie sprawę ze słabości sił rozciągniętych i rozproszonych wzdłuż granicy na Polesiu oraz słabego uzbrojenia batalionów, zamierzał wycofać oddziały znad granicy i utworzyć z nich duże zgrupowanie.

Pułkownik Sulik był zdumiony. Zapytał: „Panie generale, wycofać się bez walki?". Orlik-Rückemann zmienił więc nieco swą decyzję. Sulik usłyszał w słuchawce: „Niech się pan broni, dokąd będzie to możliwe, i niech się wycofa, kiedy pan uzna, za Styr i szuka łączności ze mną".

Sarneński Rejon Umocniony wybudowano wzdłuż rzeki Słuczy. Składał się z żelazobetonowych schronów bojowych, wyposażonych w 75-milimetrowe działka przeciwpancerne i ckm-y. W skład rejonu wchodził odcinek „Sarny", składający się z pododcinka „Czudel". W jego ramach znajdował się sektor „Tynne". Sowieci zaatakowali 19 września. Załoga jednego z fortów poddała się, ale w innych miejscach żołnierze KOP kontratakowali.

Kapitan Emil Markiewicz, dowódca 4. kompanii baonu KOP „Sarny", którego żołnierze znajdowali się także w sektorze „Tynne", na pytanie, jak się ma zachować w sytuacji, gdy czerwonoarmiści się wycofują, dostał dosadną odpowiedź od oficera mobilizacyjnego batalionu: „Strzelać, strzelać sku...synów".

Dowódcą sektora „Tynne Wieś" był podporucznik rezerwy Jan Bołbott. Gdy dowódca jednego ze schronów bojowych opuścił go ze swoim plutonem, osłabiając położenie sektora, Bołbott stanowczo zainterweniował i dzięki temu pluton wrócił na pozycję (T. Rodziewicz, „Ppor. Jan Bołbott [1911–1939]").

Wprawdzie przed jego schronem bojowym zalegały ciała już 100 zabitych czerwonoarmistów, ppor. Bołbott meldował, że sytuacja jest krytyczna. „Zapewnia mnie jednakże – wspominał jego przełożony kpt. Markiewicz – że bez względu na to, co by się miało stać, będzie wykonywał powierzone mu zadanie. Duch obrońców jest w tej sytuacji tragicznej – wspaniały".



Major Antoni Żurowski, dowódca batalionu KOP „Bereźne" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Czerwonoarmiści obłożyli sąsiedztwo bunkra Bołbotta papą, którą podpalili. Gryzący dym dusił obrońców, którzy strzelali do nieprzyjaciela, mając na twarzy maski przeciwgazowe.

Bołbott i jego żołnierze nie zamierzali przerwać walki i się poddać. Zginęli prawdopodobnie z powodu wysadzenia schronu przez sowieckich saperów lub eksplozji znajdującej się w bunkrze beczki z paliwem. Podporucznik Bołbott został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari.

Obrona w rejonie miejscowości Tynne trwała do 21 września. Tamtego dnia czerwonoarmiści panowali już w pełni nad polem bitwy i zaczęli likwidować opór w poszczególnych schronach bojowych. Tynne było kresowymi Termopilami. Jak podawał Dariusz Szymanowski w publikacji „Tynne. Historia na nowo pisane", spośród 691 żołnierzy batalionu fortecznego 229, w tym trzech oficerów, poległo, a 36 było ciężko rannych. Część żołnierzy wziętych do niewoli została zamordowana przez czerwonoarmistów.

Walka z dywersantami

W skład zgrupowania KOP wchodził batalion „Bereźne". 19 września, idąc jako straż przednia, żołnierze batalionu stoczyli bój z kilkudziesięcioma komunistycznymi dywersantami o przeprawę na Horyniu w miasteczku Stepań. Wcześniej Ukraińcy rozbroili tam polskich policjantów – dwóch z nich zranili, pozostali zdołali uciec.

Dowódca batalionu, mjr Antoni Żurowski, poderwał swoich żołnierzy do ataku na most i miasteczko. „Chłopcy jak burza z okrzykiem »hurra« wpadli na most, kilku upadło na jezdnię, ale już nic nie mogło powstrzymać natarcia. Byli podnieceni walką, chcieli jak najprędzej dopaść wroga i pomścić poległych kolegów".

Żołnierze chcieli dokonać samosądu nad dywersantami, którzy do nich strzelali. Powstrzymał ich dowódca. „Zapytałem więc – »kto wy jesteście?«. Odpowiedzieli – »my sołdaty« – po czym poprawili się, mówiąc »my dywersanty«. Ale jakimi dywersantami jesteście – odpowiedzieli prawie chórem – »sowieckije«. I tylko jeden z nich, Żyd, powiedział po polsku – »ja tutejszy«" (A. Żurowski, „W walce z dwoma wrogami").

Zgrupowanie KOP podążało na zachód, w kierunku Bugu, miało połączyć się ze zgrupowaniem gen. Franciszka Kleeberga. Na szklaku żołnierzy gen. Orlika-Rückemanna znalazło się Ratno, w którym działał już „sowiet" – lokalna władza komunistyczna oraz milicja. Polscy żołnierze, ostrzelani przez nią, odpowiedzieli ogniem, zabijając dywersantów. W zdobytym 25 września Ratnie w jednym z domów żołnierze znaleźli listę Polaków, z których jedni mieli być rozstrzelani na miejscu, inni deportowani w głąb Związku Sowieckiego. Listę utworzyli sąsiedzi naszych rodaków.

Oddzielnie od zgrupowania gen. Rückemanna maszerował przez Wołyń 3. Pułk Piechoty KOP (przedtem pułk KOP „Głębokie"), który miał rozkaz kierowania się na południe, w kierunku Lwowa. Po wiadomości o sowieckiej agresji dowódca pułku, płk Zdzisław Zajączkowski, kazał jednak swoim żołnierzom opuścić pociąg na jednej z wołyńskich stacji. Zajączkowski należał do tych oficerów, który nie mogli uwierzyć w rozkaz marszałka „Śmigłego", by z Sowietami nie walczyć, chyba że zaczną strzelać lub będą próbować rozbrajać polskich żołnierzy. Dowódca pułku stwierdził: „To, co słyszę, że wyszedł jakiś rozkaz z Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich,

eprasa.pl 0c302ee7c4

aby nie walczyć z wojskami sowieckimi, to na pewno bolszewicka dywersja". Pułkownik Zajączkowski rozkazał, by złapanych z bronią w ręku dywersantów z miejscowej ludności rozstrzeliwać na miejscu. „Była to decyzja twarda, ale słuszna – oceniał jego podwładny. – Oficerowie KOP z granicy potwierdzili, że bandy dywersantów grasowały już od kilku dni na pograniczu i napadały na strażnice KOP".

Gdy żołnierze pułku zbliżali się do Kołek, zdezerterowało i uciekło tam kilku żołnierzy Ukraińców. Z zabudowań padły strzały, a następnie z Kołek wyszli przedstawiciele „sielsowietu" i zażądali, by Polacy złożyli broń. W odpowiedzi żołnierze KOP zaatakowali Kołki i zdobyli je. „Całe miasteczko w czerwieni, flagi i transparenty" – wspominał polski żołnierz. Okazało się, że nieco wcześniej zamordowano w Kołkach polskich policjantów. Czterej członkowie „sielsowietu", miejscowi Ukraińcy, jak również ujęci dywersanci i wspomniani dezerterzy zostali rozstrzelani, a Kołki zostały spalone.

28 września zgrupowanie KOP przybyło pod Szack, zajęty przez oddziały Armii Czerwonej, i musiało wywalczyć sobie drogę do dalszego marszu. Z miasteczka wyjechały sowieckie czołgi, poruszały się groblą, nie mając więc możliwości manewru. Jeden z KOP-istów relacjonował: „Wycelowałem do czołgu i oddałem strzał. Był celny. Czołg obrócił się o 45 stopni. Oddałem drugi strzał – z czołgu buchnął ogień i załoga czołgu zaczęła opuszczać pojazd. Żołnierze, którzy obserwowali moje strzały, dobiegli do następnego działka i ostrzelali pozostałe czołgi oraz samochody ciężarowe, które były na drodze. Zniszczyliśmy cztery czołgi i rozbiliśmy kolumnę samochodów ciężarowych".

Ten sukces zagrzał polskich żołnierzy do boju o miasteczko, brawurowym, zwycięskim atakiem dowodził mjr Józef Balcerzak z Batalionu Grodzieńskiego. W boju o Szack Polacy zniszczyli osiem czołgów i wyeliminowali z walki 81 czerwonoarmistów. W Mielnikach koło Szacka zostało rozstrzelanych przez czerwonoarmistów ok. 25–30 wziętych do niewoli oficerów KOP, m.in. ppłk Józef Ferencowicz i mjr Szymon Mayblum z dowództwa KOP. Innej zbrodni wojennej dokonano na dwóch oficerach zgrupowania KOP w obecności dowódcy sowieckiego pułku. Bolszewicki oficer po przesłuchaniu kpt. Kazimierza Mikulińskiego przyłożył mu lufę rewolweru do czoła i zastrzelił go.

Ostatni bój

Zgrupowanie KOP stopniało do 3 tys. żołnierzy. Największy jego oddział – Brygada KOP „Polesie" – przestał faktycznie istnieć, jego żołnierze stracili morale i chęć do walki, nie mieli chyba też zaufania do swego dowódcy. Generał Rückemann przeformował więc brygadę w batalion. Znakomicie natomiast trzymali się żołnierze płk. Nikodema Sulika – 3. Pułk KOP „Sarny" nadal reprezentował sobą dużą wartość bojową. W ogromnej mierze było to zasługą świetnego dowódcy pułku.

29 września zgrupowanie KOP przekroczyło Bug. 1 października zostało zaatakowane pod Wytycznem przez oddziały Armii Czerwonej. Żołnierze zabili w boju ponad 30 czerwonoarmistów, a niemal 100 ranili. Przewaga wroga była jednak znaczna, zaczęło też brakować amunicji, spadło też bardzo morale w batalionie KOP „Polesie". Jego żołnierze nie ruszyli do boju, poddawali się lub rozproszyli. Generał Rückemann wspominał, że miał do wyboru następujące możliwości: poddać się, walczyć do ostatniego naboju, wreszcie oderwać się od nieprzyjaciela i następnie rozwiązać zgrupowanie. Wybrał to ostatnie. „Nie mogąc zwyciężyć, nie mając możności walki, chciałem przynajmniej uratować żołnierzy" – stwierdził generał.

Los rannych polskich żołnierzy był tragiczny. Józef Klaude, mieszkaniec okolic Wytyczna, był świadkiem nieludzkiego postępowania żołnierzy Armii Czerwonej: „Rannych polecili wnieść do Domu Ludowego, gdzie zamknęli ich na klucz, nie udzielając pomocy. Pozamykali nawet okiennice, aby nikt nie mógł się wydostać ze środka. Dopiero w poniedziałek 2 października zjechała z Włodawy sowiecka kolumna sanitarna w celu niesienia pomocy rannym. Oczywiście wszyscy ranni zmarli z upływu krwi" (C. Grzelak, „Wytyczno – ostatnia bitwa KOP", „Kombatant" 8/2009).

Ostatni rozkaz gen. Orlika-Rückemanna został wykonany. Część żołnierzy po rozwiązaniu zgrupowania dołączyła do Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" gen. Franciszka Kleeberga i wraz z jej żołnierzami stoczyła kilka dni później, pod Kockiem, ostatni bój kampanii wrześniowej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Cmentarz wojenny w miejscowości Wytyczno FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MATEUSZ KĘDZIERSKI

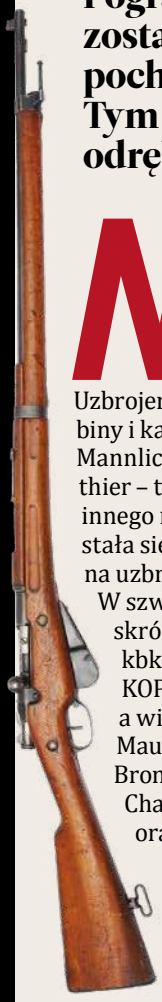
eprasa.pl 0c302ee7c4

Od berthierów do mauserów – uzbrojenie KOP



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Powołany w 1924 r. i finansowany z budżetu ministra spraw wewnętrznych Korpus Ochrony Pogranicza organizacyjnie podporządkowany został Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Z armii pochodziły kadry, umundurowanie i uzbrojenie. Tym niemniej formacja zachowała pewne odrębności względem regularnego wojska



Na początku lat 20. rozpoczął się w WP proces unifikacji uzbrojenia i wyposażenia. Niestandardowe broń i ekwipunek kierowano m.in. do KOP. Uzbrojeniem strzeleckim były karabiny i karabinki (kb/kbk) systemu Mannlichera kal. 8 mm i kb/kbk Berthier – też 8 mm, ale dostosowane do innego naboju (na zdjęciu). To ta broń stała się standardowa i przetrwała na uzbrojeniu KOP do połowy lat 30. W szwadronach kawalerii używano skróconej wersji Berthiera, czyli kbk. W drugiej połowie lat 30. KOP otrzymał broń standardową, a więc taką jak w wojsku – kb/kbk Mausera wz. 98 i 29 kal. 7,92 mm. Bronią maszynową były erkaemy Chauchat, elkaemy Bergmann oraz cekaemy Maxim i Hotchkiss. Chłodzony wodą niemiecki Maxim, pomimo skomplikowanej budowy i dużej masy (60 kg), był bronią pełnowartościową, a ponieważ strzelał standardową amunicją kal. 7,92 mm, pozostał na uzbrojeniu KOP do września 1939 r. Pozostałe wzory, zwłaszcza zużyte chauchaty kal. 8 mm i niedbale przerobione hotchkissy, wycofano w latach 30. Etatową ciężką broń maszynową uzupełniono wspomnianymi maximami, natomiast lekkie kaemy zastąpiono standardowymi w WP erkaemami Browning wz. 28 kal. 7,92 mm. Arsenał uzupełniały nieliczne elkaemy Maxim wz. 08/15, będące „odchudzoną" wersją cekaemu (dwójnóg zamiast podstawy saneczkowej).

Pod koniec lat 30. stan uzbrojenia KOP uległ poprawie. Zakupiono nowoczesne armaty przeciwpancerne wz. 36 kal. 37 mm. Utworzono też jednostki artylerii polowej wyposażone w eksfrancuskie „siedemdziesiątki piątki". Była to co prawda konstrukcja z końca XIX w., ale wciąż przydatna. Broń stromotorową stanowiły moździerze wz. 28 i 31 kal. 81 mm oraz granatniki wz. 36. KOP otrzymał także karabiny ppanc. wz. 35 kal. 7,92 mm („ury"), które we wrześniu 1939 r. dowiodły swej skuteczności. ©℗

Browning wz. 30



Pod koniec lat 30. zaczęto przezbrajać jednostki KOP w cekaemy Browning wz. 30 zamiast niemieckich maximów. Był to nieznacznie zmodyfikowany amerykański M1917, który zadebiutował w 1918 r. i okazał się jednym z najdoskonalszych w historii. Ogólny układ, zasada działania i wodne chłodzenie zaczerpnięte były z karabinu Maxima, jednak budowa wewnętrzna to oryginalny pomysł Browninga.

Inżynier Antoni Karczewski, wicedyrektor warszawskiej Fabryki Karabinów, napisał o cekaemie skonstruowanym przez Amerykanina, że „cechuje go genjalna prostota i racjonalne opracowanie konstrukcji". Produkcja polskiej wersji ruszyła w 1931 r. Wprowadzono wiele udoskonaleń i zmian w obrębie poszczególnych części i zwiększono żywotność broni. Karabin osadzano na składanych trójnożnych podstawach wz. 30, 34 i 36. Montowano go też w schronach bojowych na specjalnych podstawach fortecznych. Broń przystosowano do prowadzenia ognia przeciwko celom powietrznym – mocowano ją wtedy na specjalnym maszcie i montowano tzw. muszkę kołową. W położeniu bojowym, a więc z podstawą i płynem w chłodnicy, polski cekaem systemu Browninga ważył niecałe 40 kg, natomiast niemiecki Maxim wz. 08 aż 66 kg. Browning zasilany był z 330-nabojowej taśmy (amunicja mauserowska 7,92 x 57). ©℗

WWW.DORZECZY.PL

eprasa.pl 0c302ee7c4

Mundury KOP

Przepisy mundurowe dla KOP opracowano w Oddziale I Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, opierając je na regulaminach obowiązujących od początku lat 20. (mundur wz. 19). Kurtki dla szeregowców szyto z sukna w kolorze ochronnym; charakteryzowały się wysokim i niewygodnym kołnierzem stojącym oraz dwoma dolnymi skośnymi kieszeniami. Spodnie szerokie, zwężające się od wysokości kolan w dół, dostosowane były do zakładania owijaczy i krótkich wiązanych trzewików.

Zaletą munduru była uniwersalność, w zależności bowiem od dodatków spełniał rolę ubioru polowego, garnizonowego, służbowego, salonowego i codziennego. Charakterystycznym dodatkowym elementem były drelichowe letnie bluzy szeregowców, wzorowane na rosyjskich gimnastiorkach. W WP regulaminowym nakryciem głowy były rogatywki oraz furażerki, dla Korpusu przewidziano natomiast czapkę okrągłą, tzw. kroju angielskiego, zwaną popularnie „kopówką". Występowała jedynie w wersji garnizonowej, czyli usztywnionej, i noszona była zarówno przez szeregowych, jak i oficerów. Poza okrągłą czapką garnizonową żołnierzy KOP wyróżniały także patki na kołnierzach kurtek mundurowych i płaszczy. W piechocie WP miały one formę granatowego trapezu



z żółtą wypustką na tylnej krawędzi, w KOP natomiast wypustka była zielona. W drugiej połowie lat 30. przeprowadzono gruntowną reformę umundurowania WP (tzw. mundur wz. 36), która objęła również KOP. Miała ona na celu przede wszystkim podniesienie komfortu użytkowania oraz zunifikowanie sortów oficerskich i żołnierskich. Wprowadzono wówczas m.in. nową sukienną kurtkę z czterema kieszeniami i obniżonym kołnierzem, długie spodnie z krótkimi sukiennymi owijkami zamiast owijaczy i miękką rogatywkę polową. ©℗

Thompson

W KOP używano broni zasadniczo niereprezentowanej w WP. Chodzi o pistolety maszynowe, które w przededniu wybuchu wojny armia dopiero testowała (peem MORS wz. 39). Tymczasem KOP-iści otrzymali kilkanaście amerykańskich thompsonów M1928 kal. 0,45 cala (11,43 mm). Peem opracowany z myślą o okopach pierwszej wojny światowej zadebiutował już po jej zakończeniu. Niewielkiej liczby użyto np. podczas interwencji amerykańskich marines w Nikaragui w 1928 r. Relacje



prasowe były entuzjastyczne i wywarły wrażenie także na niektórych polskich oficerach: „Nowe modele są doskonałe przeciwko bandom, ukrywającym się w zasadzkach w Nikaragui […]. W wielu wypadkach niewielkie oddziały marines odparły ataki liczebnie większych oddziałów bandytów dzięki użyciu tej nowej broni. Mała waga i wielka skuteczność ognia karabinu Thompsona na krótkim dystansie szczególnie nadaje się do walki w lasach Nikaragui („New Canadian Advertiser", styczeń 1928 r.). Była to wprost wymarzona broń dla KOP, formacji przygotowywanej m.in. do działań nieregularnych, np. przeciwko grupom dywersyjnym. ©℗

eprasa.pl 0c302ee7c4

Przemytnicy, szpiedzy i dywersanci / Zapiski z pogranicza II RP



Królowie rubieży



Radosław Wojtas

„Granica wre życiem. Partia za partią, noc w noc, idą za granicę. Przemytnicy pracują wściekle. Ledwie starcza im czasu na przepicie zarobionych pieniędzy. Prawie nie widzimy światła dziennego, bo we dnie wysypiamy się po trudach długich nocy" – pisze w opartej na swych przeżyciach powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" Sergiusz Piasecki

Gdyby zrzucić wieczorem, w głuchą, jesienną noc, z granicy welon mroku, zobaczylibyśmy na dłuższym odcinku ciągnące ku granicy partie przemytników. Idą po trzech, po pięciu, a nawet po dziesięciu i kilkunastu. Większe partie prowadzą doskonale znający granicę i pogranicze »maszyniści«. Małe partie chodzą przeważnie »na swoją rękę«. Idą nawet kobiety, po kilka naraz, aby za złoto, srebro i dolary kupić w Polsce towary, które można sprzedać ze sporym zyskiem w Sowietach. Są i partie uzbrojone, lecz ich bardzo mało. Przemytnicy broni nie noszą. A jeśli ktoś z nich bierze ze sobą komin, to w razie zatrzymania ich, jeśli widzi, że ma do czynienia z »chamami«, których »otriezów« przemytnicy więcej się boją, aniżeli wszystkiego innego, odrzuca broń od siebie [...].

Po zdjęciu osłony mroku z pogranicza zobaczylibyśmy rekinów granicy, »chłopów«, z otriezami, karabinami, rewolwerami, siekierami, widłami i drągami, czyhających na zdobycz. Zobaczylibyśmy czasem bandę dywersyjną, złożoną z kilkunastu lub kilkudziesięciu ludzi, uzbrojonych w rewolwery, karabiny, a nawet i karabiny maszynowe. Zobaczylibyśmy i skamiejeczników, przemycających kradzione konie nie z Polski do Sowietów, a z Sowietów do Polski. Zobaczylibyśmy wreszcie niezwykłą postać – człowieka, który samotnie przemierza pogranicze i przekracza granicę. Idzie często po najniebezpieczniejszych drogach. Kroczy z rewolwerami w rękach, z granatami za pasem, ze sztyletem u boku. To szpieg... Stary, wytrawny, cudem ocalały z dziesiątków zajść, zdecydowany jak diabeł, szalenie śmiały korsarz granicy. Obawiają się go wszyscy: i przemytnicy, i strażnicy, i agenci wszelkich instytucji wywiadu i kontrwywiadu, i chłopi. Zła-

eprasa.pl 0c302ee7c4



Spotkanie na granicy: żołnierze KOP i sowiecki pogranicznik FOT. NAC



Żołnierze KOP i schwytani przemytnicy FOT. NAC

pać przemytnika – wymarzona gratka! Ale wleźć na takiego szatana – najstraszniejsza rzecz!. Zobaczylibyśmy i wiele innych, ciekawych spraw".

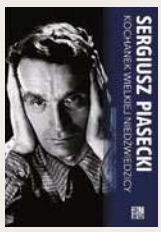
Kochankowie Niedźwiedzicy

Władek, niemający własnego miejsca i grosza przy duszy narrator „Kochanka…", dołącza do grupy przemytników działających w okolicach – leżącego dziś na Białorusi, a wówczas w II RP tuż przy granicy z Sowietami – miasteczka Raków. Trafia do środowiska ludzi prostych, niewykształconych, niepiśmiennych. Zakapiorów po przejściach wchodzących ciągle w konflikt z prawem, ale w większości przestrzegających swego własnego kodeksu.

„Życie i dzieje maszynistów dzikich, a również i chłopaków stale pracujących w partii, były niezwykłe. Poznałem potem wielu z nich i nie znalazłem ani jednego pospolitego typa. Były to przeważnie natury burzliwe, nieukładające się w ramach normalnego życia w społeczeństwie, których właściwym żywiołem była partyzantka, wojna, ryzykowne podróże. Była to zbieranina z różnych dzielnic Rosji i Polski. Większość stanowili uciekinierzy, którzy z rozmaitych względów nie mogli powrócić do Sowietów i osiedlili się na pograniczu. Niektórzy z nich należeli kiedyś do formacji Bałachowicza i służyli w oddziałach »zielonych«. Granica przyciągała ich ku sobie jak magnes żelazo. Tutaj żyli z dnia na dzień, tu pracowali, tu ginęli […]. Rzadko który z nas umiał pisać, nikt nic nie czytał. Polityka nie zajmowała nas wcale. Nieraz, obserwując swych kolegów i widząc ich niezwykłe charaktery, niepospolitą energię, myślałem o tym: ile ci ludzie mogliby przynieść pożytku, gdyby skierowano ich energię, zdolności, fantazję ku pożytecznej dla ludzi pracy? A tu – marnowali wielkie nieraz siły bezużytecznie".

Już pierwsze wyprawy z towarem uczą Władka dwóch rzeczy. Rzecz pierwsza: gdy z jakichkolwiek powodów gdzieś na pustkowiu, w najczarniejszą noc, nie będzie miał pojęcia, dokąd się udać, z pomocą przyjdzie mu ta, która z czasem stała się jego miłością. Ursa Mior, Wielka Niedźwiedzica, a dokładniej jej siedem najjaśniejszych gwiazd tworzących Wielki Wóz. „Jeśli dadzą nam kiedyś popędź [zmusić do ucieczki w żargonie przemytniczym – przyp. red.] i rozbiją partię, to kieruj się tak, aby te gwiazdy były po prawej stronie – zawsze wyjdziesz za granicę!" – usłyszał na swojej pierwszej robocie i wielokrotnie ratował skórę, stosując się do tej rady.

Rzecz druga: w życiu trzeba mieć zasady. Chłopaki z pogranicza może i wchodzą w konflikt z prawem, może i piją wódkę na szklanki, może i są niewykształconymi awanturnikami, ale wartości takie jak przyjaźń, lojalność, słowność coś dla nich znaczą. Przynajmniej dla tych, z którymi zblatował się Władek/Sergiusz. „Lubiłem swych kolegów, bo nigdy mnie nie zawodzili. Byli to prości, niewykształceni ludzie. Lecz czasem byli tak wspaniali, że stawałem zdumiony. Wówczas dziękowałem Naturze, że jestem człowiekiem".



SERGIUSZ PIASECKI „KOCHANEK WIELKIEJ NIEDŹWIEDZICY" LTW

Wolny duch

Szli zawsze pod osłoną nocy. Na plecach noski, a w nich najróżniejsza kontrabanda. Spirytus, lakier, giemza, jedwabne pończochy… cokolwiek, co tylko dostali do przerzucenia lub – działając na

eprasa.pl 0c302ee7c4

własną rękę – mogli sprzedać z zyskiem. Dybały na nich „zielonki", czyli strażnicy graniczni, dybali miejscowi chcący zgarnąć szmuglowane fanty, dybały grupy dywersyjne. Nawet w najzimniejsze noce bywało zatem gorąco.

„Wtem z tyłu rozlega się strzał karabinowy. Zdaje mi się, że dolatuje mych uszu z bardzo wielkiej odległości, bo silny wschodni wiatr odnosi huk wystrzału w tył. Może tam krzyczą, jak zwykle: »Stój! stój! stój!«, lecz nie słyszę głosów. Wokoło zaczynają świstać kule. Oglądam się i widzę, o dwieście kroków od nas, biegnących żołnierzy. Jest ich kilkunastu. Są rozsypani w tyralierkę. »Skąd ich tyle?« – myślę, podążając za kolegami. Sytuacja jest marna. Cofnąć się nie można. A do najbliższego lasu mamy pięć kilometrów. Są w pobliżu małe laski i krzaki, ale one nie ukryją przed pościgiem. Saszka skręca na południowy wschód. Prawie biegniemy. Strzały grzmią nieustannie. Na szczęście nie trafiają nikogo. Dopadliśmy do gęstych zarośli łozy. Zatrzymujemy się. Saszka rzuca nam:

– Podpuścić blisko! Potem rąbać!

Oczekujemy, klęcząc, ukryci w gęstych zaroślach. Mamy w pogotowiu pistolety i zapasowe magazynki. Prześladowcy nasi są coraz bliżej. Wyraźnie widzę prędko posuwające się ku nam szare sylwetki. Poły długich płaszczów mają wsunięte za pasy, aby nie zawadzały w ruchu. Słyszę donośny, rwący się na sylaby, głos:

– Cep'ju za–cho–dzi z pra–wa!".

Po broń przemytnicy sięgali rzadko. W razie pierwszej wpadki z kontrabandą można było odsiedzieć tylko parę lat. Złapanych z „kominem" traktowano zdecydowanie surowiej, czasem rozstrzygając rzecz bez sądu, na miejscu. Z kolei wpadka bez towaru przy sobie groziła posądzeniem nie o przemyt, a o szpiegostwo. A to w Sowietach oznaczało poważne kłopoty.

„Jest nas tu jedenastu. Ledwie się mieścimy w malutkiej celi. Na pryczy śpi siedmiu, a czterech na podłodze [...]. Głód nie wychodzi z naszej celi. Marzymy stale o jedzeniu, o jedzeniu nieustannie myślimy. Poruszamy się apatycznie, powoli. Głód wybielił nam twarze, upudrował je na zielono i na żółto, położył czarne cienie pod oczami. Niektórzy mają spuchnięte ręce i nogi. Spostrzegłem, że mnie też zaczynają puchnąć nogi. Drugą bolączką, dającą się bardzo we znaki, są wszy. Olbrzymie więzienne wszy, leniwe, ospałe jak i my (chociaż nie z głodu, może z przesycenia się), pasące się naszymi ciałami. Pełzają nawet po ubraniu i po deskach pryczy. Nie bijemy ich. To do niczego nie prowadzi. Zamiast setki zabitych wszy zjawiają się tysiące innych. Nazywamy je żartobliwie: »żywe srebro«. Od stałego drapania się na skórze robią się rany. A tam, gdzie ją nadgryzają wszy, szczególnie na plecach, karku i szyi (tam skóra powinna być cieńsza), są strupy. A w nocy, gdy w celi pali się lampa i kładziemy się do snu na gołej pryczy, ze szpar w deskach i ścianach wyłażą pluskwy. Te żrą wściekle, jak pokrzywa parzą ciało. Szczególnie dokuczają nowym więźniom".

Władek/Sergiusz nie jest człowiekiem, który pozwalał zatrzaskiwać się w klatce na długo. Równie spektakularne co akcje na granicy są ucieczki. Po zasadzce urządzonej w jednej z melin swojej przemytniczej grupy narrator „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy" ucieka z wiozącego go ku niewoli pociągu.

„Wstaję z miejsca. Robię dwa kroki z przedziału na korytarz, potem krok naprzód. Powoli naciskam klamkę u drzwi i otwieram je. Szerzej... szerzej... Patrzę w twarz żołnierzowi. Nagle śpiący, jakby wyczuł mój wzrok, otwiera oczy. Utkwił we mnie mętne spojrzenie. Zrobiłem prędko krok naprzód.

– A ty gdzie?! A? Stóóój!

Wówczas zatrzasnąłem za sobą drzwi i skoczyłem naprzód. Odemknąłem drzwi prowadzące na pomost. Pośpiesznie zamykam je. W tym momencie drzwi z wagonu, które przed chwilą zatrzasnąłem, otwierają się i słyszę nieludzki wrzask:

– Towariszczi! Biegit! Wstawajcie! Towari...

Rzuciłem się do drzwi, prowadzących z pomostu na stopnie wagonu. Naciskam silnie rygiel i pcham... Nie ustępują. Po chwili opamiętałem się: drzwi otwierają się do środka, a ja pcham je na zewnątrz. Szarpię rygiel ku sobie. Drzwi są otwarte. Z tyłu ciemność przecina szeroka smuga światła. Na pomost wpadają uzbrojeni ludzie. Słyszę ich głosy:

– Stój, draniu! Stój!

Przede mną czarna noc, usiana złotymi punktami gwiazd. Zrobiłem silny krok naprzód, w gęsty, tajemniczy mrok...

Wpadam w powietrzny wir. Miota mną i pędzi gdzieś w bok. Serce zamiera w piersi. Na chwilę błysnęła w oczach długa smuga świateł, a potem wszystko utonęło w mroku i w ciszy... głębokiej ciszy...".

Królowie życia

Granica nakarmi,
Granica napoi,
Granica pocieszy,
Granica wystroi!

Tak w jednej ze swych piosenek śpiewali przemytnicy. Granica jest wszystkim. To ona determinuje całe życie. Wróćmy w tym miejscu do cytatu przytoczonego na początku tego tekstu, dokładniej do tego jego fragmentu, który mówi, że przemytnikom „ledwie starcza [...] czasu na przepicie zarobionych pieniędzy". Należy tu bowiem podkreślić, że w tej kwestii dawali z siebie wszystko. Wódkę pito albo na flaszki, albo – kulturalniej, gdy wymagała tego okazja – na szklanki. Gdy nie szli w noc, cięli w karty, grali na harmonii, śpiewali, urządzali bitki, korzystali z uroków życia. Kobiety? Mogli w nich przebierać, bo przemytnik to był ktoś.

> Wódkę pito albo na flaszki, albo – kulturalniej, gdy wymagała tego okazja – na szklanki. **Gdy nie szli w noc, cięli w karty, grali na harmonii, śpiewali, urządzali bitki**

„Wieczorem ubrałem się tip-top! Włożyłem brązową kamizelkę w złote kwiatki i zawiązałem fantazyjnie ciemnofioletowy krawat w różowe paseczki. Garnitur miałem ciemnogranatowy. Wziąłem laseczkę i wyszedłem z mieszkania [...].

Weszliśmy do mieszkania. Ogłuszyły nas dźwięki harmonii, na której Antoni ciął z natchnioną twarzą i przymrużonymi oczami. Panowały tam zgiełk,

eprasa.pl 0c302ee7c4



Żołnierze KOP i sowiecki pogranicznik na moście na rzece Słucz FOT. NAC

wrzawa, rwetes. Od tupotu nóg dygotały ściany domu. Środek dużej izby wypełniała ciżba wirujących w tańcu ludzi. Antoni grał modnego u nas wówczas »Karapeta« […].

Gwóźdź tańczył z młodą, może piętnastoletnią dziewczyną, która głową sięgała mu zaledwie do piersi. Była bardzo zgrabna i miała ładną buzię. W tańcu komicznie dreptała wokoło przemytnika, który od czasu do czasu unosił ją w górę. Gwóźdź tańczył zamaszyście, z wygibem, przydrygiem i przytupem.

– To jego kochanka – rzekł Szczur po chwili.

– No-o? – pociągnąłem zdumiony.

Na ogół brzydkich dziewczyn tam nie widziałem. Przemytnicy mieli za kochanki najładniejsze dziewczęta miasteczka".

Agent Piasecki

Sergiusz Piasecki we wstępie do „Kochanka…" z sentymentem wspomina przemytnicze lata. „Żyliśmy jak królowie. Wódkę piliśmy szklankami. Kochały nas ładne dziewczyny. Chodziliśmy po złotym dnie. Płaciliśmy złotem, srebrem i dolarami. Płaciliśmy za wszystko: za wódkę i za muzykę. Za miłość płaciliśmy miłością, nienawiścią za nienawiść".

Droga Piaseckiego na granicę zaczęła się już w zasadzie we wczesnej młodości. Od początku ten syn zubożałego i zrusyfikowanego szlachcica Michała Piaseckiego oraz białoruskiej chłopki Kławdii Kułakowicz nie miał łatwego życia. Maltretowany przez konkubinę ojca, przez niego samego odstawiony na boczny tor, szybko wszedł w konflikt z prawem. Pierwszy raz świat przez kraty oglądał już jako nastolatek. Aresztowano go po bójce w szkole. Trafił do Moskwy, gdzie rewolucja zabierała mu przyjaciół.

W Mińsku zaciągnął się najpierw do armii białoruskiej, a później do polskiej Dywizji Litewsko-Białoruskiej. Bronił Warszawy w 1920 r. Rok później został zdemobilizowany. Nie mając żadnego wykształcenia, zawodu ani majątku, imał się najróżniejszych, przynoszących jakikolwiek grosz zajęć. Mimo że w jego rodzinnym domu nigdy nie używało się języka polskiego, Piasecki w roku 1922 został agentem wywiadu II RP. Zajmował się też przemytem, który dawał nieporównywalnie większe dochody.

Awanturnicza część duszy wyraźnie nad nim dominowała i po różnych wyczynach oraz romansie z narkotykami został wydalony z wywiadu. Zdawać by się mogło, że znalazł się na równi pochyłej. Staczał się aż do więzienia za napad na pasażerów kolejki wąskotorowej. Sąd doraźny skazał go na karę śmierci, ale ostatecznie – dzięki wcześniejszej działalności na rzecz II RP – ten niezwykle surowy wyrok zamieniono na 15 lat więzienia. Znaczną jego część Piasecki odsiadywał na Świętym Krzyżu, uchodzącym za najbardziej surowe więzienie w Rzeczypospolitej. I tam okazało się, że ta z pozoru równia pochyła wcale nie zaprowadzi go do zupełnego upadku…

Za murami zaczął czytać i poznawać literacki język polski. Rozpoczął też spisywanie swoich wspomnień. To tam powstał „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy", który był trzecią napisaną przez niego, ale pierwszą przepuszczoną za więzienne mury książką. Wcześniejsze odsłaniały tajemnice wywiadu, zostały więc zatrzymane. Powieść zdobyła popularność, a Piaseckim zainteresowali się nie tylko czytelnicy, lecz także polscy literaci, na czele z Melchiorem Wańkowiczem. To także za sprawą jego wsparcia Ignacy Mościcki ułaskawił Piaseckiego w 1937 r.

W trakcie drugiej wojny światowej popisał się kilkoma spektakularnymi akcjami, które są materiałem na osobne artykuły i książki. Także w wojennej rzeczywistości Piasecki pokazywał swój niepokorny charakter. Gdy miał objąć dowództwo nad oddziałem wykonującym wyroki na skazanych na śmierć przez podziemny sąd, odmówił złożenia przysięgi, jako wytłumaczenie podkreślając swój indywidualizm. Sąd sądem, ale to do niego musiało należeć ostatnie słowo. Dzięki temu życie zachował skazany na śmierć (jak się okazało po wojnie – bezpodstawnie) Józef Mackiewicz; Piasecki odmówił bowiem wykonania na nim wyroku.

Kilkukrotnie odznaczony, posiadający taką kartę literat był po wojnie skazany najpierw na ukrywanie się przed Urzędem Bezpieczeństwa, a w konsekwencji na banicję. Wyjechał z podeptanej przez moskiewski bucior Polski najpierw do Włoch, później do Wielkiej Brytanii. Dużo pisał. Na podstawie jego książek powstawały filmy (w tym „Przemytnicy" Włodzimierza Olszewskiego z 1985 r.), seriale i sztuki teatralne. W powojennej Polsce jego twórczość była naturalnie zakazana przez cenzurę. Niedawno książki Sergiusza Piaseckiego ukazały się w nowych wydaniach nakładem Wydawnictwa LTW.

Autor „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy" zmarł na raka 12 września 1964 r. w wieku 63 lat w Penley w południowo-wschodniej Walii. Spoczął na cmentarzu w mieście Hastings. Kiedy przyjrzymy się nagrobkowi z białego marmuru, dostrzeżemy na nim siedem najjaśniejszych gwiazd wchodzących w skład konstelacji Wielkiej Niedźwiedzicy. A każda z nich ma imię. „Idę zamyślony, patrzę na siedem cudnych gwiazd Wielkiego Wozu i nadaję im, nie wiem dlaczego, kobiece imiona. Pierwszą z góry, z lewej, nazywam Ewa; drugą Irena; trzecią Zofia; czwartą (przednie, górne »koło wozu«) Maria; piątą (dolne koło) Helena; szóstą (tylne górne »koło«) Lidia; wreszcie siódmą (dolne »koło«) Leonia".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0c302ee7c4



Jan Matejko „Zamoyski pod Byczyną”
FOT. MUZUEM NARODOWE W KRAKOWIE

Historia jednego obrazu / „Zamoyski pod Byczyną” Jana Matejki

Malarska zemsta Zamoyskiego



Leszek Lubicki

Trzysta lat po zwycięskiej bitwie z udziałem Jana Zamoyskiego jeden z jego potomków zamówił obraz przedstawiający historyczną scenę pokazującą upokorzenie Habsburga. Dzieło Matejki miało być zemstą na Austriakach

W maju 1883 r. do Krakowa zajechał hr. Jan Zamoyski (brat pierwszego ordynata na Kozłówce, Konstantego) wraz z francuską żoną, ponoć bardzo bogatą. Zapukali do drzwi pracowni Jana Matejki, aby zamówić obraz. Zapewne mistrz Jan pomyślał, że chodzi o portret, jak to bywało wówczas wśród arystokracji. Okazało się jednak, że hrabia pragnie posiadać obraz, który będzie przedstawiał pewien znaczący epizod z bitwy pod Byczyną, która rozegrała się w 1558 r. Wówczas to jego wielki przodek i imiennik, najpotężniejszy wówczas w Polsce magnat, hetman i kanclerz wielki koronny w jednym Rzeczypospolitej Obojga Narodów Jan Zamoyski, pokonał pretendenta do polskiej korony, arcyksięcia austriackiego Maksymiliana III, a później uwięził go na półtora roku.

Obraz z podtekstem

Nie chodziło zleceniodawcy o jakiś mały obraz, ale o dzieło o wymiarach wręcz monumentalnych – prawie 2 m wysokości i ponad 3 m szerokości. Sześć metrów kwadratowych płótna malarskiego. Zapewne najprostszym wyjaśnieniem dla takiego zamówienia byłoby stwierdzenie, że potomek chciał upamiętnić wiktorię przodka i zawiesić malowidło na ścianie w swojej posiadłości.

Okazało się jednak, że cel zamówienia był całkowicie zaskakujący. Sekretarz Matejki, Marian Gorzkowski, taką oto ustalił przyczynę: „Twierdzą, że Zamoyski chciał mieć ten obraz z powodu wyjątkowego zdarzenia: nie uzyskał on w Wiedniu prawa do bywania w pałacu w Burgu, a to tak go rozdrażniło, że umyślnie zamówił obraz, w którym jego przodkowie trzymali w swym domu zakładnika z rodziny cesarskiej. Obraz ten miał po ukończeniu umyślnie wystawić w Wiedniu”.

Dla jasności wyjaśnimy, że sprawa sprzed trzech stuleci nie była przyczyną odmówienia Zamoyskim bywania na cesarskim dworze. „Winę” za ten brak uznania należy złożyć na jego Bogu ducha winną żonę – francuską księżniczkę. A nawet nie na nią samą, ale jej przodków. Jak tłumaczy Monika Januszek-Surdacka z Muzeum Zamoyskich w Kozłówce: „Jan Władysław Zamoyski był mężem Francuzki, Ludwiki Eugenii Pelissier, księżniczki de Malakoff. Będąc z nią

eprasa.pl 0c302ee7c4

w Wiedniu, zapragnął, by została mianowana damą dworu na dworze cesarskim. Tu jednak zaczęły się trudności, bo na dworze istniała specjalna komisja mająca o takiej nominacji decydować. Dochodzenie wypadło negatywnie. Ojciec młodej Zamoyskiej, marszałek Pelissier, choć nosił tytuł książęcy nadany przez Napoleona III za zdobycie twierdzy w czasie wojny krymskiej, to nie pochodził ze szlachty". Może nas to obecnie dziwić, ale pamiętajmy, że wówczas wiedeński dwór cesarza Franciszka Józefa był najświetniejszym pod względem bogactwa oraz mecenatu kultury i sztuki w Europie.

Jan Matejko obraz ten malował przez dwa miesiące roku 1884. Ukończone dzieło prezentowane było w krakowskich Sukiennicach oraz w Warszawie, a następnie przekazane właścicielowi. Zanim artysta przystąpił do pracy nad zamówionym obrazem, stworzył szkic olejny o małych wymiarach, który podarował hr. Stanisławowi Tarnowskiemu. Obecnie malowidło to, skromniejsze artystycznie, możemy obejrzeć w salach Muzeum Narodowego we Wrocławiu (depozyt MNW).

Niestety, nie będzie nam chyba dane już nigdy obejrzeć oryginału tego obrazu, aczkolwiek niczego nie należy przesądzać. Wiele dzieł sztuki uważanych za zaginione, w tym i Matejki, np. „Zabicie Wapowskiego" czy „Święty Stanisław karcący Bolesława Śmiałego", nieoczekiwanie pojawiło się w ostatnich kilku latach na aukcjach – obydwa wymienione zostały sprzedane za miliony złotych. Obraz ten obecnie figuruje w bazie dzieł utraconych prowadzonej przez MKiDN. Ostatni raz był pokazywany na wystawie zorganizowanej z okazji 100-lecia urodzin Jana Matejki przez Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie. Figuruje on w katalogu z tejże ekspozycji pod numerem 47, a jako właściciel wskazany jest hr. Adam Zamoyski. Wiemy, że do 1943 r. znajdował się w pałacu Zamoyskich w Kozłówce. Na przełomie lat 1943 i 1944 roku został wraz z innymi zbiorami przewieziony do Warszawy w obawie przed nadciągającą Armią Czerwoną, która w lipcu 1944 r. zajęła pałac. Ślad po obrazie zanika prawdopodobnie w czasie powstania warszawskiego. Mógł spłonąć wraz ze stolicą lub Niemcy wcześniej mogli go zrabować.



Szkic Jana Matejki do obrazu „Zamoyski pod Byczyną" FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Obraz „Zamoyski pod Byczyną" nie wywoływał u publiczności zachwytów, jak zdecydowana większość dzieł, które wyszły spod pędzla mistrza Jana. Malarz, ale przede wszystkim najwybitniejszy krytyk sztuki tamtych czasów Stanisław Witkiewicz, po obejrzeniu malowidła tak opisał przedstawioną na nim scenę. „[...] pogarda, którą okazuje Zamoyskiemu arcyksiążę pod Byczyną, oddając swoją szpadę, jest najlichszego gatunku aktorstwem. Matejki błędy są równie potworne, jak są wielkie i potężne jego zalety". Mieczysław Treter o obrazie tym napisał także niezbyt pochlebnie. Autor zauważa, że dzieło to artysta tworzył „bez żadnego widocznego śladu tak charakterystycznej dla Matejki pasji malarskiej [...]. Wyraz twarzy i niesmacznie pretensjonalny gest arcyks. Maksymiliana – oto przykład, jak wygląda zamierzona, a nieosiągnięta, bo pozbawiona głębszych źródeł uczuciowych ekspresja [...]. Wydaje się, [że artysta] powodowany jakąś szlachetnością starał się przedstawić dostojnego jeńca w zbyt korzystnym świetle. Ostatecznie, wbrew intencji autora, nie Zamoyski, ale Maksymilian wysuwa się tu na plan pierwszy jako główny bohater obrazu".

U obdarowanego szkicem hr. Tarnowskiego możemy przeczytać tylko, że obraz „zanim poszedł w świat, był mało widziany", ale za to „jest bardzo piękny". Ta opinia wydaje się być wydana jednak „po znajomości".

Główny tytuł obrazu ma mało wspólnego z przedstawioną na nim sytuacją historyczną. Jednak jak to czasami bywa, dzieła malarskie występują pod kilkoma tytułami. Tak jest i w tym przypadku. W „Katalogu obrazów olejnych" Jana Matejki funkcjonuje ich kilka. Jeżeli wybierzemy „Zamoyski po zwycięstwie pod Byczyną bierze w niewolę arcyksięcia Maksymiliana", to wówczas wiemy już, jakiemu wydarzeniu z historii Polski artysta poświęcił swój pędzel.

Dwóch kandydatów

Jak w ogóle doszło do tej bitwy? Po nagłej i niespodziewanej śmierci króla Stefana Batorego musiała w Polsce nastąpić kolejna elekcja. Żyła jeszcze królowa (król) Polski Anna Jagiellonka, żona Batorego. Forsowała na tron swojego siostrzeńca Zygmunta, syna jej siostry Katarzyny Jagiellonki i szwedzkiego króla Jana III Wazy. Był to zamysł odnowienia niejako rodu jagiellońskiego po kądzieli. „Miał lat dwadzieścia jeden, gdy dzięki poparciu dalekiej, nie znanej, a zawsze mu życzliwej ciotki, królowej wdowy Anny Jagiellonki, okrzyknięty został królem Polski i wielkim księciem Litwy" – pisał historyk Stanisław Grzybowski. Jan Zamoyski stał przy Annie twardo, tak samo jak przy jej mężu, królu Stefanie. Co prawda, powiadają, że hetmanowi najbardziej pasowało, aby na tron wybrano „Piasta", to znaczy w tym wypadku po prostu jego samego. Jednak z różnych przyczyn, a nade wszystko z powodu niechęci do niego części braci szlachty po wydaniu rozkazu ścięcia warchoła i banity Samuela Zborowskiego, nie miał szans na wybór.

Przeciwnicy elekcji szwedzkiego królewicza skupieni wokół rodu Zborowskich wysuwali Habsburga Maksymiliana. Sejm elekcyjny pod Warszawą zgromadził ok. 20 tys. panów szlachty, którzy przyprowadzili ze sobą także ludzi

eprasa.pl 0c302ee7c4

zbrojnych. Uważa się, że wówczas stało w gotowości 40 tys. konnicy i 12 tys. piechoty. Część szlachty zgromadzona wokół Zborowskich obradowała osobno, tak samo jak ci zebrani przy Zamoyskim. Taka sytuacja groziła zbrojnym starciem, jednak mediacje prymasa Karnkowskiego zapobiegły mu. Jak pisze Andrzej Nowak: „Chwiejna zgoda trwała dwa dni, po czym »obóz czarnych« [zwolenników Zamoyskiego – przyp. red.] odseparował się ponownie. »Zborowszczycy« słabli, zrażając część szlachty nazbyt już hałaśliwą demagogią, a także samym swoim kandydatem – czyli Maksymilianem, który nie tylko był Habsburgiem, czyli »Niemcem«, ale również formalnie już ogłoszonym przyszłym wielkim mistrzem Zakonu Krzyżackiego, wciąż popieranego przez cesarstwo…”.

19 sierpnia 1587 r. prymas nominował na króla Zygmunta, natomiast konkurencyjne ugrupowanie zebrane wokół Andrzeja Zborowskiego 22 sierpnia ogłosiło monarchą Maksymiliana. Wiadomo już było, że musi dojść do wojny, którą historycy często określają jako wojnę domową.

W tym krótkim szkicu nie sposób dokładnie opowiedzieć, co działo się do czasu sceny ukazanej na obrazie Matejki, dlatego musimy skrócić tę historię. Arcyksiążę Maksymilian w październiku z 6 tys. wojska przekroczył granicę i połączył się z polskimi stronnikami w sile 1,8 tys. zbrojnych. Oblegał Kraków, ale nie udało mu się zdobyć stolicy. Wycofał się w stronę Śląska. 27 grudnia w katedrze na Wawelu prymas Karnkowski koronował Zygmunta na króla Polski. Zamoyski wzmocnił swoje siły i ruszył za arcyksięciem. Ten zatrzymał się w Byczynie leżącej wówczas na terenie Cesarstwa Austrii. Nie spodziewano się, że Zamoyski odważy się przekroczyć granicę. Hetman jednak zdecydował się na ten krok. Do decydującej bitwy doszło 24 stycznia 1588 r. Odbyła się ona pod byczyńskim zamkiem.

Przewaga raz przechylała się na jedną, raz na drugą stronę. W pewnym momencie wróg wpadł w popłoch, a sam arcyksiążę wycofał się do Byczyny. Pozbawione dowództwa wojsko zostało wycięte na polu bitwy w pień. Zamoyski rozkazał otoczyć miasto, a później ostrzelać je z armat. Arcyksiążę nad ranem postanowił pertraktować. Głównym warunkiem Zamoyskiego było, aby Maksymilian oddał się w niewolę. Ten jednak nie chciał się na to zgodzić. Po wznowieniu ostrzału uległ. 25 stycznia arcyksiążę trafił do niewoli hetmana. Po roku od bitwy Maksymilian dalej był więziony przez Zamoyskiego. W styczniu 1589 r. rozpoczęły się rokowania bytomsko-będzińskie, które zakończyły się 9 marca podpisaniem traktatu. Cesarz i arcyksiążęta uznali Zygmunta III Wazę za prawowitego króla Rzeczypospolitej. Historyk Henryk Wisner tak to opisuje: „Zobowiązali się nie wchodzić we wrogie wobec Polski i Szwecji układy z Moskwą oraz nie mieszać się w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. Z kolei Rzeczpospolita zobowiązała się uwolnić Maksymiliana, który miał potwierdzić rezygnację z praw do korony, co uczynił jednak dopiero po kilku latach”.



Jan Matejko „Ubiory w Polsce”. Pierwszy z lewej: Jan Zamoyski FOT. WIKIPEDIA

Wizja mistrza

W momencie kapitulacji arcyksięcia wkracza malarz ze swoim pędzlem. Na obrazie widzimy Maksymiliana, który przez most zwodzony opuszcza gród w Byczynie. W „Katalogu” dzieł Matejki czytamy: „W centrum obrazu dwaj przeciwnicy na koniach; z lewej na siwym, niespokojnym rumaku Maksymilian oddaje zwycięzcy szablę, odwracając od niego głowę, z prawej hetman Zamoyski na ciemnym koniu sięga po szablę arcyksięcia, patrząc nań uważnie. Za nim konno jego stronnicy: dumny i urodziwy Baltazar Batory, spowinowacony z Zamoyskim; na prawo od niego, przy krawędzi obrazu, pułkownik husarii Mikołaj Urowiecki i starosta wieluński Aleksander Koniecpolski […]. Lewą stronę wypełniają postacie stronników Maksymiliana […], tyłem do widza wojewoda poznański Andrzej Zborowski, patrzący z gniewem na Zamoyskiego […]. Stronników Maksymiliana otaczają Kozacy z wymierzonymi w nich muszkietami. W przeświecie bramy zarys miasta”.

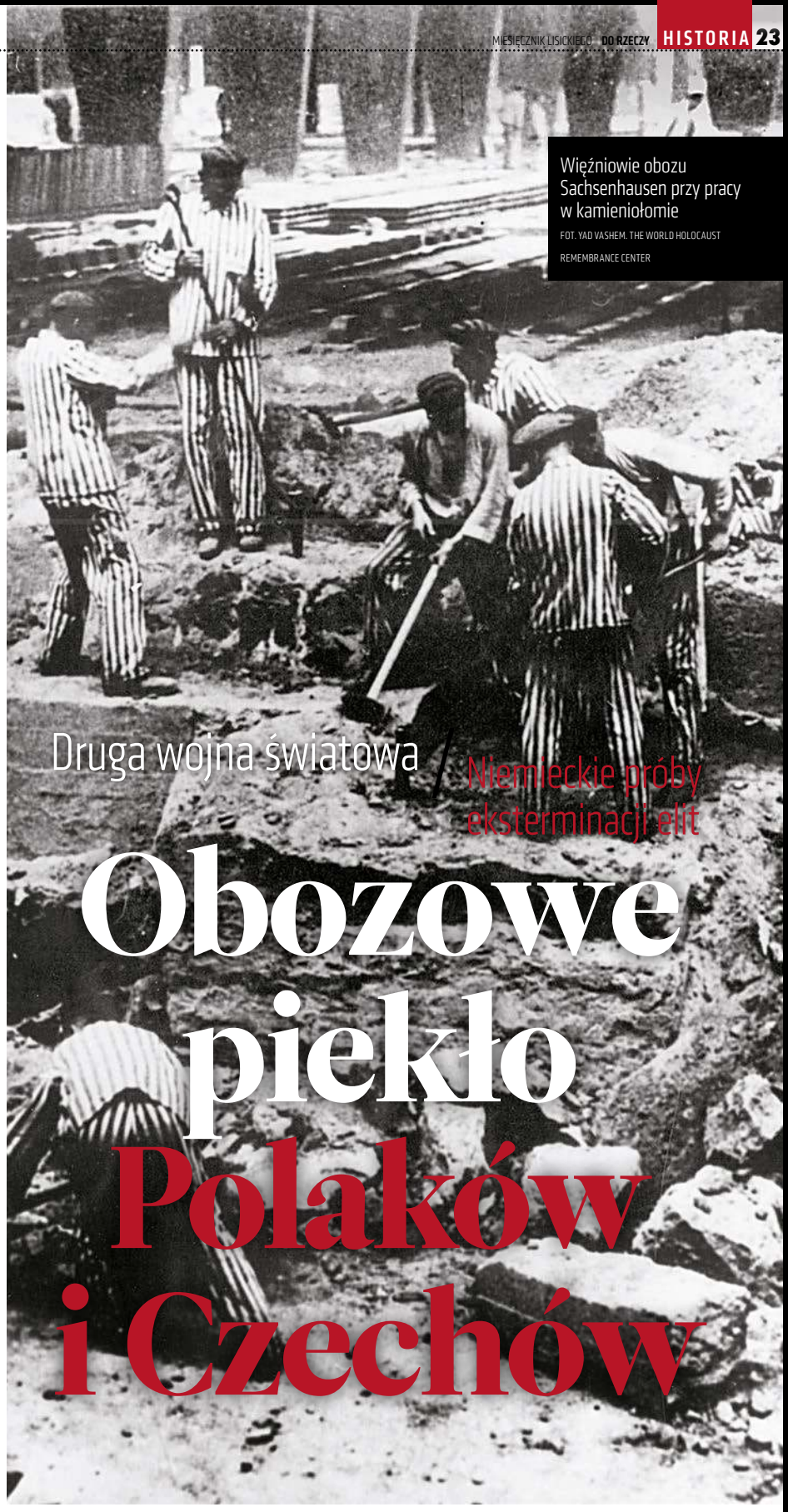
Jak wspomnieliśmy wyżej, obraz był mało znany, poza tym nie wzbudził zachwytów u publiczności i krytyków. Nasuwa się jednak pytanie, czy potomek hetmana, jak to ponoć zapowiedział przy zamawianiu obrazu, pokazał go w Wiedniu, aby przypomnieć, jak jego wielki przodek, hetman Jan Zamoyski, upokorzył jednego z członków rodu cesarskiego. Być może, jak podaje Monika Januszek-Surdacka, „obraz ten, wystawiony w Wiedniu, wzbudził wiele wesołości wśród przebywających tam Polaków, a Austriacy bardzo niechętnie go oglądali”. Niemniej w szczegółowo opracowanym „Katalogu obrazów olejnych” Jana Matejki tej informacji nie odnotowano. Możemy przypuszczać, że jeżeli już, to taki pokaz odbył się gdzieś w mało znaczącej sali wystawowej, a nie w jednej z prestiżowych wiedeńskich galerii sztuki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

Gorzkowski M., *„Jan Matejko. Epoka lat dalszych do końca życia artysty”, Kraków 1898;* ***Grzybowski S.,*** *„Jan Zamoyski”, Warszawa 1994;* ***Maciorowski M., Maciejewska M.,*** *„Władcy Polski”, Warszawa 2018;* ***Nowak A.,*** *„Dzieje Polski”, t. 5, Kraków 2021;* ***Sroczyńska K. (red.),*** *„Matejko. Obrazy olejne. Katalog”, Warszawa 1991;* ***Tarnowski S.,*** *„Matejko”, Kraków 1897;* ***Treter M.,*** *„Matejko. Osobowość artysty, twórczość, forma i styl”, Lwów 1939;* ***Witkiewicz S.,*** *„Matejko”, Lwów 1912.*

eprasa.pl 0c302ee7c4



Więźniowie obozu Sachsenhausen przy pracy w kamieniołomie

FOT. YAD VASHEM. THE WORLD HOLOCAUST REMEMBRANCE CENTER

Druga wojna światowa / Niemieckie próby eksterminacji elit

Obozowe piekło Polaków i Czechów



Piotr Semka

„Stójki", tłuczenie pałkami, głód i zimno. Niemcy za wszelką cenę próbowali złamać opór polskich profesorów i czeskich studentów więzionych w obozach koncentracyjnych

Nazwę „Sonderaktion Krakau" zna każdy Polak interesujący się drugą wojną światową. Aresztowanie, a później wywiezienie do obozów profesorów uczelni krakowskich przez gestapo i niemiecką policję jest do dzisiaj jednym z przykładów barbarzyńskiej nazistowskiej polityki, której celem było wyniszczenie polskich elit. Krakowscy naukowcy zostali wysłani do obozu w Sachsenhausen. Mało kto w Polsce jednak wie, że niedługo potem do tego samego obozu koncentracyjnego trafiło ok. 1,2 tys. czeskich studentów. Dotknęła ich bowiem bliźniacza akcja hitlerowców, czyli Sonderaktion Prag. To tragiczne spotkanie Polaków i Czechów w otchłani obozowego piekła może być uważane za symbol obsesji Hitlera, który za wszelką cenę starał się zgładzić elity słowiańskich narodów środkowej Europy.

Praska jesień

28 października 1918 r. tysiące mieszkańców Pragi i pozostałych czeskich miast wyszły na ulice, aby zademonstrować wolę niepodległości i zakończenia rządów Habsburgów. Dla pokolenia, z którego wywodzili się prezydent Tomáš Masaryk i jego następca Edvard Beneš, był to wyjątkowy dzień i celebracja wolności. W kulcie tego święta wychowywało się młode pokolenie Czechów i Słowaków urodzonych już we wspólnym państwie federacyjnym.

eprasa.pl 0c302ee7c4

Dwadzieścia jeden lat później, w 1939 r., wielu patriotów czeskich czekało w napięciu na kolejny 28 października. W tamtym czasie Czechy już od dziewięciu miesięcy znajdowały się pod okupacją nazistów i wielu młodych ludzi czekało tylko na jakiś znak, aby rzucić wyzwanie niemieckim najeźdźcom. 28 października na placach w całej Pradze zaczęły gromadzić się tłumy śpiewające czeski przedwojenny hymn. Wznoszono patriotyczne hasła. Wśród demonstrantów najwięcej było uczniów szkół średnich oraz studentów. Stracie z niemieckimi siłami było właściwie kwestią czasu. Do pierwszych potyczek doszło, kiedy Niemcy próbowali przeprowadzić cotygodniową defiladę oddziałów SS. Tłum próbował zatrzymać paradę i wtedy rozwścieczony dowódca SS i Policji na Protektorat Czech i Moraw wysłał na ulice Pragi policyjne wozy z żandarmami uzbrojonymi w pałki i ostrą broń. Zginęła jedna osoba, a dziewięć kolejnych, w tym Jana Opletala (studenta medycyny na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Karola), odwieziono do szpitala z ciężkimi obrażeniami. Do wieczora demonstracje zostały rozpędzone, ale zarówno Czesi, jak i panujący nad nimi Niemcy wiedzieli, że do kolejnych protestów dojdzie niebawem.

Niemal równolegle do wydarzeń w Pradze Polacy mieszkający w Krakowie zaczęli przygotowywać się do przeprowadzenia jakiejś manifestacji z okazji polskiego święta niepodległości, które przypadało 11 listopada. Wśród tej nerwowej atmosfery po mieście rozeszła się informacja, że niemieckie władze wysyłają zaproszenia do profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i innych krakowskich uczelni wyższych na wykład mający przedstawić punkt widzenia Niemiec na działalność szkolnictwa w Generalnym Gubernatorstwie.

Niektórzy naiwni profesorowie UJ uznali to za próbę stworzenia modus vivendi pomiędzy kadrą naukową a okupacyjnymi władzami. Przybyli na spotkanie naukowcy szybko jednak odkryli, że wpadli w pułapkę. Naziści zaczęli brutalnie wyrzucać starszych naukowców z gmachu UJ, po czym wywieźli ich do więzienia. Tam, po paru dniach, liczne sławy naukowe Krakowa dowiedziały się, że zostały uznane za „wrogów Rzeszy" i skazane na pobyt w obozie koncentracyjnym.



Więźniowie Sachsenhausen przed bramą obozu FOT. YAD VASHEM, THE WORLD HOLOCAUST REMEMBRANCE CENTER

11 listopada w Pradze zmarł ranny po demonstracji z 28 października Jan Opletal. Rodzina wystąpiła o zgodę na przejście (w dniu 16 listopada) konduktu żałobnego z kostnicy uniwersyteckiej na stację kolejową w Pradze, skąd trumna z ciałem młodego człowieka miała zostać wysłana do jego rodzinnej miejscowości Lhota nad Moravou. Niemcy zgodzili się na tę żałobną demonstrację. Dlaczego? Historycy czescy przychylają się obecnie do opinii, że Niemcy, zaskoczeni skalą demonstracji 28 października, postanowili pozwolić czeskiej młodzieży na kolejne wystąpienie antyniemieckie, aby tym razem dokonać brutalnej pacyfikacji.

Pogrzeb Opletala zamienił się, jak można było się tego spodziewać, w wielotysięczną demonstrację. Wracający z ostatniego pożegnania młodego bohatera Czesi zorganizowali protest, w którego trakcie wznoszono antyniemieckie hasła. Tym razem Niemcy nie zareagowali od razu. Przygotowana została łapanka na kolejny dzień. 17 listopada o świcie oddziały policji, gestapo i SS otoczyły pięć akademików w Pradze i dwa w Brnie. Esesmani chodzili od pokoju do pokoju i wypędzali z łóżek wyrwanych ze snu studentów. Wszystkich wywieziono do praskich koszar w Ružyne (część Pragi), gdzie dokonano szybkiej selekcji. Zwolniono obcokrajowców i studentów, którzy mogli wykazać się członkostwem w organizacjach faszystowskich lub kolaboracyjnych. Około 1,2 tys. studentów było przetrzymywanych w różnych więzieniach do początku zimy 1939 r. Potem transporty czeskich studentów zaczęły przybywać do obozu Sachsenhausen.

Piekło profesorów i studentów

Polscy naukowcy przybyli do Sachsenhausen 28 listopada 1939 r. Początkowo nie byli przydzieleni do żadnych komand roboczych, ale nie był to dobry znak. Zamiast tego esesmani kazali profesorom stać godzinami na placu apelowym bez ruchu. Nie wolno im było podeprzeć się ani wyjść do toalety. Polecenie to wydał komendant obozu Rudolf Höss. Dla starszych profesorów, którym wydano jedynie cienkie pasiaki, była to straszna tortura, a przeziębienie się w tamtych warunkach mogło grozić śmiercią.

Początkowo naukowcy wyrażali jeszcze oburzenie, że oni, nierzadko ludzie o międzynarodowej sławie, są traktowani w taki sposób. Z czasem zauważyli jednak, że ich los nie różni się niczym od innych więźniów obozu. To otworzyło im oczy, jak upiorną piramidę przemocy stworzyli Niemcy.

Choć młodsi koledzy z kadry naukowej UJ pomagali starszym w pracach porządkowych i starali się robić wszyst-

eprasa.pl 0c302ee7c4



Jubileusz 40-lecia pracy naukowej prof. Kazimierza Kostaneckiego (zmarł w niemieckim obozie w 1940 r.) FOT. NAC

ko, aby pomóc swym mentorom, to kilku starszych naukowców i tak zmarło (m.in. z wyziębienia). Byli oni bezradni wobec eksterminacyjnych warunków, które tworzyli Niemcy. Jak wspominał prof. Stanisław Leszczycki: „Wskutek zimna w barakach, zwłaszcza w sypialniach i toaletach, i na skutek długotrwałego marznięcia na apelach zimowych większość więźniów krakowskich zaczęła chorować na pęcherz. Bardzo szybko nastąpił radykalny spadek masy ciała u więźniów". Profesor Stanisław Urbańczyk tak opisywał torturę niedojadania: „Naszymi głównymi wrogami było zimno i głód. Jedzenie było mało pożywne, a jego ilość była niewystarczająca [...], na obiad otrzymywaliśmy trzy czwarte litra cienkiej zupy, w której pojawiało się trochę kawałków brukwi, kapusty, a niekiedy (bardzo rzadko) ziemniaków".

Czescy studenci bardzo szybko po przybyciu do obozu, bo już w styczniu 1940 r., padli ofiarą szkarlatyny. SS zarządziło kwarantannę w ich barakach. W kwietniu 1940 r. izolacja dobiegła końca, co sprawiło, że tym samym zakończył się ich „okres ochronny". Esesmani szybko zaczęli ich maltretować. Pierwszym rodzajem tortur były tzw. komanda stojące, co oznaczało stanie bez ruchu przez siedem, osiem, a nawet dziewięć godzin. Każdego, kto się ruszył, Niemcy tłukli pałkami. Jeszcze bardziej wynaturzoną torturą był tzw. sport, co oznaczało, że więźniowie byli zmuszani do skakania tzw. żabką pod nadzorem strażników, którzy tylko czekali, aż ktoś opadnie z sił. Wówczas rzucali się na więźnia i długo okładali go pałkami.

Vladimir Raška wspominał: „Dwie pierwsze zimy w obozie były straszne. Mróz sięgał do –30 stopni [...]. Mieliśmy krótkie koszule, a na wierzchu drelichowe ubrania i kurtki; długich zimowych płaszczy ani nauszników nie było [...]. Nasze koce były całkiem białe od szronu. Spałem pod oknem i na włosach odrośniętych choćby na 2–3 mm tworzył się lód".

Osobną szykaną dla czeskich studentów był zakaz otrzymywania paczek żywnościowych od rodzin. Czescy więźniowie wyjątkowo często byli zresztą karani. Jak wspominał Karel Hybek: „Więźniowie, którzy gdzieś się ukryli, byli właściwie skazani na śmierć. Dostawali 25 razów w plecy, a cały obóz musiał patrzeć, co się dzieje, jak wymierza się kary. Najczęściej było to tak okrutne, że nikt nie wytrzymywał nawet tych 25 uderzeń. To było straszne, wszystko we krwi, plecy poszarpane, mięso i krew".

Koniec męczarni

Zarówno w przypadku aresztowania profesorów krakowskich uczelni, jak i akcji represyjnej przeciwko czeskim studentom Niemcom zależało, aby sparaliżować wolę oporu polskich i czeskich elit. Ofiary Sonderaktion Krakau powyżej 40. roku życia wypuszczono na wolność 8 lutego 1940 r. Wszyscy młodsi naukowcy zostali natomiast przewiezieni do obozu w Dachau 4 marca 1940 r., gdzie przebywali do października 1940 r. W końcu, po międzynarodowych apelach w sprawie ich uwolnienia, Niemcy zaczęli zwalniać więźniów. Ostatni z polskich profesorów opuścił obóz Sachsenhausen pod koniec 1941 r.

Dłużej przebywali w obozach czescy studenci. Ponieważ kierowano ich do wyjątkowo ciężkich komand roboczych, byli oni jeszcze bardziej narażeni na śmierć z powodu przepracowania. W kolejnych latach, zazwyczaj z okazji urodzin Hitlera (20 kwietnia) lub innego święta, zwalniano grupy czeskich studentów. Ostatni z nich, Sergej Mahonin, opuścił obóz w Sachsenhausen 21 grudnia 1942 r.

Co ważne, operacja represyjna wobec krakowskich profesorów nie tylko nie zastraszyła polskiej opinii publicznej, lecz także podsyciła opór. Niestety, inaczej było w przypadku Protektoratu Czech i Moraw. Uderzenie w studentów wywołało efekt mrożący w społeczeństwie czeskim. Aż do maja 1945 r. nie odbyła się już na ulicach czeskich miast żadna masowa demonstracja z okazji narodowych rocznic. Pytanie „Czy chcesz, abym trafił do koncentraka?" bywało reakcją na jakąkolwiek propozycję zaprotestowania przeciw działaniom działań niemieckich okupantów. Po wojnie czescy studenci, którzy przeszli przez obozy niemieckie, zyskali status narodowych męczenników. W prawie każdym czeskim mieście jest dziś ulica zastrzelonego 28 października 1939 r. studenta Jana Opletala.



Pogrzeb Jana Opletala FOT. DOMENA PUBLICZNA

Przy opracowywaniu tekstu korzystałem ze wspomnień więźniów polskich i czeskich z książki Güntera Morsha i Agnes Ohm „Zapomniana zagłada – polska i czeska inteligencja w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen na początku drugiej wojny światowej", Berlin 2013.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0c302ee7c4



Hajle Syllasje i jego dwór

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

XX w. / Zohydzanie władcy Etiopii

Cesarz po moskiewsku

Etiopia, ochrzczona w pierwszej połowie IV w., może uchodzić za najstarszą, po Armenii, córę Kościoła. Jej bogata, sięgająca starożytności historia została jednak przyćmiona przez wydarzenia, które rozegrały się w drugiej połowie XX w., w czasach panowania ostatniego cesarza Hajle Syllasje, oraz późniejszy komunistyczny terror. Jako Polacy ze wstydem powinniśmy przyznać, że nie-



Anna Szczepańska

Publikując „Cesarza”, Kapuściński uczynił Etiopii krzywdę. Hajle Syllasje nie był oczywiście wzorem demokratycznego władcy, lecz daleko było mu do krwawego, cynicznego despoty, którym uczynił go polski dziennikarz

eprasa.pl 0c302ee7c4

chlubny w tym udział miał nasz rodak Ryszard Kapuściński, którego książka „Cesarz" wypaczyła wizerunek Etiopii.

Mówi się, że jego praca to alegoria upadku reżimu totalitarnego jako takiego lub że „Cesarz" odnosi się do „panowania" Edwarda Gierka w Polsce. Trudno się z tym zgodzić. Książka powstała po przejęciu władzy w Etiopii przez komunistów. Ośmieszenie obalonego władcy było Związkowi Sowieckiemu bardzo potrzebne, a „Cesarz" – jakiekolwiek by były intencje jego autora – idealnie wpisywał się w takie zapotrzebowanie.

Kontakt operacyjny

Od lat wiadomo, że Ryszard Kapuściński współpracował ze Służbą Bezpieczeństwa. Być może dla władz PRL informacje, które przekazywał, nie miały wielkiego znaczenia, lecz dla Moskwy były z pewnością ważne. „Z akt przechowywanych w IPN wynika, że Ryszard Kapuściński dla SB to agent »Poeta« i »Vera Cruz« […]. Jest wysoko oceniany i szkolony, przedstawia plany swoich wyjazdów, otrzymuje i realizuje zadania wywiadowcze, […] pisze własne raporty, w których np. przedstawia poglądy i charakterystyki kolegów dziennikarzy z Polski i innych krajów czy też identyfikuje przejawy aktywności CIA" – mówił w 2010 r. ówczesny szef IPN Janusz Kurtyka w wywiadzie przeprowadzonym przez Cezarego Gmyza i Piotra Semkę dla „Rzeczpospolitej".



Cesarz Hajle Syllasje w stroju galowym FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Czy wiedząc o tajnych zadaniach Kapuścińskiego, można go uznawać za bezstronnego dziennikarza? Artur Domosławski w biografii Kapuścińskiego pisał: „Fabularyzował swoje reportaże, podporządkowując rzeczywiste fakty celowi literackiemu […]. Zaczął od dziennikarstwa, a skończył na literaturze. Dziennikarstwo ryzykuje przy tym oczywiście swoją wiarygodność".

„Cesarz" to pod względem językowym dzieło wybitne. Kapuściński potrafił w niezwykle sugestywny sposób malować przed czytelnikami obrazy dalekich krajów, lecz każdemu przy lekturze jego prac powinna zapalić się czerwona, nomen omen, lampka. Skąd Kapuściński brał swoich rozmówców? Czy to możliwe, aby w kraju terroryzowanym przez komunistyczną, krwawą juntę, gdy na ulicach roiło się od sowieckich agentów, ktoś chciał rozmawiać o życiu w cesarskim pałacu z białym dziennikarzem? Ile zatem prawdy o Hajle Syllasje przekazuje „Cesarz" i kim tak naprawdę był ostatni władca Etiopii?

Ras Teferi

Gubernator Hareru ras (książę) Mekonnen i jego żona od lat starali się o potomka. Choć kobieta wcześniej dziewięć razy poroniła, to wciąż miała nadzieję, że urodzi zdrowe dziecko. Pewnego dnia w domu rasa pojawił się pustelnik, który ponoć powiedział mu: „Tym razem dziecko, które żona nosi pod sercem, przyjdzie na świat zdrowe i będzie żyło. Jeszcze w młodości zostanie wyniesione do roli władcy Etiopii i będzie rządziło krajem surową ręką. Etiopia zyska dzięki niemu wielkość i dumę i zasłynie w całym świecie. On jednak ostatecznie własnymi rękoma zniszczy wszystko, co zbudował, i pozostawi kraj w ruinie".

Teferi Mekonnen urodził się w 1892 r. Jego rodowód sięgał króla Menelika I, który według legendy był synem królowej Saby i króla Salomona. Imię Hajle Syllasje (Moc Trójcy) zostało mu nadane przy chrzcie; przyjął je później także jako swoje imię cesarskie.

Ojciec zapewnił mu bardzo dobre, jak na ówczesne warunki, wykształcenie. Teferi potrafił czytać i pisać po amharsku, znał też języki gyyz oraz francuski (miał etiopskich i francuskich nauczycieli; studiował też w szkole pałacowej w Addis Abebie) – wbrew temu, co pisze Kapuściński w „Cesarzu", czyniąc z niego analfabetę.



Kawaleria etiopska podczas wojny z Włochami, 1936 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 0c302ee7c4



Hajle Syllasje podczas wizyty w Polsce. Obok cesarza: Edward Ochab, przewodniczący Rady Państwa FOT. CAF/PAP

Ojciec Teferiego zmarł w 1906 r., a on jakiś czas później został mianowany jego następcą jako gubernator Hareru. Pomimo młodego wieku na urzędzie tym radził sobie bardzo dobrze, pnąc się po szczeblach arystokratycznej kariery. W 1911 r. poślubił bratanicę następcy tronu Lydża Ijasu (wnuka Menelika II), który objął rządy dwa lata później.

Nie był to dla Etiopii pomyślny okres. Ijasu był powszechnie nieszanowany i nigdy nie został koronowany na cesarza. Powodem była jego proislamska polityka, na którą nie zgadzali się etiopscy możni, ortodoksyjni chrześcijanie. Bunt przeciwko Ijasu wisiał powietrzu. Na czele opozycji stanął m.in. Teferi, któremu ponadto Ijasu odebrał wcześniej gubernatorstwo Hareru. We wrześniu 1916 r. Ijasu został ekskomunikowany i obalony. Na nowego władcę wybrano Zeuditu, córkę Menelika II i ciotkę Ijasu. Następcą tronu, a także regentem (nie uchodziło, aby kobieta sprawowała samodzielne rządy) ogłoszono Teferiego, który otrzymał jednocześnie tytuł rasa (nie był dziedziczny).

Władza Zeuditu była iluzoryczna, więc ras Teferi Mekonnen rządził Etiopią de facto już od 1916 r. Czuł on na sobie brzemię schedy po Meneliku II. To ten cesarz scentralizował naród i umocnił władzę, pobudzając zarazem etiopski patriotyzm. Był też przychylny reformom i lubił nowinki. Za jego panowania w Etiopii pojawiły się telefon, telegraf, energia elektryczna czy drogi asfaltowe. On także jako pierwszy czynił rzeczywiste starania dotyczące zniesienia niewolnictwa. Ścieżką rozpoczętych przez Menelika przemian chciał iść Teferi, otwierając swój kraj jeszcze bardziej na pomoc z zewnątrz. Nie było to łatwe i wymagało złamania oporu możnych oraz kościelnych hierarchów. Teferi miał jednak w sobie, jak pisze jego biograf Asfa-Wossen Asserate, coś z Machiavellego. Z biegiem lat stopniowo i bez rozlewu krwi odsunął od wpływów niemal wszystkich oponentów. Okazał się mistrzem dyplomacji i taktyki.

Król Królów

Zachodni politycy pojawili się już na koronacji Zeuditu (po raz pierwszy w historii). Zabiegi Teferiego mające na celu wzmocnienie pozycji Etiopii na świecie – jedynego niepodległego państwa w Afryce – przyniosły skutki. W 1923 r. Etiopia została przyjęta do Ligi Narodów. Rok później Teferi udał się w „tournée" po kilku krajach Europy, a jego malowniczy dwór był wszędzie wielką sensacją.

Nie wszystkim jednak podobały się rosnące wpływy rasa Teferiego. W 1928 r. zawiązano przeciw niemu spisek, chcąc, aby wycofał się z dworu. Teferi, dysponując, jak każdy inny arystokrata, własną armią, pokonał buntowników, po czym zmusił cesarzową, aby koronowała go na Negusa (króla), co nastąpiło 7 października 1928 r. Niespełna dwa lata później Zeuditu nagle zmarła. Spekulowano, że została otruta z rozkazu Teferiego, lecz przyczyną śmierci były najpewniej jej przewlekłe choroby.

Po śmierci Zeuditu Teferi został Neguse Negest (Królem Królów). Jego koronacja odbyła się 2 listopada 1930 r. w katedrze św. Jerzego w Addis Abebie. Teferi przyjął imię Hajle Syllasje i jako cesarz, Lew Judy, Wybraniec Boży, rządził Etiopią przez kolejne cztery dekady.

Hajle Syllasje znał już trochę Zachód i rozumiał, że bez reform jego kraj nie przetrwa. Niecały rok po koronacji przyjął pierwszą w dziejach Etiopii konstytucję i powołał dwuizbowy parlament. Choć to on wciąż dysponował decydującym głosem, to Etiopczycy pierwszy raz poczuli, że także mają wpływ na państwo.

Spokój trwał krótko. Etiopię, podobnie jak Libię, Somali Włoskie i Erytreę, Rzym uważał za swoją strefę wpływów. W 1935 r. Włochy zaatakowały Etiopię, rozpoczynając drugą wojnę włosko-abisyńską. Była to zemsta za nieudaną kampanię z końca XIX w., kiedy Włochów pokonały siły Menelika II. Choć atak nie spotkał się z aplauzem na europejskich salonach, to Etiopia nie otrzymała żadnej pomocy. W wojnie, po obu stronach, wzięło udział 600–800 tys. żołnierzy. Po ponad pół roku Etiopia została pokonana, a cesarz udał się na wygnanie do Jerozolimy, a później Anglii. Włosi ogłosili aneksję Abisynii. Nie pomogły apele cesarza, który na forum Ligi Narodów mówił: „Katastrofy są nieuniknione, jeżeli wielkie państwa przyglądają się gwałceniu małego państwa". Przemówienie odbiło się szerokim echem, a Hajle Syllasje otrzymał tytuł Człowieka Roku magazynu „Time". Do kraju wrócił jednak dopiero w 1941 r., kiedy Etiopia została odbita przez wojska alianckie i etiopskich partyzantów.

Od 1945 r. Etiopia rozwijała relacje ze Stanami Zjednoczonymi. Waszyngton udzielał pożyczek, brał udział w odbudowie kraju. Hajle Syllasje utrzymywał też stosunki z innymi państwami i wprowadził Etiopię do ONZ. Choć preferował kontakty z Zachodem, to nie stronił od rozmów z państwami komunistycznymi. Nie ograniczał się jednak do ZSRS, lecz rozmawiał także z ChRL czy Jugosławią. Na kontynencie afrykańskim Hajle Syllasje wyrastał na symbol panafrykanizmu. Cesarz wspierał ruchy antykolonialne, a później był współzałożycielem Organizacji Jedności Afrykańskiej. Dla milionów Afrykanów był „ojcem Afryki".

Trudne reformy

Choć już w 1945 r. powstały linie lotnicze Ethiopian Airlines, to trudno było sprawić, aby wpółfeudalne cesarstwo z dnia na dzień stało się państwem na wzór krajów europejskich. Hajle Syllasje po raz kolejny mierzył się też z niezadowoleniem arystokracji, która była przeciwna reformom podatkowym i gospodarczym. Władca miał jednak na to radę.

eprasa.pl 0c302ee7c4

Po powrocie z wygnania, mając w pamięci, że niektórzy możni zdradzili kraj, idąc na współpracę z Włochami, zakazał posiadania „prywatnych" armii oraz powoływał na wszystkie stanowiska własnych zaufanych ludzi. Było wśród nich wielu tzw. homini novi – ludzi, których przed laty cesarz osobiście wysłał na zagraniczne studia. Ich przewagą było to, że wywodzili się często z mieszczaństwa i nie byli uwikłani w dynastyczne przepychanki. Hajle Syllasje dzięki tej długofalowej polityce zyskał wiernych aż po grób powierników i ministrów. To m.in. o nich pisał Kapuściński jako ślepo posłusznych „ludziach pałacu".

Nie znaczy to jednak, że władca pogardzał arystokracją ani że – jak podano w „Cesarzu" – upokarzał ich, pozwalając, aby jego ulubiony pies oddawał mocz na ich buty. Takim rewelacjom zaprzeczają wszyscy, którzy cesarza poznali.

W 1955 r. Hajle Syllasje wprowadził zmiany do konstytucji, zezwalając, aby izba niższa była organem wybieralnym. Cesarz budował też coraz więcej szkół w całym państwie (często z własnych środków) i wysyłał tysiące osób na studia na Zachodzie. Etiopia wciąż miała jednak wiele do zrobienia. Najpoważniejszym problemem były klęski głodu wywoływane przez susze i plagi szarańczy. Jeden z kryzysów miał miejsce w 1958 r. W północnej Etiopii zmarło ok. 100 tys. ludzi. Klęska ta była impulsem kolejnych niepokojących zdarzeń. Dwa lata później, kiedy Hajle Syllasje przebywał z wizytą w Brazylii, część wojskowych ogłosiła jego detronizację i obwołała władcą jego syna, Asfę Wossena. Bunt nie zyskał poparcia. Dla cesarza był to jednak ważny znak – po raz pierwszy poddani jawnie zakwestionowali jego prawo do sprawowania władzy.

Solą w oku dla cesarza była także Erytrea. Historia bojów o ten niewielki kawałek Afryki to temat na osobną opowieść. Dość powiedzieć, że miał on dla Etiopii kluczowe znaczenie, gdyż dawał jej dostęp do morza. Od 1952 r., na mocy postanowień ONZ, Erytrea była autonomiczną prowincja Etiopii. Dziesięć lat później Etiopia ogłosiła jednak włącznie Erytrei w swoje granice, co rozpoczęło trwającą ponad 30 lat wojnę.

Klęski nieurodzaju się powtarzały. Etiopia potrzebowała kompleksowych reform, na które część feudałów nie chciała się zgodzić, a Hajle Syllasje nie miał dość woli, aby mimo wszystko je przeforsować. W latach 1972–1974 w północno-wschodniej Etiopii doszło do kolejnej katastrofy. W wyniku śmierci głodowej i epidemii zmarło nawet 80 tys. ludzi. Zdjęcia wychudzonych dzieci umierających na rękach matek obiegły po raz pierwszy świat – stało się to dzięki Jonathanowi Dimbleby'owi, który podróżując po Etiopii, nakręcił film „Nieznany głód". Już kilka tygodni po jego emisji konwoje z pomocą humanitarną ruszyły z całego świata do Rogu Afryki. Hajle Syllasje doceniał otrzymane wsparcie, lecz nie podobało mu się, że wizerunek Etiopii został nadszarpnięty.

Ku rewolucji

Etiopia nie była oczywiście samotną wyspą. Przez pół wieku cesarz musiał dostosowywać swą politykę do zmieniającej się sytuacji międzynarodowej. W czasie zimnej wojny Hajle Syllasje, choć skłaniał się ku Zachodowi, balansował między dwoma blokami. Kiedy USA nie były, w jego opinii, dość przychylne Etiopii, zaskakiwał wszystkich, prowadząc rozmowy np. z Pekinem.

Moskwa nieraz próbowała przeciągnąć Etiopię na swoją stronę, lecz bez powodzenia. Cesarz widział zagrożenie w rewolucji, nie popierał też wtrącania się Kuby w afrykańskie sprawy. Idee marksizmu-leninizmu i tak jednak do Etiopii dotarły. Nie przynieśli ich żołnierze, lecz wykształcona młodzież, która marksistowskie kursy przeszła na zachodnich uczelniach, np. na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, gdzie idee komunistyczne rozkwitały po 1945 r.

Wystąpienia studenckie trwały od końca lat 60. Potem zaczęli dołączać inni. Bywało, że manifestacje były brutalnie rozpędzane przez policję. Kryzys w kraju się pogłębiał. Apogeum nastąpiło w 1973 r., kiedy do Addis Abeby dotarły wieści o klęsce głodu na północy kraju. „Trzeba się wykazać nie lada ignorancją, by nie zauważyć, co cesarz osiągnął dla kraju w ciągu tych czterech dekad. Jednak nadszedł moment, w którym władca oceniany był nie za to, co osiągnął, ale za to, czego zaniechał, ponieważ Etiopia wciąż jeszcze należała do krajów zacofanych gospodarczo" – pisał Asserate.

To wszystko było na rękę Moskwie, która podsycała animozje i opłacała komunistów w etiopskiej armii. Rewolucja, która wybuchła w Etiopii w 1974 r., nie miała jednej przyczyny. Powodem były klęski głodu, skostniałe układy, niedostateczne reformy, a także starzejący się władca, który nie wskazał swego następcy, co rodziło obawy w kwestii przyszłości kraju.

W czerwcu 1974 r. niżsi rangą wojskowi wystąpili przeciwko cesarzowi. Władzę w kraju przejęła komunistyczna junta, Komitet Koordynacyjny Sił Zbrojnych (Derg), na którego czele stał Mengystu Hajle Marjam. 12 września Hajle Syllasje został zdetronizowany. Rozpoczęły się polowania na ludzi związanych z dawnym układem; do Etiopii przybyli „doradcy" z ZSRS, NRD i Bułgarii.

Nie wiadomo, co działo się z cesarzem po zamknięciu w areszcie domowym. Oficjalnie podano, że Hajle Syllasje zmarł 27 sierpnia 1975 r. z powodu „niewydolności oddechowej", lecz najpewniej został uduszony. Jego pogrzeb odbył się dopiero w 2000 r. w katedrze Trójcy Świętej w Addis Abebie.

Hajle Syllasje był władcą z trochę innej epoki. Nie był jednak głupcem. Dużo czytał, interesował się technologią. Daleko było mu do niektórych afrykańskich satrapów, którzy pojawili się na prezydenckich fotelach w czasach dekolonizacji. Jego pałac cesarski nie zrobiłby pewnie dzisiaj na nikim wielkiego wrażenia. Hajle Syllasje nie przepadał za przepychem. Miał tylko jedną „luksusową" słabość – samochody. Było ich ponad 20. W większości były to prezenty, np. od Franklina D. Roosevelta, Winstona Churchilla czy króla Arabii Saudyjskiej. Poza tym żył skromnie i cenił oszczędzanie. Dużo pościł, zwłaszcza w Adwencie i Wielkim Poście. Każdy dzień zaczynał od Mszy Świętej, a nie – jak pisał Kapuściński – od wysłuchiwania donosów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wybrana literatura:

Asserate A., *„Hajle Syllasje. Ostatni cesarz Etiopii", Warszawa 2022;* ***Domosławski A.,*** *„Kapuściński non-fiction", Warszawa 2017;* ***Kapuściński R.,*** *„Cesarz", Warszawa 2019.*

eprasa.pl 0c302ee7c4

Wywiad / Z płk. Walterem Cunninghamem, członkiem misji Apollo 7



rozmawia Piotr Włoczyk

Zdążyć przed Sowietami!

– Przed startem Apollo 7 podjęto decyzję, że jeżeli nasz lot okaże się sukcesem, to następna misja, zamiast krążyć po wyższej orbicie Ziemi, poleci prosto w kierunku Księżyca. Ta decyzja została podjęta pod presją: niepokoiliśmy się na samą myśl, że Sowieci mogliby nas wyprzedzić – mówi amerykański astronauta

PIOTR WŁOCZYK: Pamięta pan jeszcze tamten telefon?

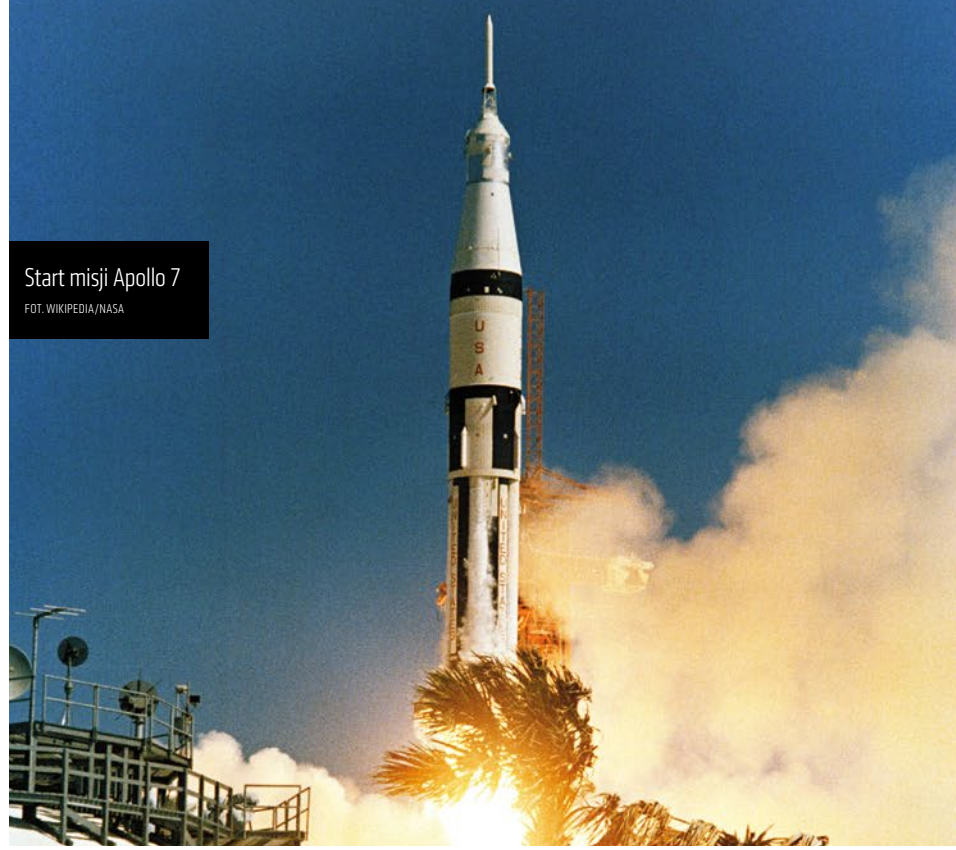
PŁK WALTER CUNNINGHAM: Oczywiście! To było w 1963 r. Zadzwonił do mnie kierownik Biura Astronautów w NASA i spytał, czy na pewno chcę zostać astronautą. Odpowiedziałem, że nic się w tej sprawie ostatnio u mnie nie zmieniło (śmiech). Usłyszałem w końcu słowa, na które długo czekałem: „Wybraliśmy cię, polecisz w Kosmos. Tylko nie możesz o tym powiedzieć absolutnie nikomu, bo ogłosimy to dopiero jutro".

Wytrzymał pan?

A skądże (śmiech)! Od razu pochwaliłem się żonie. Zresztą jestem pewien, że moi koledzy też nie byli w stanie dochować tajemnicy. Wszyscy mieliśmy wtedy w okolicach 30 lat, taka wiadomość powodowała w nas istną eksplozję szczęścia.

W maju 1961 r. John Kennedy zapowiedział, że do końca dekady Amerykanie wylądują na Księżycu. Brał pan te słowa na serio?

Rzeczywiście, wiele osób pukało się w głowę, słysząc tę zapowiedź. Miesiąc wcześniej Jurij Gagarin jako pierwszy człowiek w historii poleciał w Kosmos i wyglądało na to, że Ameryka jest daleko w tyle za ZSRS. Słowa prezydenta Kennedy'ego o locie na Księżyc mogły się wydawać tym większą abstrakcją, że mieliśmy



Start misji Apollo 7
FOT. WIKIPEDIA/NASA

eprasa.pl 0c302ee7c4

wtedy za sobą jedynie 15-minutowy suborbitalny lot na pokładzie statku kosmicznego Mercury. Ja jednak brałem te słowa zupełnie na poważnie i dlatego dwa lata później zgłosiłem się do programu Apollo. Chciałem być częścią tego epokowego projektu.



Od lewej: Donn F. Eisele, Walter M. Schirra Jr, Walter Cunningham FOT. NASA

Misja Apollo 7, w której brał pan udział, nierozerwalnie wiąże się z tragedią Apollo 1.

Byliśmy załogą rezerwową dla Apollo 1. 27 stycznia 1967 r. trzech astronautów Apollo 1 przeprowadzało na wyrzutni ten sam test, który my robiliśmy poprzedniej nocy. W module dowodzenia rozpętał się pożar i cała załoga zginęła. Najprawdopodobniej niewłaściwa izolacja kabli była powodem powstania zabójczej iskry, ale nigdy nie ustalono ponad wszelką wątpliwość, co było przyczyną tego pożaru. Trzy tygodnie później wraz z dwoma kolegami zostałem wyznaczony do pierwszego załogowego lotu programu Apollo, który w związku z tą tragedią został jednak przesunięty o 21 miesięcy. W czasie naszego lotu mieliśmy przetestować statek kosmiczny Apollo od A do Z.

Dużo było strachu podczas startu, skoro nie było pewności, co zabiło waszych kolegów?

Często słyszę to pytanie. Nie, nie baliśmy się. To były zupełnie inne czasy niż dziś, gdy astronauci to głównie naukowcy, a nie piloci myśliwców. My byliśmy pilotami wojskowymi i po prostu nie mogliśmy się bać. Mieliśmy wiele lat, żeby oswoić się z myślą, że podczas kolejnej misji możemy zginąć za sterami samolotu. Ci trzej astronauci z Apollo 1 nie byli jedynymi kolegami z NASA, których straciliśmy podczas testów. To była wielka rana, ale musieliśmy patrzeć przed siebie, jeżeli chcieliśmy dolecieć do Księżyca.

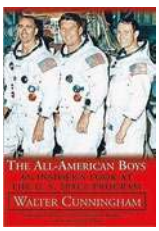
Cały sprzęt był zupełnie nowy i istniało oczywiście zagrożenie, że coś mogło pójść nie tak, ale ostatecznie nie mieliśmy większych problemów podczas tych 11 dni w Kosmosie. Chyba nikt się nie spodziewał, że wszystko pójdzie tak dobrze. To zresztą do dziś niepobity rekord długości testowego lotu statku powietrznego.

Przed startem Apollo 7 podjęto decyzję, że jeżeli nasz lot okaże się sukcesem, to następna misja, zamiast krążyć po wyższej orbicie Ziemi, poleci prosto w kierunku Księżyca i wykona wokół niego okrążenie. I tak się stało. Ta decyzja została podjęta pod presją: niepokoiliśmy się na samą myśl, że Sowieci mogliby nas wyprzedzić. Dziś wiemy jednak, że nasz wywiad niezbyt dobrze orientował się w sytuacji. W rzeczywistości Związek Sowiecki był daleko za nami w wyścigu na Księżyc.

Jak bardzo daleko?

Bardzo. Ale wiadomo to stosunkowo od niedawna. Wtedy myśleliśmy, że idziemy ze sobą łeb w łeb. Sowiecka rakieta N1 była ich odpowiedzią na nasze rakiety Saturn V (110 metrów wysokości). Tak potężna rakieta była olbrzymim wyzwaniem technicznym, to było o wiele bardziej wymagające zadanie niż zbudowanie rakiety, która wyniosła na orbitę Gagarina.

N1 okazał się projektem kompletnie nieudanym. Wszystkie cztery bezzałogowe loty tej rakiety były niewypałami, najdłuższy z nich trwał... jedną minutę. Podczas drugiej próby doszło do katastrofy na niewyobrażalną skalę: rakieta tuż po starcie opadła na wyrzutnię [wybuch ważącej ok. 2750 ton rakiety N1 jest uważany za największą konwencjonalną eksplozję spowodowaną przez człowieka; szacuje się, że siła tamtego wybuchu miała połowę mocy bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę; ZSRS zawiesił swój program księżycowy w 1974 r., a dwa lata później zakończył go – przyp. red.].



WALTER CUNNINGHAM „THE ALL AMERICAN BOYS. AN INSIDER'S LOOK AT THE U.S SPACE PROGRAM"
MACMILLAN

Ta atmosfera rywalizacji wyszła wam jednak na dobre. NASA dostawała wszystko, o co poprosiła, dzięki czemu program Apollo został zrealizowany iście ekspresowo.

Tempo było wtedy rzeczywiście niesamowite: po naszej misji NASA co dwa–trzy miesiące wypuszczała kolejny statek kosmiczny Apollo. Piątą z kolei misją był Apollo 11, który dotarł na Księżyc i bezpiecznie z niego wrócił.

W programie Apollo chodziło głównie o to, żeby pokazać, że jesteśmy od nich lepsi. Cały świat na to patrzył. Świadomość rywalizacji z Moskwą sprawiała, że każdy dawał z siebie wszystko, żebyśmy to my jako pierwszy dotarli do upragnionego celu. Sowieci – w przeciwieństwie do nas – swój program księżycowy trzymali w tajemnicy przed światem. Dzięki temu byli w stanie decydować się na o wiele bardziej ryzykowne metody niż my. Dopiero kilka lat po upadku ZSRS Rosjanie przyznali oficjalnie, że brali udział w wyścigu na Księżyc! Dziś już wiemy, że kończąc program Gemini (w 1966 r.), osiągnęliśmy nad Sowietami przewagę w tym wyścigu. Mieliśmy już wtedy za sobą przećwiczone dokowania w przestrzeni kosmicznej, co jest kluczowe w misjach księżycowych.

O jakich momentach z tamtego lotu najczęściej opowiada pan wnukom?

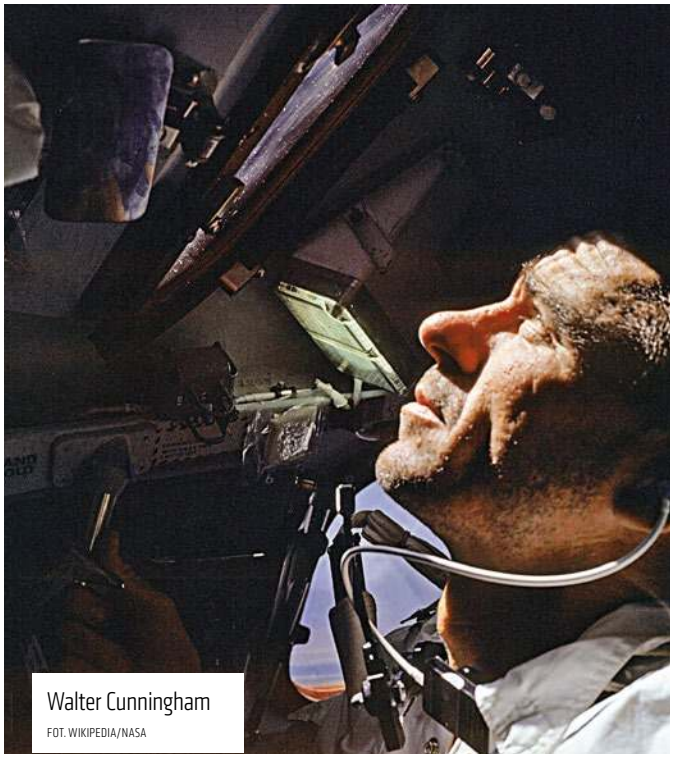
Latając na myśliwcach, osiągaliśmy co najwyżej półtora macha. Tymczasem lot na pokładzie statku kosmicznego Apollo dawał nam możliwość przekroczenia granicy 25 machów (30 tys. km/h)... To robiło wrażenie nawet na największych twardzielach. Poza tym bardzo miłe były te chwile, gdy można było spojrzeć przez okno, nie myśleć o niczym, tylko podziwiać z oddali naszą planetę. Takich chwil nie było niestety zbyt dużo podczas naszego lotu, ponieważ nieustannie testowaliśmy wszelkie możliwe systemy.

No i to słynne kosmiczne przeziębienie, które już pierwszego dnia dopadło

eprasa.pl 0c302ee7c4



Śmigłowiec „Sea King" podejmuje kapsułę lądownika Apollo 7 FOT. WIKIPEDIA/NASA



Walter Cunningham FOT. WIKIPEDIA/NASA

kpt. Wally'ego Schirrę. Okazało się wtedy, że NASA zaopatrzyła nas w niewystarczającą liczbę chusteczek do nosa (śmiech). Z powodu tego przeziębienia Wally był dosyć mocno poirytowany.

Jak to zwykle bywa podczas przeziębienia.

Nie do końca. Przy braku grawitacji przeziębienie to prawdziwa udręka. Wydzielina nie spływa w dół, wszystko zalega w gardle, nosie i zatokach. Wydmuchanie nosa w takich warunkach to tortury.

Jak się wtedy zostawało astronautą?

To były zupełnie inne czasy. Wtedy proces kwalifikacyjny był dużo bardziej wymagający. Trzeba było mieć doświadczenie jako pilot wojskowy, z kilkoma tysiącami godzin przelatanych na odrzutowcach. Ja latałem jeszcze w czasie wojny w Korei. Oprócz posiadania doświadczenia w pilotowaniu samolotów byłem też magistrem fizyki. Dziś niewielu astronautów w NASA to piloci – mniej niż co czwarty – większość to naukowcy. Poza tym dziś w NASA jest jeszcze coś, co w moich czasach było nie do pomyślenia: dbanie o parytety płciowe wśród astronautów... W ogóle dzisiejsza NASA mało podobna jest do NASA, którą pamiętam z tamtych czasów. Widać, że dziś eksploracja Kosmosu nie jest tak ważna jak kiedyś. Ale to ma też związek z tym, jak zmieniło się nasze społeczeństwo: podejmowanie ryzyka postrzegane jest obecnie jako coś złego, zupełnie niepotrzebnego. Ma to jednak swoje konsekwencje: bez tej śmiałości, którą kiedyś mieliśmy w sobie, nie da się szybko przełamywać kolejnych barier. I dlatego stoimy w miejscu.

Widać, że wizja wyprawy na Marsa i związane z tym zagrożenia dla astronautów wzbudzają w kręgach decyzyjnych bardzo wiele wątpliwości, wręcz niechęci. Gdybyśmy tak postępowali w latach 60., to nigdy nie wylądowalibyśmy na Księżycu. Nie powinniśmy się tak ze sobą „pieścić", jeżeli myślimy na poważnie o eksploracji Kosmosu.

Dziś trudno w to uwierzyć, ale w latach 60. program księżycowy nie był za bardzo popularny w amerykańskim społeczeństwie. Wielu Amerykanów uważało, że te pieniądze mogły się lepiej przysłużyć gdzie indziej. Dopiero udane lądowanie na Księżycu zmieniło tę sytuację.

Program Apollo kosztował 25 mld ówczesnych dolarów. Dziś byłoby to ok. 135 mld dol. Największym zwrotem z tej inwestycji było rzucenie Sowietów na kolana pod względem technicznym. To był przełomowy moment zimnej wojny, od tego czasu Sowieci musieli uznać, że nie są równorzędnym mocarstwem. Oczywiście był jeszcze ten dreszcz emocji, gdy widzieliśmy, jak człowiek staje na Księżycu. No i skok w technice. Ile pamięci ma pański smartfon?

10 GB.

Wie pan, ile pamięci miał nasz komputer, który służył do nawigacji w drodze na Księżyc? Ważył 20 kg, a pamięci miał całe... 38 kilobajtów. Ale i tak było to o wiele więcej, niż potrzebowaliśmy do wykonania lotu na Księżyc (śmiech). Te 38 kilobajtów było wielkim przełomem jak na ówczesne czasy.

Misja na Marsa też pchnie naukę mocno do przodu. Będzie trzeba opracować nowy napęd, który pozwoli przemieszczać się z jeszcze większą prędkością, trzeba będzie też stworzyć ochronę przed promieniowaniem. To wszystko będzie dla nauki jak dopalacz.

Kiedy ludzie dotrą na Marsa?

To będzie niesłychanie kosztowne, nie da się tego zrobić za mniej niż kilkaset miliardów dolarów. Przez to, że tak bardzo boimy się podjąć ryzyko, dziś wszystko trwa dłużej niż kiedyś. Moim zdaniem nie ma szans, żebyśmy dolecieli na Marsa wcześniej niż w 2050 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pułkownik Walter Cunningham (1932–2023) był emerytowanym amerykańskim astronautą i fizykiem, autorem książki „The All-American Boys", opisującej kulisy programu księżycowego. Pułkownik Cunningham brał udział w misji Apollo 7, następnie pracował w programie Skylab. Rozmowa została przeprowadzona w 2016 r.

eprasa.pl 0c302ee7c4

*DOBRZE SKONSTRUOWANE KŁAMSTWO JEST W DUŻEJ MIERZE ZBUDOWANE Z FAKTÓW**

NIE ZAŚMIECAJ SOBIE GŁOWY. WŁĄCZ REPUBLIKĘ O 19:00.

REPUBLIKA

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

Główne wydanie serwisu informacyjnego Telewizji Republika „DZISIAJ" zmienia godzinę emisji na 19:00.



Zapraszają: **Piotr Kieraga, Jacek Sobala i Magdalena Bałkowiec**

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

*cytat amerykańskiej pisarki Lionel Shriver, laureatki prestiżowej nagrody Orange Prize.

eprasa.pl 0c302ee7c4

XIII–XXI w. / Warownia nad Pełcznicą



Zamek Książ

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/JAKUB HAŁUN/ CC BY-SA 4.0

Książęce tajemnice



Sławomir Koper

Zamek Książ w Wałbrzychu nie tylko jest jedną z największych budowli tego typu w naszym kraju, lecz także posiada fascynującą historię pełną skandali

Rezydencja zawdzięcza swój dzisiejszy kształt przebudowie mającej miejsce w pierwszych dekadach XX stulecia i trzeba przyznać, że jego właścicielom, rodzinie Hochbergów, nie brakowało rozmachu. Budowla ma bowiem kubaturę 160 tys. m sześc., a w skład kompleksu wchodzi 400 pomieszczeń, do których należy doliczyć jeszcze kolejne 200 w zabudowaniach gospodarczych. Łączna powierzchnia pięciu zamkowych kondygnacji to blisko 11 tys. mkw.

Wszystko w rodzinie

Zamek początkowo nosił nazwę Książęca Góra, wybudowano go pod koniec XIII w. i przez następne 100 lat był własnością świdnickiej linii Piastów. Warownia powstała na skalnym cyplu nad rzeką Pełcznicą, a walory obronne podnosiły stromo opadające urwiska z trzech stron wzniesienia. Zamek górny zbudowano na planie nieregularnej elipsy, a jego najważniejszym elementem była czworoboczna wieża. Wzdłuż murów obwodowych zlokalizowano zabudowania mieszkalne, a od południa do warowni przylegało przedzamcze. Natomiast od strony południowo-wschodniej powstał owalny dziedziniec z bramą wjazdową, przed którą znajdowała się wykuta w skale fosa.

Po wygaśnięciu świdnickiej linii Piastów zamek przeszedł we władanie władców Czech, a przez kilka lat należał także wraz z całym Śląskiem do króla Węgier, Macieja Korwina. To namiestnik tego władcy rozpoczął przekształcanie twierdzy w obiekt rezydencjonalny, powstała wówczas południowa część, nazwana na część króla „skrzydłem Macieja”.

eprasa.pl 0c302ee7c4



Zamek Książ w XVIII w. FOT. WIKIPEDIA

W 1509 r. zamek dostał się w ręce rodziny Hochbergów (początkowo w formie zastawu), którzy mieli nim władać aż do 1941 r. To właśnie oni są odpowiedzialni za dalsze zmiany w jego architekturze.

Hochbergowie przybyli na Śląsk z Miśni w ostatniej dekadzie XIII w. W 1683 r. otrzymali dziedziczny tytuł hrabiowski, a w połowie XIX w. tytuł książęcy. Przejęli w spadku księstwo pszczyńskie, zatem tytułowali się książętami na Pszczynie (von Pless) oraz baronami na Książu.

Ród ostatecznie podzielił się na dwie linie: hrabiowską z Roztoki i książęcą z Książa i Pszczyny. W obu liniach męskich potomków nazywano najczęściej Hans Heinrich i nadawano numery porządkowe w kolejności urodzin. Aby jednak wprowadzić nieco porządku, linia hrabiowska nadawała numery parzyste, a książęca nieparzyste.

Hochbergowie uchodzili za jeden z najznakomitszych (i najbogatszych) rodów europejskich, oficjalnie uznawano, że pod względem majątkowym znajdują się na trzecim miejscu w Niemczech, a na siódmym w Europie. Podstawą ich fortuny stała się eksploatacja bogactw Śląska, gdzie posiadali dziewięć kopalni węgla. Nie zaniedbywali również innych kierunków działalności. To właśnie do nich należał funkcjonujący do dzisiaj słynny Browar Książęcy w Tychach. Byli też właścicielami wielu zakładów przemysłowych z hutami na czele, a podobno w samym tylko Wałbrzychu pracowało dla nich 9 tys. osób.

Remont w Książu

Hochbergowie przeprowadzili kilka ważnych modernizacji zamku w Książu. Pierwsza z nich miała miejsce w latach 1548–1555, budowla uzyskała wówczas cechy renesansu. Sto lat później zbudowano nowe skrzydło od północnego zachodu, natomiast na miejscu umocnień obronnych powstały ogrody w stylu francuskim. Kolejna przebudowa miała miejsce w latach 1718–1724, budowla uzyskała wówczas cechy baroku. Na



Bolko II Mały, książę świdnicki
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ANTONI BOYS

przedzamczu powstały też oficyny, budynek bramny oraz biblioteka.

W 1907 r. rodzinne dobra odziedziczył Jan Henryk (Hans Heinrich) XV, konserwatysta, przyjaciel cesarza Wilhelma II i zwolennik polityki pruskich junkrów. Sprzeciwiał się jednak działalności Hakaty w swoich majątkach, dokonał również wielu inwestycji przemysłowo-socjalnych (rozbudowa kopalni, rozwój kolonii pracowniczych). Jan Henryk miał prawdziwie arystokratyczny gest i nie zwykł się przejmować kosztami utrzymania książęcej rodziny czy sumami wydawanymi na organizację balów dla śmietanki arystokracji europejskiej.

Ogromną rolę w dziejach zamku Książ odegrała pierwsza żona Jana Henryka XV, Angielka, Maria Teresa Oliwia Cornwallis-West, zwana Daisy. To właśnie za jej czasów miała miejsce kolejna przebudowa zamku (prowadzona w latach 1908–1923). Na początek przekształcono ogrody zamkowe w stylu angielskim, księżna sprowadzała nawet fachowców z rodzinnej Wielkiej Brytanii. Powstały też efektowna palmiarnia, ogród w stylu japońskim, cieplarnie, rosarium oraz ogród owocowo-warzywny. Inwestycja była niezwykle kosztowna, podobno opiewała na kwotę aż 7 mln ówczesnych marek, co dziś daje sumę ok. 42 mln euro.

To był jednak tylko początek zmian, Jan Henryk polecił bowiem wybudować dwa neorenesansowe skrzydła z wieżami narożnymi. Natomiast główna wieża zamkowa osiągnęła wysokość 47 metrów i została zwieńczona hełmem z latarnią. Nie wiadomo, czy sam właściciel w ogóle zdawał sobie sprawę z łącznych kosztów przedsięwzięcia, ale początkowo raczej nie musiał się martwić o gotówkę.

Bankructwo rodu

Nic jednak nie trwa wiecznie, a o załamaniu finansowym Hochbergów zadecydowały pierwsza wojna światowa i upadek międzynarodowego handlu węglem. Książę wiązał jednak z wojną osobiste nadzieje, uchodząc za jednego z pretendentów do polskiej korony. Był bowiem potomkiem Piastów śląskich (po rodzinie Promnitzów spokrewnionej z książętami legnickimi). Upadek Hohenzollernów zmusił jednak księcia von Pless do zmiany poglądów. Stał się zwolennikiem samodzielności Śląska, zwerbował również i wyposażył kompanię ochotników, która pod dowództwem jego syna wzięła udział w walkach o Górę św. Anny (po stronie niemieckiej).

Granica ustalona przez mocarstwa podzieliła dobra Hochbergów. Pszczyna znalazła się po stronie polskiej, a Książ pozostał w granicach Niemiec. Jan Henryk XV przyjął polskie obywatelstwo, chętnie goszcząc w Pszczynie krajowych dostojników. Popierał jednak śląski ruch separatystyczny, stając się jednym z liderów mniejszości niemieckiej. Lata wielkiego kryzysu pogłębiły jednak

eprasa.pl 0c302ee7c4



Daisy von Pless
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ JAMES LAFAYETTE

trudności finansowe rodu, narastały zaległości podatkowe, ostatecznie stary książę w 1937 r. podpisał zrzeczenie się przywileju górniczego na ziemi pszczyńskiej. W efekcie Rzeczpospolita przejęła ponad 50 proc. dóbr książąt von Pless.

Stary Jan Henryk do końca życia czuł się Niemcem (zmarł w 1938 r.), natomiast jego dwaj starsi synowie walczyli podczas wojny przeciwko hitlerowcom. Jan Henryk XVII (to on dowodził ochotnikami pod Górą św. Anny) w brytyjskim lotnictwie, natomiast młodszy Aleksander, używając nazwiska Pszczyński, znalazł się w armii Andersa (brał udział w bitwie pod Monte Cassino). Najmłodszy z synów starego księcia, Konrad zwany Bolkiem, zmarł w tajemniczych okolicznościach w czerwcu 1936 r. Zgon nastąpił dwa miesiące po wypuszczeniu go przez gestapo z więzienia w Gliwicach (w jego sprawie interweniował u Ribbentropa polski ambasador w Berlinie). Podejrzewano, że śmierć spowodowały brutalne przesłuchania, matka Bolka utrzymywała jednak, że powodem zgonu była białaczka. Na Śląsku szeptano o chorobie wenerycznej, co w pewien sposób potwierdził sam książę, nie dopuszczając do siebie lekarzy. Bolka pochowano w parku obok zamku w Pszczynie, a na jego pogrzebie grano muzykę Chopina. Na losach rodziny Hochbergów oparty został znakomity film Filipa Bajona „Magnat" i serial „Biała wizytówka" w gwiazdorskiej obsadzie (Jan Nowicki, Olgierd Łukasiewicz, Jan Englert, Bogusław Linda, Grażyna Szapołowska).



Jan Henryk XV Hochberg von Pless
FOT. WIKIPEDIA/BUNDESARCHIV

Księżna Daisy

Najbardziej znaną przedstawicielką Hochbergów była jednak żona Jana Henryka XV, księżna Daisy. Wprawdzie pod koniec XIX w. czasy świetności finansowej jej rodziny należały już do przeszłości, ale w zamian szczyciła się pochodzeniem sięgającym króla Anglii Henryka III Plantageneta panującego w latach 1216–1272. Nie brakowało jej też współczesnych koligacji, młodszy brat Daisy był drugim mężem matki Winstona Churchilla.

Wprawdzie Daisy nie miała pieniędzy, ale te posiadał nawet w nadmiarze jej narzeczony. Jan Henryk XV robił też wielką karierę na niemieckim dworze, w 1883 r. otrzymał od cesarza Wilhelma I tytuł Fürst Fürstenberg, odbył służbę wojskową w pułku huzarów gwardii cesarskiej. Do tego krążył po świecie, specjalizując się w egzotycznych polowaniach, szczególnie rozpalały wyobraźnię jego myśliwskie wyprawy do Indii. Przyjaźnił się z następcą tronu (późniejszym cesarzem Wilhelmem II), wszedł też w skład niemieckiej służby dyplomatycznej i właśnie na placówce w Londynie poznał Daisy.

Angielka uchodziła za jedną z najpiękniejszych kobiet epoki, a małżeństwo było doskonałym rozwiązaniem dla obu stron. Daisy zyskiwała w ten sposób dostęp do ogromnego majątku Hochbergów, natomiast Jan Henryk XV uznanie europejskiej arystokracji. Rody pruskie czy niemieckie były wówczas traktowane w eleganckim świecie z pewnym lekceważeniem – cesarstwo powstało dopiero w roku 1871, zatem jego przedstawicieli uznawano za parweniuszy wśród europejskiej arystokracji.

Ślub Hochberga i Daisy miał miejsce w grudniu 1891 r. w ulubionej świątyni angielskiej arystokracji, czyli londyńskim kościele św. Małgorzaty w Westminsterze. Państwa młodych pobłogosławiła osobiście królowa Wiktoria (świadkami byli książę Walii z żoną), co oznaczało przyjęcie Hochbergów do europejskiej elity.

Wkrótce na świat przyszło trzech synów: Jan Henryk XVII, Aleksander i Konrad (Bolko). Małżonkowie spędzali czas w sposób charakterystyczny dla ludzi swojej sfery. Odwiedzali różne zakątki świata, natomiast Książ (Daisy nie przepadała za Pszczyną) stał się ulubionym miejscem imprez dla niemieckiej i europejskiej arystokracji. Często bywał tam cesarz Wilhelm II, a Jan Henryk po odziedziczeniu w 1907 r. tytułu książęcego po zmarłym ojcu stał się jednym z najzamożniejszych ludzi w Niemczech.

Cieszył się jednak znacznie mniejszą popularnością od żony, która dużo czasu poświęcała pracy charytatywnej i społecznej. Dzięki jej zaangażowaniu otwarto w Wałbrzychu pierwszą szkołę specjalną dla niepełnosprawnych dzieci, księżna organizowała także pomoc dla ubogich rodzin, a co najważniejsze – potrafiła doprowadzić do budowy sprawnego systemu kanalizacyjnego w Wałbrzychu, dzięki czemu udało się zwalczyć powtarzające się w okolicy epidemie tyfusu.

Natomiast małżeństwo z Janem Henrykiem XV układało się coraz gorzej

eprasa.pl 0c302ee7c4

i z upływem czasu partnerzy nie mieli sobie już wiele do powiedzenia. Książę miał swoje romanse, Daisy angażowała się w nowe projekty (szeptano również o jej związku z Wilhelmem II), a ostateczny rozkład pożycia nastąpił podczas pierwszej wojny światowej. Hochberg w pełni popierał politykę niemiecką, a Daisy jako Angielka nie mogła pogodzić się z wojną pomiędzy oboma narodami. Niebawem po jej wybuchu rozpoczęła zresztą pracę jako siostra Czerwonego Krzyża i kontynuowała ją w różnych pociągach sanitarnych aż do końca konfliktu.

Daisy i Jan Henryk XV rozwiedli się w grudniu 1922 r. Coraz bardziej schorowana księżna przebywała głównie na Riwierze Francuskiej i w Monachium, ale ostatnie lata życia spędziła na zamku Książ. Podczas drugiej wojny światowej przeniesiono ją do willi w Wałbrzychu, gdzie zmarła pod koniec czerwca 1943 r. Pochowano ją w rodzinnym mauzoleum Hochbergów w parku przy zamku, jednak trumnę ze szczątkami księżnej ukryto kilkanaście miesięcy później w obawie przed nadchodzącą Armią Czerwoną. Zrobiono to tak dobrze, że do dzisiaj jej nie odnaleziono, podobnie jak słynny sześciometrowy sznur pereł, który miała posiadać. Perły te były jednak przeklęte i nie mogły przynieść szczęścia, gdyż przy ich pozyskiwaniu zginął młody poławiacz. Sprawa ta do dzisiaj budzi zainteresowanie różnego rodzaju poszukiwaczy skarbów, znalazła też swoje odbicie w kulturze masowej, gdyż motyw naszyjnika pojawił się w kilku powieściach sensacyjnych.

W ostatnich latach swojego życia Daisy była świadkiem postępującej dewastacji zamku. Rezydencja została przejęta przez III Rzeszę, część pomieszczeń wyburzono, a wyposażenie rozkradziono. Niewykluczone, że planowano zamek przekształcić w kwaterę dla Hitlera. Pod gmachem powstały sieć tuneli i podziemny schron. Nie brakuje opinii, że miały być tutaj prowadzone badania nad bronią atomową. Podczas działań wojennych i bezpośrednio po ich zakończeniu budowla została zdewastowana przez Armię Czerwoną i została pozostawiona własnemu losowi. Niszczejący zamek dopiero w latach 1956–1962 został zabezpieczony, a do odbudowy przystąpiono w 1974 r. Obecnie jest udostępniony do zwiedzania, mieści się w nim także hotel.

Macocha i pasierb

To była jedna z największych sensacji towarzyskich w Europie. Jan Henryk XV, 73-letni książę Pszczyny i baron Książa, rozwiódł się ze swoją młodszą o 37 lat drugą żoną, Klotyldą de Silva y Gonzales de Candamo, i polecił jej wyjść za mąż za swojego najmłodszego syna. Romans pomiędzy Konradem (Bolkiem) a macochą trwał już od kilku lat, prawdopodobnie to młody książę był ojcem najmłodszej córki Jana Henryka XV, Beatrice.



Komnata Maksymiliana na zamku Książ

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/EWELINASOW/CC BY-SA 3.0 PL

O skandalicznym związku od dawna plotkowała europejska prasa, ale książę pszczyński zachowywał milczenie. Bez słowa płacił rachunki za wydatki żony i syna, dużo czasu spędzał w europejskich kurortach. Wreszcie miał już dość, po urodzeniu kolejnego dziecka (zmarło w niemowlęctwie) uznał, że przyszła pora na zdecydowane rozwiązania. Wezwał do siebie wiarołomną parę i pod groźbą wydziedziczenia zażądał od Bolka poślubienia Klotyldy i uznania jej dzieci za własne. Bolko przystał na warunki ojca i niebawem po rozwodzie ojca ożenił się ze starszą o 10 lat macochą. Mieli zamieszkać w rodowej siedzibie w Monachium. Klotylda zdążyła urodzić Bolkowi jeszcze córkę i syna (Bolka Konstantyna von Pless, ostatniego sukcesora książąt pszczyńskich), małżeństwo przetrwało do śmierci Bolka. Natomiast Klotylda żyła jeszcze długo, wojnę spędziła w rodzinnej Hiszpanii i zmarła w Monachium dopiero w 1978 r.

W znakomitej filmowej opowieści Filipa Bajona o Hochbergach w rolę Klotyldy wcieliła się Grażyna Szapołowska, natomiast jako Bolko wystąpił Bogusław Linda. Szczególnie jedna ze scen filmu, zbliżenie pomiędzy pasierbem a macochą na kuchennym stole, wśród rozłożonych makowców, pozostało w pamięci widzów…

Inna sprawa, że Klotylda została niemal wymazana z historii Hochbergów. Zamek w Pszczynie jest udekorowany portretami rodziny, ze szczególnym uwzględnieniem pierwszej żony Jana Henryka XV, piękniej Daisy. Portrety pięknej Hiszpanki są podobno tylko w magazynie, nie ma po niej też śladu w Książu. Jednak tam, ze względu na obecność Daisy, faktycznie nie bywała.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

Hochberg von Pless D., „Taniec na wulkanie”; ***Hochberg von Pless D.,*** „Lepiej przemilczeć. Prywatne pamiętniki księżnej Daisy von Pless z lat 1895–1914”; ***Semka P.,*** „Pan na Pszczynie”, „HDR” nr 20/2019.

eprasa.pl 0c302ee7c4

1095–1188 / Długi i ekscytujący żywot Usamy ibn Munkiza



Ruiny twierdzy Szajzar
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/LORISROMITO

Usama i krzyżowcy



Łukasz Czarnecki

„Księga pouczających przykładów" to arcyciekawe świadectwo muzułmańskiego wojownika, który żył w Lewancie na pograniczu islamsko-chrześcijańskim. Jego wspomnienia idą w poprzek popularnym wyobrażeniom o muzułmanach i krzyżowcach

Mówiąc o krucjatach, mamy tendencję do postrzegania ich jako epickie wojny chrześcijaństwa z islamem. Tymczasem era wypraw krzyżowych trwała blisko dwa wieki i przez większość tego czasu w Lewancie żyli obok siebie potomkowie krzyżowców (zwani przez miejscową ludność Frankami) i wyznawcy Mahometa, a stosunki między nimi bardziej niż starcie cywilizacji przypominały relacje łączące bohaterów komedii „Sami swoi". Bliższe zapoznanie się z tą rzeczywistością umożliwia nam bezcenne źródło z XII w. – „Księga pouczających przykładów".

W latach 80. XIX w. francuski orientalista Hartwig Derenbourg, prowadząc kwerendę w zasobach hiszpańskiej Biblioteki Escorialu, natknął się na zaskakujący zabytek piśmiennictwa. Był to spisany w języku arabskim rękopis zatytułowany „Księga pouczających przykładów". Tekst był mocno uszkodzony, brakowało w nim 21 początkowych stron, ale zawartość reszty wystarczyła, by Francuzowi serce zaczęło bić szybciej. Odkryte karty były bowiem rzeczą unikatową – autobiografią spisaną przez arabskiego szlachcica rodem z Syrii, świadka trzech wypraw krzyżowych, Usamę ibn Munkiza. Manuskrypt pozostaje do dziś jedyną znaną kopią tego dzieła.

I pióro, i miecz

Usama ibn Munkiz przyszedł na świat w roku 1095 w leżącej nad Orontesem

eprasa.pl 0c302ee7c4



Usama ibn Munkiz FOT. COMMONS WIKIMEDIA

syryjskiej twierdzy Szajzar. Jako że forteca ta pozwalała kontrolować lokalne szlaki handlowe, przez wieki trwały o nią zaciekłe walki. Szajzar wyrywali sobie z rąk zarówno wodzowie muzułmańscy, jak i Bizantyńczycy. Ci ostatni porzucili jednak twierdzę w latach 80. XI w., a wówczas opustoszały gród przejął arabski ród Munkizydów, na czele którego stał dziadek Usamy, Sadida al-Mulk. Był on zręcznym politykiem i dzielnym żołnierzem; uczyniwszy Szajzar główną bazą klanu, rozciągnął swe panowanie aż do Latakii nad Morzem Śródziemnym. Kiedy jednak zmarł, a władzę przejął najstarszy z jego synów Nasr, szybko okazało się, że daleko padł daktyl od palmy i większość zdobyczy została utracona, a władztwo rodziny Munkizydów skurczyło się do samego Szajzaru i okolicznych wiosek. Najlepszym uczynkiem Nasra wobec jego rodu było to, że szybko zmarł i nie zdążył narobić większych szkód. Państewko przeszło teraz w ręce ojca Usamy: Madż ad-Dina Salamy Murszida. Ten jednak nie czuł się na siłach, by rządzić dziedzicznymi włościami, i abdykował na rzecz swego młodszego brata – Abu'l Asakira, który okazał się on godnym synem Sadida al-Mulka i przyjął tytuł sułtana.

Usama ibn Munkiz spędził szczęśliwe dzieciństwo, ucząc się literatury, studiując Koran i doskonaląc się w rzemiośle wojennym. Od 15. roku życia regularnie brał udział w potyczkach toczonych przez jego ród z innymi dynastami muzułmańskimi lub Frankami z państw krzyżowych. W 1129 r. opuścił rodzinny gród i rozpoczął trwającą następne cztery dekady karierę wędrownego rycerza i dworzanina. W tym czasie mieszkał w Mosulu, Damaszku, Kairze i innych ważnych ośrodkach świata islamu, wielokrotnie odwiedzał też Jerozolimę i odbył pielgrzymkę do Mekki. W Damaszku właśnie w roku 1157 doszły go tragiczne wieści. Szajzar został zniszczony przez trzęsienie ziemi, a wszyscy członkowie rodu Munkizydów, zgromadzeni na rodzinnej uroczystości, zginęli pod gruzami. Jedynymi, którzy pozostali przy życiu z rozgałęzionego dotychczas klanu, byli Usama i towarzyszący mu synowie.



Saladyn FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ATLANTE DELLA ARTE ITALIANA

Nasz bohater służył kolejno przedstawicielom syryjskiej dynastii Zengidów, dwóm egipskim kalifom z rodu Fatymidów, na koniec zaś został członkiem dworu Saladyna, pod którego protekcją przeżył swoje starcze lata. Tych zaś było wiele, bo Usama zmarł w nieprawdopodobnym dla człowieka średniowiecza wieku 93 lat! Spisując na przełomie dziewiątej i dziesiątej dekady życia swoje wspomnienia, dziwił się samemu sobie, że dożył późnej starości, skoro przez całe życie wystawiał się na niebezpieczeństwa w bitwach, na łowach i biorąc udział w intrygach dworskich

W kręgu najbliższych

Usama na kartach swego dzieła zawarł wzruszające wyznanie starego człowieka, przyznając, że jego myśli nieodmiennie zwracają się ku przeszłości. Swoją autobiografię spisywał prawdopodobnie w celu terapeutycznym, wzdychając na jej kartach nad trudami starczego żywota. Z goryczą pisał, że latami dzierżył miecz i włócznię, galopował konno, miażdżył wrogów w bitwach i zabijał lwy, a teraz ledwie chodzi i nie jest nawet w stanie schylać się, by bić pokłony w czasie modlitwy. Rozgoryczony radził czytelnikom, by nie marzyli o długim życiu, bo starość jest najstraszliwszą z chorób, i opisywał bezsenne noce spędzane na ponurych myślach. Dlatego pisanie o szczęśliwych latach młodości było dlań ucieczką od smutnej teraźniejszości.

Dużo miejsca poświęcił nasz bohater swojemu ojcu. Postać Salamy Murszida jawi się zresztą nadzwyczaj ciekawie. Nie był on tak ruchliwy jak jego syn, nie miał też ambicji robienia kariery na dworach wielkich władców epoki i stanowił raczej typ domatora oraz uczonego. Jednak gdy trzeba było, chętnie przywdziewał zbroję i ruszał pod sztandarem swego brata sułtana w bój zarówno przeciwko niewiernym Frankom, jak i muzułmańskim sąsiadom naruszającym miedzę.

Największą miłość ojca Usamy stanowił Koran. Salama nocami w nieskończoność przepisywał świętą księgę muzułmanów, tworząc kunsztownie zdobione manuskrypty. Gdy leżał już na łożu śmierci, krewni otworzywszy kufer, w którym przechowywał swoje dzieła, odkryli, że w ciągu swego życia Salama stworzył 43 kopie Koranu. Wszystkie egzemplarze na jego wyraźnie życzenie złożono wraz z nim do grobu. Ponadto rodzic autora „Księgi pouczających przykładów" był zapalonym recytatorem sur, jeszcze jako 80-letni starzec potrafił zarwać noc, by do rana wyrecytować całość objawień Mahometa. W jednym z owych religijnych maratonów towarzyszyła mu jego matka, a babka Usamy – staruszka licząca sobie... 100 lat, która również nie zmrużyła oka do końca recytacji. Jak się wydaje, nasz bohater długowieczność miał zapisaną w genach.

Mimo całej swej pobożności Salama był zapalonym adeptem astrologii. Jeśli akurat nie oddawał się po zmierzchu

eprasa.pl 0c302ee7c4

czynom pobożnym, wpatrywał się w ugwieżdżone niebo z wież rodzinnej twierdzy i kreślił horoskopy. Do swoich umiejętności odczytywania przyszłości z gwiazd miał całkowite zaufanie. Pewnego razu, gdy jechał wraz z synem przez niebezpieczną okolicę, w której w każdej chwili mógł się spodziewać ataku, uparcie odmawiał nałożenia na siebie zbroi i przejścia z muła na konia bojowego. Jak bowiem wyjaśnił Usamie, sprawdził swój horoskop i nie znalazł w nim nic, co zapowiadałoby jakiekolwiek niebezpieczeństwo.

Kobietą niezwykłego charakteru była też matka Usamy. Cechowały ją duma i szaleńcza odwaga. Pewnego dnia Szajzar został zaatakowany przez oddział bojowników z sekty asasynów. Gdy na murach twierdzy trwał bój, żona Salamy rozdała sługom broń i kazała im dołączyć do obrońców, po czym wraz z córką wyszła na balkon haremu wiszący nad skalistą przepaścią i razem z nią usiadła na poręczy. Kiedy po skończonej – zwycięskiej – potyczce Usama udał się do kobiecych komnat, usłyszał od rodzicielki, że w wypadku zdobycia zamku przez napastników zamierzała ona zepchnąć jego siostrę w rozpadlinę, po czym planowała skoczyć tam w ślad za nią w przekonaniu, że śmierć będzie lepsza niż niewola u asasyńskiej hołoty.

Wielką miłością i szacunkiem darzył autor też swojego stryja sułtana, opisując go w samych superlatywach jako wielkiego rycerza. Aczkolwiek Usama wbił głowie klanu pewną drobną szpileczkę, pisząc, że choć Asakira nie przerażał szczęk bitewny i zawsze dzielnie stawał w polu, to dostawał szaleńczych ataków paniki za każdym razem, kiedy zobaczył… mysz.

Wojna i pokój

W Syrii trwały niekończące się walki o miedzę. Podczas gdy potężni atabegowie, sułtani, kalifowie i królowie chrześcijańscy toczyli tytaniczne zmagania, kilka stopni drabiny feudalnej niżej ich drobni wasale radośnie dusili swój swego, w sposób przypominający bójki Kargulów z Pawlakami. Tyle że z wykorzystaniem ostrej broni, czego efektem było mnóstwo trupów.



Baldwin II, hrabia Edessy, król Jerozolimy FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Usama po raz pierwszy wziął udział w bitwie jako nastolatek. Było to starcie z frankijskimi rycerzami. Udało mu się zadać cios kopią, która przebiła się przez kolczugę na boku przeciwnika i wyszła po jej drugiej stronie. Przekonany, że zabił pierwszego niewiernego w swoim życiu, chłopak wrócił dumny do Szajzaru. Wkrótce potem twierdzę rodową Munkizydów odwiedził krzyżowiec z Apamei. Ugoszczony godnie przez sułtana zażądał natychmiastowego spotkania z jego bratankiem. Zdziwiony Usama stawił się zatem przed obliczem gościa, który oświadczył, że przyjechał z wizytą, by zobaczyć wojownika, który zadał tak niezwykły cios jego znajomemu rycerzowi Filipowi. Jak się okazało, młody ibn Munkiz starł się z nie byle kim, lecz jednym ze sławniejszych frankijskich wojowników! Co więcej, jego pchnięcie kopią stało się sławne, gdyż – jak się okazało – broń co prawda przeszła przez pancerz na wylot, ale ześlizgnęła się po biodrze przeciwnika, nie przebijając jego ciała i nie czyniąc mu żadnej szkody.

To, że kilka dni po bitwie między chrześcijanami a muzułmanami wczorajsi wrogowie składali sobie przyjacielskie wizyty, dobrze obrazuje atmosferę panującą na syryjskim pograniczu. Co prawda, trwały tu nieustanne wojenki, ale poza wyjątkowymi wydarzeniami o wielkiej skali, takimi jak wyprawy krzyżowe czy większe kampanie, owe tlące się bez końca konflikty miały charakter raczej sportowej rywalizacji między rycerzami obu stron, którzy traktowali się z wzajemnym szacunkiem. Choć trzeba przyznać, że niekiedy łamano dobre obyczaje, co wzbudzało spore oburzenie. Przykładowo: człowiekiem nieprzestrzegającym reguł był książę Antiochii i weteran I wyprawy krzyżowej Tankred. Usama wspominał, że pewnego dnia młodzieniec należący do chorągwi jego stryja odwiedził Antiochię, gdzie wziął udział w turniejowych walkach i gonitwach. Swoją biegłością w walce wzbudził wielki podziw księcia, który obsypał go podarunkami i obiecał list żelazny, gwarantujący właścicielowi bezpieczeństwo w razie trafienia do frankijskiej niewoli. Wkrótce potem walki między krzyżowcami a muzułmanami uległy wznowieniu, a niedawny gość Tankreda brał w nich udział. Niestety, zmienne losy wojny sprawiły, że w jednej z potyczek został wzięty do niewoli, i to przez rycerzy swojego niedawnego gospodarza! Władca Antiochii zamiast zachować się honorowo, nakazał młodzieńca poddać różnym bolesnym torturom, a na koniec wyłupić mu prawe oko, tak by nie mógł więcej brać udziału w bitwach (unoszący tarczę wojownik zakrywał sobie nią lewą część twarzy, więc pozbawiony prawego oka Arab miałby od tej pory do wyboru: walczyć bez tarczy lub po omacku).

Frankowie bywali różni i choć Usama nazywał ich w swej księdze szatanami i zwierzętami, nieustannie na nich pomstując, to z wieloma z nich zarówno on, jak i jego rodzina się przyjaźnili. Z sympatią wspomina choćby o rycerzu imieniem Teodor, który goszcząc muzułmanów na wydawanych przez siebie bankietach, rozwiewał ich wątpliwości co do menu deklaracją, że nie spożywa wieprzowiny, a jego pochodzący z Egiptu kucharze gotują mu wyłącznie żywność dopuszczoną przez szariat. W bardzo dobrych stosunkach klan Munkizydów pozostawał też z królem Jerozolimy – Baldwinem II, który gościł nawet przez pewien czas w Szajzarze. Kiedy ojciec

eprasa.pl 0c302ee7c4

i stryj naszego bohatera popadli w tarapaty finansowe i nie mieli jak spłacić pożyczki zaciągniętej u księcia Antiochii, frankijski monarcha pomógł im doprowadzić do umorzenia kredytu.

Powszechnie wiadomo, że spośród wszystkich rycerzy walczących w barwach państw krzyżowców muzułmanie najbardziej nienawidzili templariuszy i przedstawicieli innych zakonów rycerskich. Tym bardziej zaskakuje to, że Usama miał wśród templariuszy serdecznych przyjaciół i gdy odwiedzał Jerozolimę, zatrzymywał się w kwaterze zakonu na wzgórzu świątynnym!

Obok zajętego przez templariuszy meczetu Al-Aksa, który stał się ich główną siedzibą, znajdował się też mniejszy meczet przerobiony na kościół. Gospodarze nie mieli nic przeciwko temu, by ich gość odwiedzał świątynię i ustawiając się twarzą na zachód, w kierunku dawnej kibli wskazującej Mekkę, odprawiał tam nakazywane przez islam modły. Pewnego dnia doszło jednak do nieprzyjemnego incydentu. Jeden z przebywających w kościele pielgrzymów z Europy, widząc bijącego pokłony wyznawcę Mahometa, skoczył na Usamę, złapał go za szaty i zaczął brutalnie szarpać. Na pomoc naszemu bohaterowi pośpieszyli templariusze, którzy odciągnęli awanturnika. Jak później wytłumaczyli ibn Munkizowi zażenowani bracia, mężczyzna ten dopiero co przypłynął do Ziemi Świętej i nie znał jeszcze panujących w niej zwyczajów. Autor „Księgi pouczających przykładów" wiele lat później przytoczył to wydarzenie na potwierdzenie tezy, że nowo przybyli Frankowie mają o wiele gorsze obyczaje niż osiadli od dawna w Lewancie. Ci ostatni bowiem zdążyli się już ucywilizować pod wpływem swoich muzułmańskich sąsiadów.

Sporą część dzieła Usamy stanowią jego rozważania na temat krzyżowców. Generalnie nie miał o nich zbyt dobrego zdania, pisząc, że jedyną wykazywaną przez nich cnotą jest dzielność w bitwie, poza tym uważał ich za dzikusów i rozpustników. Frankowie w jego opinii byli całkowicie pozbawieni męskiej dumy oraz honoru (prawdopodobnie zachodni rycerze, gdyby mogli przeczytać autobiografię naszego bohatera, bardzo by się zdziwili – dokładnie te same wady przypisywali muzułmanom).

Syn Szajzaru ze zgrozą opisywał, że Frankowie pozwalają swym żonom rozmawiać z obcymi mężczyznami, a nawet zostawiają ich ze sobą sam na sam. Zszokowany odnotował historię pewnego kupca z Nablusu, który wróciwszy do domu po ciężkim dniu pracy, zastał swoją żonę w łóżku z jakimś nieznanym mu jegomościem. Gdy zapytał niespodziewanego gościa, co robi w jego łożu, ten odpowiedział, że… przechodził obok, poczuł się zmęczony, więc wszedł i się położył. – No dobrze – indagował gospodarz – ale dlaczego w takim razie spoczywa obok ciebie moja żona? Odpowiedź, jaką usłyszał, była bezcenna, więc pozwolę sobie zacytować dosłownie opisujący ją fragment:



Meczet Al-Aksa w Jerozolimie
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/GODOT 13

„Odrzekł nieznajomy: »Przecież pościel należy do niej, czy mogłem zabronić jej własnej pościeli?«. Powiedział na to Frank: »Przysięgam na prawdziwość mej wiary, jeśli jeszcze raz zrobisz to samo, posprzeczamy się ze sobą«. I tylko tak okazał swoją dezaprobatę i wielką zazdrość".

Przerażeniem napawały autora księgi frankijskie rozrywki. Z niesmakiem opisał widowisko, które zrobiło sobie kilku jerozolimskich rycerzy. Wytyczyli tor wyścigowy, na końcu którego ułożyli związanego prosiaka. Następnie kazali ścigać się na tym dystansie dwóm starym kobietom, za którymi ze śmiechem jechali i dźgali je końcami włóczni, raz po raz obalając na ziemię. Ta z nieszczęsnych ofiar, która pierwsza dotarła do zwierzęcia, otrzymała je w nagrodę…

U kresu życia

Relacja spisywana przez sędziwego Usamę, żyjącego w znajdującym się pod panowaniem Saladyna Damaszku, jest bardzo chaotyczna, a autor skacze w niej z tematu na temat, przelewając na papier to, co akurat przychodzi mu do głowy. Mimo tej słabości jest to wspaniałe dzieło literackie. Dla niego samego praca nad autobiografią była jak powrót do szczęśliwych lat młodości. Być może najlepiej będzie zakończyć nasze spotkanie ze zmarłym w 1188 r. arabskim wojownikiem, cytując słowa, którymi podsumował gorzki posmak ostatnich lat swego życia:

„Nie wiedziałem, że starość jest chorobą powszechną i że atakuje ona każdego, o kim zapomniała śmierć […]. Słabość pochyliła mnie ku ziemi, a starość spowodowała, że jedna część mego ciała jakby weszła w drugą, tak jakby ciało moje się skurczyło i nie poznawałem siebie, a zacząłem tęsknić za tym, co było wczoraj […]. Myślałem sobie, że czas nie niweczy tego, co nowe, i nie słabnie ten, kto jest silny. I że ja, kiedy powrócę do Syrii, odnajdę moje dnie takie, jakie kiedyś znałem, i czas nie zmienił niczego podczas mojej nieobecności. Lecz kiedy powróciłem, okazały się kłamliwe przyrzeczenia moich pragnień; moje mniemania okazały się jak błyszcząca fatamorgana".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0c302ee7c4



1889–1938 / Marynarz rewolucjonista

„Prigożyn” Lenina

Szturm na Pałac Zimowy (widowisko z 1920 r. wyreżyserowane pod kierunkiem N. Jewreinowa). Fotografia prezentowana w wielu publikacjach jako autentyczny obraz wydarzeń z 1917 r., zarówno w Rosji, jak i na świecie FOT. DOMENA PUBLICZNA



Mikołaj Iwanow

Pawieł Dybienko zrewoltował Flotę Bałtycką, co pozwoliło bolszewikom przejąć Piotrogród. Zrobił zawrotną karierę w szeregach partii bolszewickiej, mimo że w 1918 r. organizował rebelię wymierzoną w... Lenina

Głównym architektem i ideologiem rewolucji bolszewickiej był bezsprzecznie Włodzimierz Lenin. Swoistym motorem tej rewolucji był z kolei Lew Trocki, pełniący w październiku 1917 r. funkcję przewodniczącego Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Trzecią, prawdopodobnie najważniejszą rolę w czasie tej rewolucji odegrał zaś Pawieł Dybienko, przewodniczący tzw. Centrobałtu (Rady Deputowanych Marynarzy Floty Bałtyckiej). Dlaczego znalazł się on na tym swoistym czerwonym „podium”?

Bolszewicy w przededniu rewolucji październikowej nie mieli poparcia większości narodu. W ostatnich wyborach do pierwszego w historii Rosji wolnego parlamentu (Wszechrosyjskiego Zgromadzenia Ustawodawczego) bolszewicy uzyskali ogółem zaledwie 21 proc. głosów. Wygrali je jednak w kluczowych dla kraju „obszarach”: w stolicach (Piotrogrodzie i Moskwie), wśród wojska i we Flocie Bałtyckiej. A to właśnie flota odegrała bardzo ważną, być może nawet decydującą rolę w zwycięstwie bolszewików.

Rosyjska marynarka wojenna na Bałtyku w okresie pierwszej wojny światowej stanowiła poważną siłę. W czterech portach wojennych na Bałtyku zacumowanych było ponad 700 okrętów i statków (8 liniowców, 9 krążowników, 68 niszczycieli, 28 lodzi podwodnych i mnóstwo jednostek pomocniczych). Liczba marynarzy przekraczała 100 tys. W większości byli to zwolennicy partii bolszewickiej i anarchiści. W przededniu przewrotu bolszewickiego na rozkaz Dybienki do Piotrogrodu przerzucono prawie 40 tys. zbuntowanych marynarzy, którzy stanowili trzon wojsk lojalnych bolszewikom. Na prośbę Trockiego Dybienko skierował do stolicy również kilka okrętów na czele z krążownikiem „Aurora”. To właśnie strzał armaty „Aurory” stał się sygnałem do rozpoczęcia szturmu na Pałac Zimowy.

Krnąbrny pijak

Pawieł Dybienko należał do partii bolszewickiej od 1915 r. Jego kariera przyspieszyła niesamowicie po rewolucji lutowej 1917 r. Był on marynarzem na liniowcu „Imperator Pawieł I”, znanym ze swej odwagi i przedsiębiorczości, a także z cynizmu, skłonności do pijaństwa i niesubordynacji. Był dla Lenina idealnym człowiekiem do zrewoltowania Floty Bałtyckiej.

Pierwszą próbę przejęcia władzy przy pomocy zbuntowanych marynarzy partia Lenina i Trockiego podjęła w lipcu 1917 r., ale wtedy pucz przeciwko Rządowi Tymczasowemu się nie udał.

eprasa.pl 0c302ee7c4



Pancernik „Aurora” FOT. WIKIPEDIA/MARKV

Dybienko na 45 dni trafił do więzienia, a Lenin musiał zejść do podziemia. Jednak już w październiku armia marynarzy, na czele z Dybienką, zwyciężyła. W pierwszym porewolucyjnym rządzie Lenina Dybienko został komisarzem do spraw morskich, któremu, przynajmniej w teorii, podlegały wszystkie floty byłego imperium: Flota Bałtycka, Flota Czarnomorska, Flota Oceanu Spokojnego i Flota Oceanu Lodowatego.

Lenin i kierownictwo partii bolszewickiej na pewno byli świadomi, że Dybienko nie miał ani wykształcenia, ani zdolności, ani doświadczenia życiowego, aby zostać naczelnym sowieckim admirałem. Pomimo tych braków miał jednak ważną zaletę: umiał zapanować nad rozpitym do granic możliwości, zbuntowanym bractwem marynarskim, które w ostatnim czasie sięgnęło po ogromne zapasy wina rodziny carskiej. W tym czasie mieszkańców Piotrogrodu ogarnął strach przed hordami pijanych marynarzy zabijających na ulicach praktycznie każdego napotkanego oficera lub „burżuja” (uznany za takiego mógł zostać każdy porządnie ubrany obywatel...).

Marynarze Dybienkę poważali, uważali go za „swojego”, ufali mu i mogli się mu podporządkować, gdy nad bolszewicką władzą zawisło śmiertelne zagrożenie. Kiedy po załamaniu rozmów pokojowych z Niemcami w Brześciu na początku 1918 r. rozpoczęła się ofensywa niemiecka na froncie wschodnim, armia rosyjska (znajdująca się w stanie rozpadu) nie była w stanie funkcjonować. Wówczas zdecydowano o wysłaniu na front „gwardii rewolucyjnej” w postaci marynarzy Floty Bałtyckiej. Jednak walki pod Jamburgiem (18–20 lutego 1918 r.) zakończyły się sromotną klęską oddziału Dybienki. Sam świeżo upieczony admirał musiał uciekać z pola bitwy z garstką ocalałych towarzyszy. Po drodze, w rejonie Gatczyny, marynarze natknęli się na stacji kolejowej na kilka wagonów ze spirytusem. Rozpoczęło się pijaństwo, świętowanie „zwycięstwa” nad Niemcami. W wyniku tego zdarzenia oddział Dybienki rozbrojono, a samego dowódcę próbowano aresztować i oddać pod sąd.

Uratowała go Aleksandra Kołłontaj, która była nie tylko blisko zaprzyjaźniona z Leninem, lecz także była jednym z bolszewickich liderów i pierwszą w historii kobietą komisarzem ludowym. Przyczyna poparcia ze strony pierwszej sowieckiej feministki była dość prozaiczna. Czterdziestopięcioletnia Kołłontaj do szaleństwa zakochała się w 29-letnim bolszewickim marynarzu. Ich małżeństwo trwało zaledwie kilka lat, lecz dla Dybienki był to bardzo korzystny układ.



Pawieł Dybienko i Aleksandra Kołłontaj FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Pawieł Dybienko FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Niedługo później Kołłontaj przyłączyła się do grupy tzw. lewicowych komunistów, stanowczo opierając się podpisaniu układu pokojowego z Niemcami. Z tego powodu straciła częściowo wpływy w partii (została wyrzucona z Biura Politycznego i usunięta z posady ministerialnej). Dybienko natomiast, pozbawiony patronatu żony, został oskarżony o tchórzostwo, sprzyjanie pijaństwu i brak dyscypliny wśród marynarzy, po czym zwolniono go z posady głównodowodzącego marynarki i wykluczono z partii. Żona namówiła go jednak, by nie wywieszał białej flagi. Zgromadził wokół siebie grupę oddanych mu, gotowych na wszystko (rzadko kiedy trzeźwych) marynarzy i wbrew woli Lenina wezwał do tworzenia oddziałów partyzanckich na terenach okupowanych przez Niemców.

17 marca 1918 r. szef Czeka Feliks Dzierżyński wydał rozkaz aresztowania Dybienki. Trocki na posiedzeniu Biura Politycznego domagał się nawet przeprowadzenia procesu pokazowego zbuntowanego marynarza i skazania go na śmierć. Pięć kolejnych posiedzeń Biura Politycznego poświęcono losom byłego czerwonego admirała. W końcu zapadła decyzja: postanowiono o warunkowym zwolnieniu Dybienki, co z entuzjazmem przyjęli marynarze, którzy przenieśli się z Piotrogrodu do Moskwy, siejąc odtąd postrach na ulicach nowej bolszewickiej stolicy.

Fikcyjna niezależność

Po decyzji Biura Politycznego Dybienko przeprowadził się z Moskwy do Samary, gdzie próbował stanąć na czele rebelii przeciwko Leninowi. Wkrótce dołączyła do niego Kołłontaj. Oboje zjednoczyli wokół siebie wszystkich przeciwników pokoju z Niemcami, czyli tzw. lewicowych komunistów, lewicowych eserowców, anarchistów, bolszewików maksymalistów i innych skrajnych rewolucjonistów. Powołali oni do życia Republikę Samarską, na której czele stanął Dybienko. Wydawało się wtedy, że otwarta konfrontacja między „lewicowymi bolszewikami” a Leninem jest nieunikniona. Jednak przywódca zaproponował wówczas niespodziewanie Dybience i Kołłontaj amnestię

eprasa.pl 0c302ee7c4

oraz powrót w szeregi partii, z czego ci skorzystali. Na początku maja 1918 r. Dybienko zjawił się na Kremlu i złożył na ręce Lenina obietnicę, że nigdy nie wystąpi już przeciwko „partii matce".

Najciekawsze w tej dziwnej przepychance między czołowymi bolszewikami było to, że za poglądy inne niż leninowskie nie tylko nie karano śmiercią, lecz także pozwalano nawet otwarcie bronić swych tez. Dybienko mógł głosić swoje opinie podczas „procesu ludowego", który wytoczyła mu partia, co skończyło się pokazem krasomówstwa ze strony byłego marynarza. „Nie boję się wyroku sądu rewolucyjnego, boję się wyroku sądu w sprawie rewolucji październikowej, przeciwko tym zwycięstwom, zdobytym przelewem krwi wielkiego proletariatu rosyjskiego. Pamiętajcie, terror Robespierre'a nie zdołał uratować rewolucji francuskiej, nie uratował samego Robespierre'a. Nie wolno dopuścić do prywatnych porachunków w rządzie, do wyeliminowania komisarza ludowego niezgadzającego się z polityką rządu" – mówił Dybienko. Nie brak opinii, że jego mowę przygotowała sama Kołłontaj.

Sąd był zmuszony uniewinnić Dybienkę, ku radości marynarzy, którzy na rękach wynieśli swego przywódcę z sali rozpraw. Lenin na wieść o uniewinnieniu zażartował, że sąd zamiast skazywać Dybienkę za zdradę rewolucji, powinien skazać go raczej na pięć lat wierności Kołłontaj. Słowa te okazały się w jakimś sensie prorocze. Wkrótce Dybienko zdradził bowiem swą żonę z młodą dziewczyną. Kiedy Kołłontaj dowiedziała się o tym, natychmiast się z nim rozwiodła.

Nowe zadania

W czasie wojny domowej w Rosji różne grupy walczyły o zupełnie różne cele. „Biali" chcieli odrodzenia carskiego imperium, powstańcy ukraińscy walczyli o niepodległość Ukrainy, a Gruzini o swą niezależność. W tyglu odmiennych dążeń spore poparcie miał też ruch anarchistyczny pod dowództwem Nestora Machny, który kontrolował rejony południowo-wschodniej Ukrainy. Dla Lenina był to człowiek niebezpieczny, którego należało zawczasu zneutralizować. To zadanie otrzymał Dybienko, który miał się



Pomnik Dybienki w Symferopolu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/RUMLIN

w ten sposób całkowicie zrehabilitować. Były admirał miał przeciągnąć armię anarchistów na stronę bolszewików. Był to zresztą krok logiczny, ponieważ Dybienko jako szef „Centrobałtu" aktywnie współpracował z anarchistami, a w czasie swego buntu samarskiego korzystał z ich pomocy.

Przybycie Dybienki do sztabu Machny zostało odebrane przez anarchistów jako ukłon Lenina w ich stronę. Wkrótce oddziały dowodzone przez Machnę stały się częścią Armii Czerwonej pod nazwą Dywizja Zadnieprzańska. W jej składzie walczyło do 10 tys. ludzi. Dybienko wprowadził w dywizji żelazną dyscyplinę, chcąc przekonać Lenina, że na dobre się zmienił i przestał „wierzgać", a jego jedynym autorytetem jest Komitet Centralny partii bolszewickiej. W ten sposób stał się on jednym z najbardziej gorących zwolenników czerwonego terroru.

Hojną ręką wydawał wyroki śmierci, skazując na nią zarówno faktycznych wrogów bolszewizmu, jak i niedawnych sprzymierzeńców: lewicowych eserowców i anarchistów. To w końcu spotkało się z oporem. Po rozstrzelaniu kolejnych 20 „machnowców" w Jekaterynosławiu (dzisiejszy Dniepr) wybuchł konflikt. Dybienko zaczął więc szykować zabójstwo Nestora Machny. Ten jednak wyczuł podstęp i nie dał się złapać w pułapkę zastawioną przez Dybienkę.

Po tych wydarzeniach drogi bolszewików i anarchistów na południu Ukrainy się rozeszły. Dywizja pod dowództwem Dybienki mało czym różniła się od armii Machny. Jego żołnierze terroryzowali miejscową ludność, charakteryzowali się brakiem dyscypliny, grabili nawet pociągi z żywnością zmierzającą do Moskwy czy Piotrogrodu. W końcu Trocki zmuszony był odwołać Dybienkę z frontu. Planowano znów oddać go pod sąd, lecz zamiast tego Lenin zdecydował o skierowaniu go do nowo utworzonej Akademii Sztabu Generalnego Armii Czerwonej. Po krótkim przeszkoleniu przydzielono Dybienkę do 1. Armii Konnej Siemiona Budionnego, gdzie dowodził jedną z dywizji.

Można powiedzieć, że prawdziwa kariera „bohatera" wojny domowej rozpoczyna się dla niego na samym jej końcu. Skierowano go do dławienia powstań ludowych wywoływanych przeciwko bolszewickiej tyranii. Za swą „bohaterską" postawę otrzymał trzy Ordery Czerwonego Sztandaru, zostając tym samym jednym z najbardziej utytułowanych dowódców w Armii Czerwonej.

Pierwszy order dostał za zdławienie powstania marynarzy z Kronsztadu – tych samych, którzy kiedyś stanowili gwardię Lenina i obrali Dybienkę swym dowódcą. Dybienko wielce zasłużył się także dla władzy bolszewickiej w czasie dławienia powstania chłopskiego w guberni tambowskiej. Wykazał się tam niezwykłą „innowacyjnością", używając gazów bojowych przeciwko powstańcom.

W latach wielkiego terroru Stalin postanowił wykorzystać Dybienkę. W trakcie procesu marszałka Tuchaczewskiego i innych czołowych sowieckich wojskowych to Dybienko wystąpił jako główny oskarżyciel. Misja tropienia „wrogów" partii nie trwała jednak długo. 25 stycznia 1938 r. Stalin i Mołotow podpisali specjalne postanowienie KC WKP(b), w którym Dybienko został scharakteryzowany jako moralnie zepsuty człowiek. Wreszcie padło oskarżenie o szpiegostwo na rzez USA, które oparto na tym, że jego siostra... mieszkała za oceanem. Pawieł Dybienko został rozstrzelany 29 lipca 1938 r. razem z głównodowodzącym marynarką wojenną ZSRS Władimirem Orłowem i pięcioma innymi oficerami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0c302ee7c4



Adam Cyra

Fragment książki

„Rotmistrz Pilecki. Ochotnik do Auschwitz”

Tajna armia rotmistrza

Tworzona w Warszawie podziemna organizacja wojskowa miała mieć wyraźne oblicze chrześcijańsko-narodowe. Witold Pilecki zaproponował dla niej nazwę: Tajna Armia Polska



Witold Pilecki na czele defilady w Lidzie FOT. IPN

W połowie 1939 roku polskie władze wojskowe wydały wiele zarządzeń mobilizacyjnych, spowodowanych przygotowaniami Niemiec hitlerowskich do wojny i koncentracją ich sił nad granicą Polski. Dotyczyło to również 19. Dywizji Piechoty i jej kawalerii dywizyjnej.

26 sierpnia 1939 roku pod dom ppor. rez. Witolda Pileckiego w Sukurczach podjechał autem goniec, zawiadamiając na polecenie mjr. Mieczysława Gawrylkiewicza o mobilizacji i zbliżającej się wojnie. Pilecki natychmiast dosiadł Bajki [swojego konia – przyp. red.] i udał się do sąsiedniej Krupy, gdzie zorganizował punkt mobilizacyjny. Wkrótce przyjechał tam mjr Gawrylkiewicz i wspólnie zaczęli tworzyć – ze zgłaszających się krakusów oraz ułanów przydzielonych na podstawie kart mobilizacyjnych – szwadron kawalerii dywizyjnej 19. Dywizji Piechoty. Składał się on z pięciu plutonów liniowych, plutonu karabinów maszynowych oraz plutonu technicznego.

29 sierpnia szwadron w pełnym rynsztunku bojowym opuścił Krupę [...], a 4 września dotarł na miejsce [tzn. w okolice Piotrkowa – przyp. red.]. Wtedy już nieprzyjacielskie lotnictwo rozpoczęło na tym obszarze silne naloty bombowe: „W naszym szwadronie – napisał Pilecki – mieliśmy kilku zabitych i rannych”. Natarcie niemieckiej jednostki pancernej zmusiło 19. Dywizję Piechoty do wycofywania się w kierunku na Tomaszów Mazowiecki. Jako ostatnia posuwała się kawaleria, która została rozbita przez czołgi niemieckie pod Wolborzem w nocy z 4 na 5 września. Zginęła wówczas Bajka, na której Pilecki wyruszył na wojnę. Tymczasem 5 września gen. Kwaciszewski dostał się do niewoli, a następnego dnia jego dywizja uległa druzgocącej przewadze wroga i przestała mieć wartość bojową. Pilecki zebrał sześćdziesięciu trzech ocalałych ułanów. 5 września oddział przemaszerował przez Tomaszów Mazowiecki, aby następnie skierować się na Warszawę. Do stolicy dotarł w nocy z 6 na 7 września. Przez dwa dni próbował zorganizować obronę Wisły. 9 września zrezygnował [...] [po czym dotarł – przyp. red.] do Włodawy, gdzie pod dowództwem gen. Wacława Piekarskiego formowała się na nowo 41. Dywizja Piechoty, rozbita w poprzednich walkach, które toczono z niemieckim wojskiem podczas wycofywania się znad Bugu.

W tym dniu ppor. Pilecki spotkał mjr. Mandzenko, który polecił mu zorganizować kawalerię dywizyjną 41. Dywizji Piechoty. Po trzech dniach oddział Pileckiego liczył stu sześćdziesięciu

eprasa.pl 0c302ee7c4



Witold Pilecki i Jan Włodarkiewicz FOT. IPN

kawalerzystów, by następnie powiększyć się 15 września o około trzydziestu ułanów, którzy przybyli do Włodawy pod dowództwem mjr. Jana Włodarkiewicza. Był to znajomy Pileckiego sprzed wojny, któremu nazajutrz – po uzgodnieniu z mjr. Mandzenko – przekazał dowództwo nad odtworzoną jednostką. Pilecki został zastępcą dowódcy i dowódcą drugiego plutonu […]. 20 września pod Chełmem kawaleria dywizyjna została osamotniona. Początkowo miała skierować się na Użhorod, aby przejść granicę i udać się na Węgry. Wkrótce jednak Pilecki i pozostali oficerowie podjęli decyzję, że nie opuszczą granic Polski […]. Witold Pilecki posługiwał się wtedy [po przedostaniu się do Warszawy – przyp. red.] nazwiskiem Tomasza Serafińskiego, oficera rezerwy ukrywającego się po kapitulacji stolicy w mieszkaniu znajomej lekarki Heleny Pawłowskiej. Serafiński zostawił tam dowód osobisty i kartę pracy. Później w tym mieszkaniu schronienie znalazł Pilecki, który dowód osobisty z wklejoną swoją fotografią przedstawił władzom niemieckim, otrzymując na powyższe nazwisko potrzebne mu dokumenty.

Inspektor TAP

Major Włodarkiewicz przybył do Warszawy w połowie października 1939 roku i zamieszkał na Mokotowie, w willi należącej do jego matki. Pierwsze kontakty konspiracyjne nawiązał między innymi z mjr. Zygmuntem Bohdanowskim (ps. Bohdan, Bończa), rtm. rez. adwokatem Jerzym de Virion, por. Eugeniuszem Zaturskim i ppor. lotnictwa Jerzym Maringe […]. Postanowiono założyć tajną organizację wojskową o wyraźnym obliczu chrześcijańsko-narodowym, ale nienawiązującą do żadnej z grup politycznych z przedwojennej Polski. Pilecki zaproponował dla niej nazwę: Tajna Armia Polska, w skrócie – TAP. Jedno z pierwszych zebrań konspiracyjnych odbyło się 9 listopada na Żoliborzu przy al. Wojska Polskiego 40/7, w mieszkaniu Eleonory Ostrowskiej, szwagierki Pileckiego […].

10 listopada 1939 roku organizatorzy TAP złożyli uroczystą przysięgę w jednej z kaplic warszawskiego kościoła garnizonowego przy ul. Długiej 15. Przysięgę przyjmował ksiądz Jan Zieja. Następnego dnia wybrali w sposób demokratyczny kierownictwo i podjęli decyzję o kierunkach dalszej działalności. W wyniku głosowania funkcję zastępcy mjr. Włodarkiewicza powierzono Janowi Danglowi, natomiast Witold Pilecki objął początkowo obowiązki szefa sztabu, a później głównego inspektora TAP.

TAP później weszła w skład Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), przemianowanego w 1942 roku na Armię Krajową (AK): „Jej efekty wycenione zostały w raporcie dla Sikorskiego na około dwunastu tysięcy oficerów, podoficerów i żołnierzy […]. Organizacja zgromadziła w Warszawie sto kilkanaście sztuk karabinów i pistoletów dostarczanych przeważnie z Kieleckiego przez przedwojennego przyjaciela Włodarkiewicza, słynnego partyzanta mjr. Henryka Hubala-Dobrzańskiego".

Szeregi TAP szczególnie powiększyły się w listopadzie i grudniu 1939 roku. W tym okresie rozpoczęto także tworzenie struktur poza stolicą, między innymi w województwach: lubelskim, kieleckim i warszawskim. Pilecki wysłał wówczas na wileński adres siostry Wandy kartkę pocztową, na której napisał: „Od czasu, gdy wyjechałem od was, zmieniłem cztery razy konia; poprzęgi zafarbowały się. Ostatnio założyliśmy »spółkę handlową«, przystąpił do niej też wasz znajomy W.S.".

Z tej krótkiej informacji wynikało, że w czasie kampanii wrześniowej Pilecki musiał czterokrotnie zmienić konie, ponieważ padały one od kul. „Spółka handlowa" oznaczała natomiast TAP, w której aktywnie działał również ppłk inż. Władysław Surmacki, mąż Zofii Szukiewiczówny z sąsiadującego z Sukurczami majątku Krupa. Mieszkał on wówczas w Warszawie pod własnym nazwiskiem.

Pilecki początkowo działał na Woli, gdzie utworzył zawiązki trzech plutonów TAP, które z czasem rozrosły się do kompanii. Przetrwały one do wybuchu powstania warszawskiego. Na Żoliborzu zorganizował dwie kompanie, po czym skupił się na Mokotowie, Ochocie, Śródmieściu i Pradze, gdzie z jego inicjatywy powstały zawiązki dwóch batalionów. W maju 1940 roku nowym szefem sztabu TAP został Władysław Surmacki, natomiast Pilecki przeszedł do inspektoratu tej organizacji, który utworzył jako główny inspektor wraz ze Stefanem Bieleckim i Janem Danglem. Witold Pilecki sam o sobie napisał, że: „Chcąc związać możliwie większą ilość dobrych Polaków, nie chciał wprowadzać do pracy jakichkolwiek momentów, które by ich różniły. Podchodził do ludzi apartyjnie i wiązał na płaszczyźnie tylko żołnierskiej, tłumacząc, że interesy partyjne należy zostawić na czas po zdobyciu niepodległości. Takie podejście umożliwiło związanie wielu ludzi, którzy mieli na myśli przede wszystkim wolność Polski".

„Pan w Kratkę"

W konspiracji Pilecki posługiwał się pseudonimami Witold i „Pan w Kratkę. Korzystał z kilku lokali. Jednym z nich było wspomniane mieszkanie Eleonory Ostrowskiej. Kiedy ją odwiedzał, zawsze mówił o nieuchronnej klęsce wojsk niemieckich. Nigdy nie dążył do

eprasa.pl 0c302ee7c4

posiadania władzy czy też uznania za swoją pracę niepodległościową, którą uważał za zwykłą powinność Polaka żołnierza. „Z łatwością się mobilizował i pokonywał trudności – opowiadała szwagierka – szybko oceniał sytuację, działał zdecydowanie z wielkim spokojem i odwagą". Kierowniczką konspiracyjnego sekretariatu TAP była Janina Dal Trozzo-Pieńkowska, która w swoich zapiskach odnotowała: „Wszystko, co robił, robił dokładnie, porządnie, wszystko było wypracowane do najdrobniejszego szczegółu".

Major Włodarkiewicz zajmował się głównie pionem politycznym, który w organizacji TAP tworzyła grupa Znak. Wydawano także pismo o tej nazwie, którego mjr Włodarkiewicz był współredaktorem i wydawcą. Pileckiemu powierzył dział wojskowy, mówiąc, że wierzy mu więcej niż sobie. W połowie czerwca 1940 roku Znak liczył kilkudziesięciu czynnych członków oraz kilkuset sympatyków. Należał do nich między innymi Makary Sieradzki, zaprzysiężony na członka TAP przez Pileckiego. Szczególną aktywność w tej organizacji wykazał także sam Pilecki, który dodatkowo jeszcze zaangażował się w kolportaż prasy podziemnej poprzez utworzenie jej punktu rozdzielczego w sklepie spożywczym Szczepana Rzeczkowskiego przy ul. Żelaznej w Warszawie […].

Na początku lipca aresztowano dr. Władysława Deringa, który w TAP pełnił funkcję szefa służby zdrowia […]. Miesiąc później gestapo ujęło szefa TAP, ppłk. inż. Władysława Surmackiego, który wraz z dr. Deringiem 15 sierpnia został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

Major Włodarkiewicz początkowo nie był zwolennikiem włączenia TAP do ZWZ, którym kierował płk Stefan Rowecki (ps. Grot). Uważał, że jego organizacja powinna działać samodzielnie, ponieważ nawiązała łączność z polskim rządem we Francji i sztabem naczelnego wodza gen. Władysława Sikorskiego, a ponadto powstała wcześniej i była lepiej rozbudowana. Innego zdania był Pilecki, który już wiosną 1940 roku wraz ze Stefanem Miłkowskim (ps. Jeż) nawiązał kontakt z kierownictwem ZWZ. Nie tylko dążył on do wcielenia TAP w jego szeregi, lecz także sprzeciwiał się ogłoszeniu deklaracji ideowo-politycznej, którą opracował major. Sądził, że może ona rozbić spójność działania i spowodować rozłam wśród członków mających różne poglądy polityczne. Być może wzajemne urazy sprawiły, że Włodarkiewicz podjął decyzję o wysłaniu Pileckiego poza Warszawę.

Aresztowanie dwóch osób z kierownictwa TAP spowodowało, że w końcu sierpnia 1940 roku mjr Włodarkiewicz musiał zwołać naradę sztabu. W wyniku przeprowadzonej rozmowy powierzył on funkcję szefa sztabu ppłk. Tadeuszowi Kurcjuszowi (ps. Fischer). Wówczas zapadła także decyzja, aby Pilecki dostał się do obozu oświęcimskiego, założonego przez hitlerowców w przedwojennych koszarach WP, ustalił możliwość uwolnienia osadzonych tam więźniów, a także utworzył konspiracyjną organizację wojskową wewnątrz obozu i przesyłał dane o zbrodniach popełnianych przez SS.

Pilecki wspominał: „Wyjaśniam, że do tego kroku nakłonił mnie mjr Włodarkiewicz Jan przez oświadczenie mi, że wymienił on moje nazwisko przed płk. Roweckim ps. Grot, który był wówczas głównym komendantem ZWZ, jako człowieka, który zdecydowałby się wejść do pierwszego z brzegu obozu i zorganizować tam pracę konspiracyjną". A zatem decyzja ta była niejako wymuszona przez mjr. Włodarkiewicza, który na początku sierpnia 1940 roku powiedział Pileckiemu: „No, spotkał ciebie zaszczyt, twoje nazwisko wymieniłem u »Grota« jako jedynego oficera, który tego dokona […]".

Druga okazja

Początkowo Pilecki wahał się z wykonaniem powierzonego mu zadania i nie pozwolił dać się ująć podczas dużej obławy w Warszawie w pierwszej połowie sierpnia tego roku. Wtedy major rzucił: „Ot, widzisz, nie skorzystałeś z takiej dobrej okazji dostania się w »niewinny« sposób do obozu. Nie miałbyś sprawy, nic by ci nie mogli zarzucić". Ta uwaga spowodowała, że Pilecki skorzystał z drugiej okazji – 19 września 1940 roku.

Decydując się na wykonanie powyższego rozkazu, Pilecki przekazał swoje obowiązki i dotychczas prowadzone sprawy w TAP Stefanowi Bieleckiemu. Wkrótce z komórki wywiadu TAP otrzymał pełny zestaw informacji o metodach stosowanych przez Niemców wobec aresztowanych i więzionych Polaków. Tak przygotowany czekał na odpowiednią okazję.

Awans na porucznika ze starszeństwem z 11 listopada 1941 roku, kiedy Pilecki przebywał już za drutami KL Auschwitz, jest jeszcze jednym z dowodów na to, że gen. Stefan Rowecki wiedział o jego dobrowolnym pójściu do obozu i krok ten w pełni aprobował, gdyż pragmatyka służbowa ZWZ nie przewidywała awansowania i odznaczania więźniów. Wymowne jest również stwierdzenie Pileckiego w jego powojennym raporcie na temat tajnej działalności wojskowej w KL Auschwitz: „[…] w Warszawie awansowano mnie. Za montowanie TAP-u […]. Za przekreślenie ambicji własnych i z chwilą obejrzenia upoważnienia gen. Sikorskiego, za dążenie do podporządkowania wszystkich oddziałów ZWZ-owi, co było pierwszym powodem niezgody z 82 [mjr Jan Włodarkiewicz – przyp. A.C.], a kto wie może powodem, dlaczego znalazłem się poza Warszawą".

W świetle powyższych rozważań nie znajduje potwierdzenia ustalenie, z jakim można spotkać się w wielu opracowaniach, że Pilecki był wyłącznym pomysłodawcą tej akcji i uporczywie dążył do uzyskania na nią przyzwolenia od przełożonych. Niemniej nie można odmówić mu odwagi i determinacji w działaniu, a podjęcie się przez niego wykonania tak niebezpiecznego zadania budzi dzisiaj szacunek i uznanie dla jego postawy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



ADAM CYRA
„ROTMISTRZ PILECKI. OCHOTNIK DO AUSCHWITZ"
WYDAWNICTWO RM

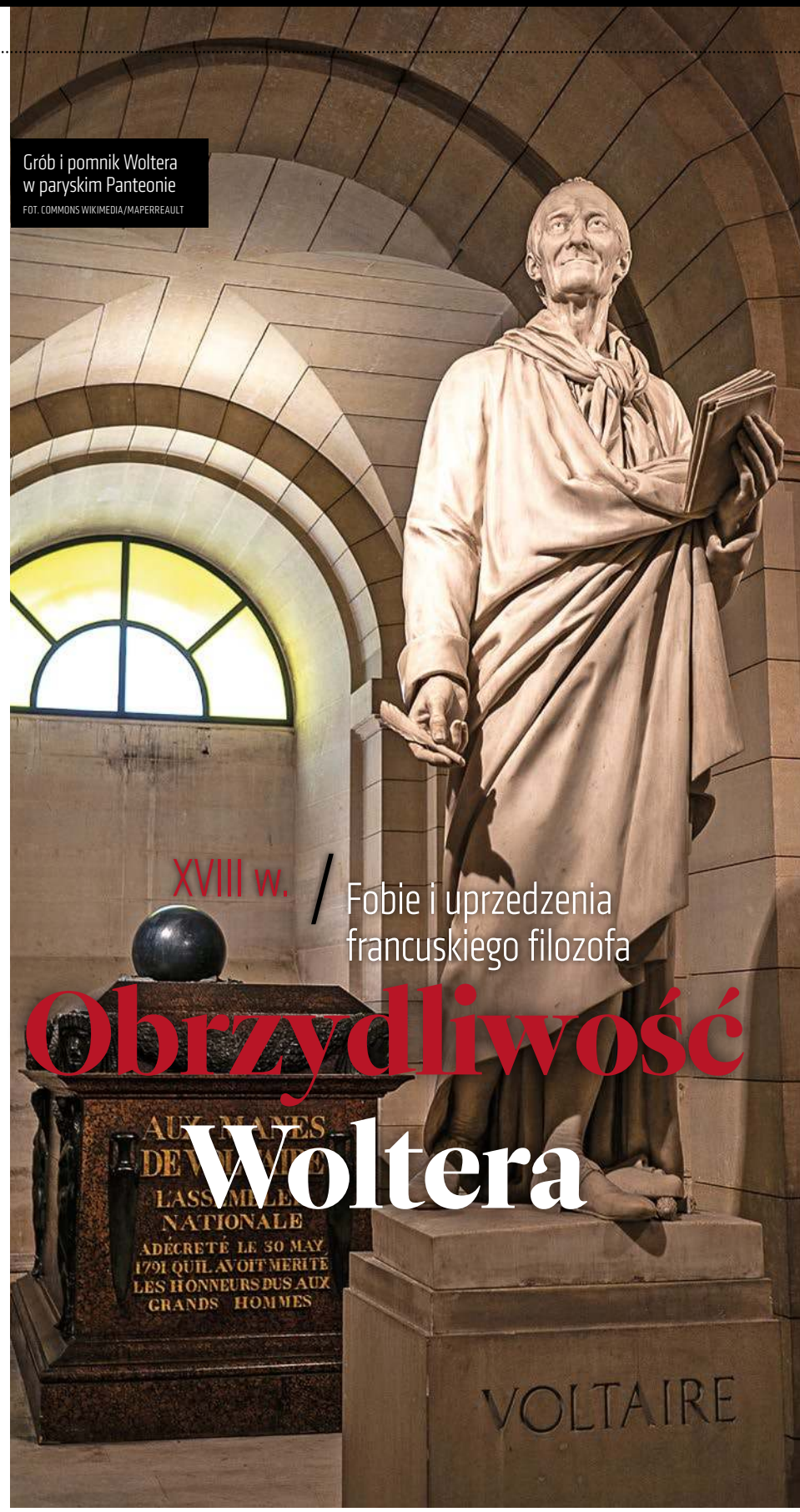
Powyższy tekst jest fragmentem książki dr. Adama Cyry pt. „Rotmistrz Pilecki. Ochotnik do Auschwitz" (Wydawnictwo RM). Z opublikowanego fragmentu usunięte zostały przypisy, które są dostępne w książce. Tytuł, lead oraz śródtytuły pochodzą od redakcji.

eprasa.pl 0c302ee7c4



Piotr Tylus

Ikona oświecenia, tak często brana na sztandary przez dzisiejszych piewców „demokracji liberalnej”, nie za bardzo nadaje się do takiej roli. Wolter był nienawistnikiem, który brzydził się nie tylko Kościołem, lecz także m.in. Żydami i ludźmi z nizin społecznych. Jego listy i prace pełne są treści, które lewica identyfikuje jako „mowę nienawiści”



Grób i pomnik Woltera w paryskim Panteonie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MAPERREAULT

XVIII w. / Fobie i uprzedzenia francuskiego filozofa

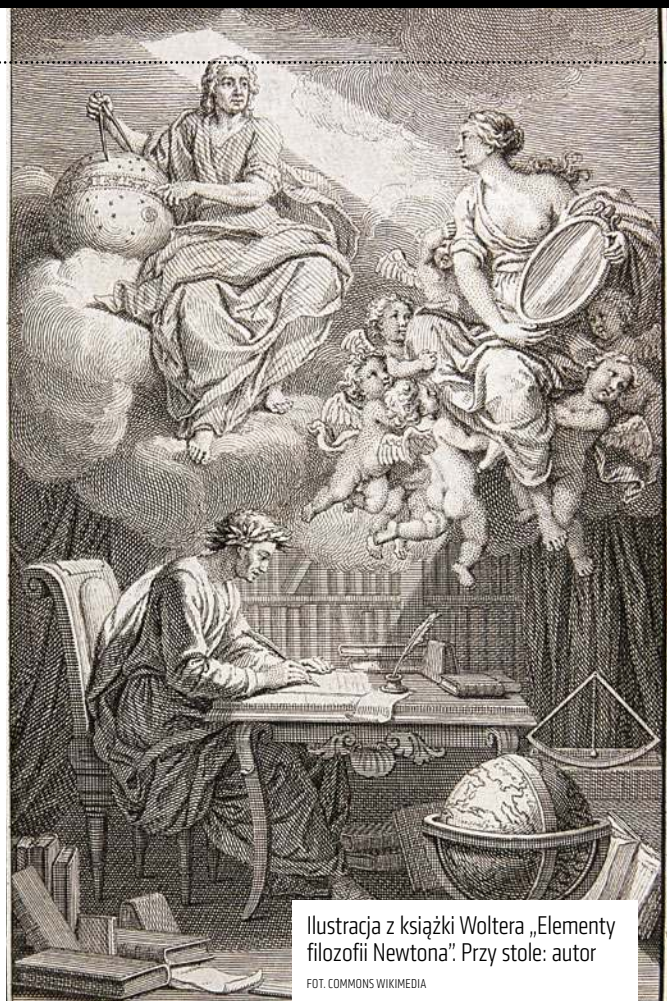
Obrzydliwość Woltera

Zwalczał zabobon, fanatyzm, obskurantyzm, bronił wolności i tolerancji”. Taka mniej więcej jest powszechna opinia na temat Woltera (1694–1778), czołowego reprezentanta myśli oświeceniowej. We Francji wciąż postać sztandarowa, częsty temat maturalny, na egzaminie zarówno pisemnym, jak i ustnym, a właściwie jeden z najczęściej pojawiających się tematów, tak więc uczniowie we francuskich szkołach poświęcają Wolterowi wiele uwagi, muszą go mieć „w jednym palcu”, jeśli chcą zwieńczyć sukcesem ten etap swojej edukacji. Postać wciąż nieobojętna dla historiografii francuskiej. Nic w tym dziwnego, skoro jego myśl stanowi część fundamentu, na którym oparła się Pierwsza Republika Francuska, a później wszystkie następne, włącznie z piątą z kolei, tą obecną. Gloryfikowany w środowisku akademickim, gloryfikowany we francuskich szkołach i jakąś dziwną siłą rzeczy nie może być inaczej, a młodzi badacze muszą płynąć w tym nurcie, jeśli zależy im na karierze. Do rzadkości należą historycy, którzy nie zgadzają się z tą narracją, tacy jak prof. Xavier Martin

eprasa.pl 0c302ee7c4

– autor licznych opracowań poświęconych oświeceniu i rewolucji francuskiej, m.in. autor książki „Wolter niepoznany. Ukryte strony oświeceniowego humanizmu (1750–1800)", której polski przekład ukazał się niedawno nakładem wydawnictwa Andegavenum.

Wolter wciąż istnieje w świadomości Polaków, jednak nie jest postrzegany jako postać pierwszoplanowa. Być może niesłusznie, gdyż w wieku XVIII wywierał wielki wpływ na tworzenie się polskiej mentalności, już nowoczesnej mentalności. Jego wkład w rozwój polskiego oświecenia był ogromny. W czasopismach warszawskich z tamtego okresu można było znaleźć przekłady jego pism, także polemiki dotyczące jego twórczości, którą propagowali najwybitniejsi przedstawiciele polskiego oświecenia, a wśród nich: A. Naruszewicz, T.K. Węgierski, S. Trembecki. Tragedie Woltera bardzo chętnie wówczas wystawiano. Korespondowali z nim Stanisław August Poniatowski oraz Stanisław Leszczyński, na którego dworze, w Lunéville, Wolter przebywał („pan de Voltaire miał słabość do życia dworskiego i do królów", jak wyraziła się w jednym ze swoich listów Madame Denis, siostrzenica i kochanka zarazem „pana de Voltaire", inaczej Franciszka Arouet, bo takie było jego prawdziwe nazwisko). Gwiazdę Woltera przyćmił dopiero romantyzm. W wieku XX zaczęła ona na nowo świecić oświeceniowym blaskiem: w roku 1917 ukazały się „Powiastki filozoficzne" w przekładzie sztandarowego polskiego tłumacza literatury francuskiej – T. Boya-Żeleńskiego, a po drugiej wojnie światowej powstały nowe tłumaczenia jego dzieł oraz opracowania życia i twórczości w wykonaniu czołowych literaturoznawców i historyków – oczywiście wszystko zgodne z obowiązującą do dzisiaj narracją głównego nurtu akademickiego, czyli zgodne z obiegowymi „przesądami" na jego temat.



Ilustracja z książki Woltera „Elementy filozofii Newtona". Przy stole: autor

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Jednak nie można zaprzeczyć, że był on rzeczywiście ikoną oświecenia i że wywarł na tę epokę przemożny wpływ. Wiek XVIII, wiek oświecenia, często jest nazywany, przynajmniej we Francji, „wiekiem Woltera" – „le siècle de Voltaire". A przecież wiek oświecenia – wiek Woltera – zrodził rewolucję francuską, a ta z kolei zrodziła wszystkie następne rewolucje, i nie tylko ją/je zrodził, ale zaszczepił jej/im ideały wolności, równości i braterstwa, ideały tolerancji i poszanowania praw człowieka, dzięki czemu możemy obecnie bezpiecznie kroczyć w kierunku świetlanej przyszłości, tego przyobiecanego nam raju na ziemi. Czy można więc obecnie traktować postać Woltera jako drugorzędną, skoro ochrzczono jego imieniem tamto stulecie, które stało się początkiem nowej ery – ery rewolucji, która miała zastąpić erę chrześcijańską – czego symbolem było wprowadzenie we Francji kalendarza rewolucyjnego, w którym lata liczono od momentu ustanowienia Republiki?

„Zwalczał zabobon, fanatyzm, obskurantyzm, bronił wolności i tolerancji"… Dodajmy, że zwalczał też obrzydliwość (fr. l'infâme, co można również tłumaczyć jako „ohydę"), a tą obrzydliwością był Kościół katolicki. Oświecenie „tolerowało" w mniejszym lub większym stopniu wszystkie religie, jednak postrzegało katolicyzm jako swojego wroga numer jeden. „Nienawidzę kościołów, księży i odprawianych przez nich mszy" – napisał Wolter i nie jest to postawa jedynie jemu właściwa. Podobnym stosunkiem do katolicyzmu wykazywali się również jego koledzy „filozofowie", a wśród nich Diderot, Condorcet, d'Alembert i wielu innych. Religia katolicka jest według Woltera „najbardziej absurdalnym i najohydniejszym systemem, jaki kiedykolwiek ciemiężył ludzką naturę" (list do pani du Deffand, z 22 kwietnia 1765 r.); ze wszystkich religii, „które kiedykolwiek zatruwały świat", jest ona „najśmieszniejsza, najbardziej absurdalna i najbardziej żądna krwi", to znaczy, że zabicie jej również jest, zdaniem Woltera, „najpiękniejszym i najbardziej szacownym przedsięwzięciem, jakie myśl ludzka może zaproponować ludzkości" (list do Fryderyka II, z 5 stycznia 1767 r.). Jednak nie wystarczało tak po prostu jej zabić, bowiem obrzydliwość należało zmiażdżyć – tak właśnie, zgnieść, zmiażdżyć, gdyż tylko na to zasługiwała: Écrasez l'infâme („Zgniećcie, niech pan zmiażdży/zgniecie tę obrzydliwość/ohydę") – takiej właśnie formuły bardzo często używa na końcu swoich listów, tworzących korespondencję rzekę, i tę formułę przejmują jego korespondenci „filozofowie" – bardzo chętnie używa jej także pruski król „filozof" Fryderyk II. Można czasem odnieść wrażenie, że wypowiedzi Woltera posiadają wręcz „satanistyczny" wydźwięk, choć trzeba być bardzo ostrożnym, przypisując mu takie ciągotki. Jednak z drugiej strony, jak należy potraktować następujące słowa, adresowane do jednego z przyjaciół: „Pamiętaj o świętej przysiędze, którą sobie złożyliśmy w grobowcu Lucyfera,

eprasa.pl 0c302ee7c4



Dom Woltera w Ferney-Voltaire

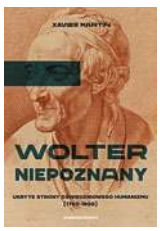
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BRUCKE EUROPA

że nigdy nie damy wiary ani jednemu przykremu słowu wypowiedzianemu pod naszym adresem przez duchy nieczyste, przebrane za anioły światłości [prawdopodobnie chodzi o duchowieństwo]" (list do Boyera d'Argensa z marca lub kwietnia 1754 r.)? A gdy 15 lat później dowiaduje się, że ów przyjaciel być może zawita do jego posiadłości w Ferney, tak oto pisze w liście do Ruffeya (z 4 lutego 1769 r.): „Wyjdę mu naprzeciw, śpiewając »hosanna synowi Belzebuba«!". Przykłady takowych Wolterowych wypowiedzi można mnożyć.

„Zabobon"

To właśnie katolicyzm jest określany jako „zabobon" czy „przesąd" („préjugé", „superstition") – „filozofom" oświeceniowym, w tym Wolterowi, nie chodziło o jakieś „ludowe" zabobony i przesądy, które należało zwalczać w celu oświecania ludu, niesienia światła filozofii pod strzechy. No właśnie… Oświecanie ludu… Czy rzeczywiście Wolterowi i jemu podobnym na tym zależało? „Prawda nie jest dla wszystkich. Prawie cały rodzaj ludzki jest niegodny, by ją poznać" – napisał Wolter w liście do Damilaville'a z 12 października 1764 r. I również Wolter jest autorem następujących słów: „Hołota nie zasługuje na to, by ją oświecać". Dlaczego nie zasługuje? Ponieważ według niego jest nieuleczalnie „durna" i na zawsze taką pozostanie. „W przypadku wielu narodów stosunek prymitywnych bydląt nazywanych ludźmi do tych nielicznych, którzy potrafią myśleć, wynosi przynajmniej sto do jednego" (Wolter, „Questions sur l'Encyclopédie" [Kwestie odnoszące się do Wielkiej Encyklopedii]). „Cała reszta to prościuchy" – takie słowa skierował do Helwecjusza w liście z 11 maja 1761 r. (dodajmy, że nie musiał go przekonywać do swojego punktu widzenia). Zatem 1 proc. ludzi myślących. Przy czym chodzi o liczbę przeznaczoną do podania do publicznej wiadomości. Gdzie indziej jest bardziej surowy w swojej ocenie, kiedy proponuje: „Pięć tysięcy ludzi myślących na dziesięć milionów", a zatem pół człowieka myślącego na tysiąc „kretynów". „Tak więc miażdżącą większość zawsze będą tworzyły prymitywne bydlęta" – podsumowuje Wolter („Notebooks").

Jednocześnie z przytoczonych powyżej słów wyłania się ogromna pogarda wobec ludzi – w swych listach zalecał „dużo pogardy dla rodzaju ludzkiego". „Lud plasuje się między człowiekiem a bydlęciem" („Notebooks"). Sénac de Meilhan (1736–1803) w swej powieści zatytułowanej „L'Émigré" („Emigrant") zawarł następującą myśl odnośnie do oświeceniowych filozofów: „Umiłowanie przyjemności, pogarda dla ludzi oraz miłość do całej ludzkości i do wszystkich istot obdarzonych jakimkolwiek czuciem – to wszystko stanowiło podstawę ich systemu". A o samym Wolterze napisał: „Gardził ludźmi w teorii, i to w sposób niewyobrażalny, a z drugiej strony nieustannie rozczulał się nawet nad najmniejszymi robaczkami".



XAVIER MARTIN
„WOLTER NIEPOZNANY. UKRYTE STRONY OŚWIECENIOWEGO HUMANIZMU (1750–1800)"
ANDEGAVENUM

Nie tylko solidna garść pogardy dla rodzaju ludzkiego w ogólności, lecz także wobec wyszczególnionych grup etnicznych, w tym na pierwszym miejscu w stosunku do Żydów. Nazywa ich „żydowską hordą", „starozakonną trupą", „hebrajską hordą", i to nie tylko w prywatnej korespondencji, lecz także w swoich dziełach. Przytoczmy kilka najbardziej powściągliwych (w jego wydaniu) wypowiedzi: „Słabowity naród niewolników, którym w równym stopniu pogardzali zarówno wielcy, jak i mali" („Essai sur les Mœurs et l'Esprit des Nations…" („Esej o obyczajach i duchu narodów…"); „Nie jest im znana ani gościnność, ani hojność, ani łaskawość […]. Zero ogłady, żadna nauka, żadna sztuka, która kiedykolwiek byłaby doskonalona przez ten okropny naród" (tamże); „Najbardziej chamski, najbardziej zdziczały, najbardziej fanatyczny i najbardziej niedorzeczny naród" (list do d'Argence'a z 11 października 1763 r.); „Przecież to oczywiste, że na samym początku Żydzi nie byli niczym innym, jak tylko bandą arabskich włóczęgów i rabusiów" („Examen important de Mylord Bolingbroke…"), „hordą arabskich włóczęgów nazywanych Żydami" (hasło „Abraham" [w:] „Dictionnaire philosophique"). A kim jest dla niego król Dawid? „Wstrętnym Żydem, on i te jego psalmy" – pisze w liście do Fryderyka II z 1 lutego 1766 r., po czym dodaje: „Ale ja znam króla potężniejszego niż on, […] który według mnie pisze lepsze wiersze", mając na myśli oczywiście Wielkiego Fryderyka i płaszcząc się przed nim niewymownie, tak jak zazwyczaj, choć swego czasu musiał przed nim uciekać z Poczdamu, słysząc w uszach świst bata. Ale co gorsza, fantazjował też o eksterminacji Żydów. Po drugiej wojnie światowej niektórzy autorzy żydowskiego pochodzenia wiązali filozofię oświeceniową z Holokaustem.

Dostało się też innym, m.in. Arabom i Turkom. W liście do carycy Katarzyny (z 15 maja 1771 r.) aspirował do „zaszczytu nienawidzenia Półksiężyca". Gdy toczyła się wojna rosyjsko-turecka w latach 1768–1774, w innym liście do tej samej adresatki (z 11 sierpnia 1770 r.) pisze, że chciałby mieć udział w tej rzezi i „skosić dla niej [dla Katarzyny] kilka tureckich łbów". Nawiasem mówiąc, w listach adresowanych do przyjaciół czasem nazywał carycę swoją „Kasią" („ma Catau"),

eprasa.pl 0c302ee7c4

a w listach pisanych do niej lubił się podpisywać jako „szczerze Pani oddany, stary Rosjanin z Ferney", a nawet zdarzało się, że kończąc list, całował jej „białe stopy": „Ośmielam się całować jedynie jej stopy, równie białe jak śniegi w jej krainie" (list do Katarzyny z 16 grudnia 1774 r.). Jednak dostało się też samym Francuzom, pogardliwie nazywanym przez niego „Welchami": „O, Welchy, biedne welchy […], och, mój boże! jakie z was łajdaki i jakże wami gardzę!" – napisał w liście do Damilaville'a z 4 września 1767 r. Z kolei Francję dowcipnie nazywał po prostu „Welcherią".

Zauważmy na marginesie, że Wolter przyjaźnił się – przy czym z jego strony była to „służalcza" relacja – z tymi władcami, którzy dokonali rozbiorów i zniszczenia Polski, gdzie katolicyzm autentycznie tworzył mocną nić w tkance życia społecznego i gdzie panowała prawdziwa tolerancja, nieoświeceniowa, wobec innych religii, gwarantująca spokój społeczny przy jednoczesnym poszanowaniu praw Kościoła.

Pogarda i nienawiść do człowieka stworzonego „na obraz i podobieństwo Boga", widoczne w jego pismach, mogą budzić niepokój. Czyż według niego człowiek nie został stworzony na obraz i podobieństwo diabła? Takie oto słowa wypowiada jedna z jego literackich postaci: „Gdyby istota tak nieprawdopodobna i śmieszna, którą nazywamy diabłem, chciała stworzyć ludzi na swój obraz, to czyż ulepiłaby ich inaczej? Przestańcie więc przypisywać Bogu dzieło tak ohydne" [„Histoire de Jenni ou l'Athée et le Sage…" („Historia Jenni, czyli Ateista i Mędrzec…")].

„Ludzka masa"

A czym dla niego była prawda? Na pewno nie był on męczennikiem za prawdę, tak jak się powszechnie uważa. W liście do Helwecjusza z września 1738 r. napisał, że zaczyna „bardziej się troszczyć o osiągnięcie w życiu szczęścia niż o jakąś prawdę". Z kolei Hennin, w liście do Bertina z 27 października 1774 r., pozwolił sobie na ciekawe uogólnienie odnoszące się do ówczesnych filozofów: „Żyłem w towarzystwie ludzi nazywanych filozofami i zapewniam pana, że nie znalazłem choćby czterech, którzy oddaliby swój obiad za wszystkie prawdy świata razem wzięte".

„Człeku słaby i próżny! I ty chcesz być wolny?!" – to słowa innego oświeceniowego filozofa, barona Holbacha („System przyrody"), ale równie dobrze mógłby pod nimi podpisać się i sam Wolter jako wyznawca typowego dla oświecenia redukcjonizmu, jako ten, dla którego człowiek jest jakąś „durną" istotą, śmieszną, bez znaczenia, równą zwierzęciu, a przede wszystkim całkowicie bierną, podatną na wszelkiego rodzaju manipulacje, którą można dowolnie przefasonować, dowolnie przemodelować, stworzyć na nowo, ulepić jak ciasto… zgodnie z upodobaniami tej niewielkiej grupki ludzi myślących, tej elity, która stawia sobie za cel uświadomienie „ludzkiej masie" tego, czego ta „masa" chce, choć nie zdaje sobie sprawy, bo będąc z gruntu rzeczy bezmyślną, nie umie zdawać sobie z tego sprawy. Taka postawa prowadzi siłą rzeczy do zanegowania ludzkiej wolności. Otóż zgodnie z punktem widzenia filozofii oświeceniowej – która jest słabą filozofią, a być może w ogóle nie jest filozofią, tylko jakimś światopoglądem – „ludzka masa" nie zasługuje na wolność, nawet jej nie potrzebuje, ponieważ ta mała garstka ludzi myślących, tych inżynierów społecznych, poprowadzi całą resztę, bez udziału jej woli, w kierunku szczęśliwości.

Trudno jest w tak krótkim artykule przedstawić Woltera w całej jego okazałości – „nagiego Woltera", tak jak uczynił to Jan Baptysta Pigalle w swej słynnej rzeźbie z roku 1776, znanej właśnie jako „Nagi Wolter", która wprawdzie nie pozwala policzyć Wolterowych wszystkich żeber, ale przynajmniej uwydatnia jego napięte żyły na wychudzonym ciele starca.



Egzekucja poprzez utopienie podczas tłumienia powstania w Wandei. Obraz Josepha Auberta FOT. WIKIPEDIA

Gdyby czytelnik chciał poznać autentycznego Woltera, jego myśl, jego poglądy wyłaniające się z niezliczonych listów oraz innych dokumentów (51 tomów w wydaniu T. Bestermana „Correspondence and related Documents"), także z jego oficjalnej twórczości, odsyłam do wspomnianej książki Xavier Martina, która w żadnym razie nie wpisuje się w mainstreamową, oficjalną, akademicką narrację.

Być może warto dogłębniej zastanowić się nad myślą Woltera i nad całą „filozofią" oświeceniową, a także nad tym wszystkim, co owa „filozofia" zrodziła: nad rewolucją francuską oraz nad wszystkimi innymi rewolucjami, które od tej pierwszej, od tej „Wielkiej", pochodzą, zamiast traktować to wszystko jako brewiarz współczesności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0c302ee7c4



Jakub Ostromęcki

Świat na krawędzi / NATO-wskie ćwiczenia „Able Archer”

Atomowa gorączka ’83

Wojna nuklearna między USA i ZSRS mogła wybuchnąć nie z powodu szaleństwa jednego z przywódców, ale błędnej interpretacji działań przeciwnika. W roku 1983 stało się to aż nadto oczywiste

Breżniew dopiero co umarł. Jego dogmatyczny sukcesor zarzucał mu, że był zbyt miękki wobec Zachodu, że utracił Egipt i kilka krajów Zatoki Perskiej i nie zrobił nic w sprawie planów rozmieszczenia amerykańskich rakiet Pershing II w Europie Zachodniej.

W marcu 1983 r. ZSRS stanął mocno po stronie Iranu toczącego krwawą i bezsensowną wojnę z Irakiem. Do Teheranu ruszyły pierwsze transporty sowieckiej broni. Przestraszone tym roponośne emiraty nad Zatoką Perską poprosiły o wsparcie USA.

W lipcu w Finlandii jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się prosowieckie organizacje. Głośno domagały się ściślejszego związania Kraju Tysiąca Jezior z Moskwą. Podobne ruchy wyrosły nagle w Jugosławii. Sytuację wykorzystali kosowscy Albańczycy, marzący nie tyle o związku z Moskwą, ile o niepodległości. Belgradzcy spadkobiercy Tity, co było sytuacją w świecie komunistycznym niesłychaną, poprosili wtedy o pomoc… Zachód.

Sowieckie gazety zalała fala antyzachodniej propagandy, niespotykanej od czasów Stalina. Fabryki zbrojeniowe pracowały na trzy zmiany, zapełniały się magazyny z bronią i amunicją. W armii odwołano urlopy, przeprowadzono ćwiczenia rezerwistów, ogłoszono mobilizację. 31 października 1983 r. wojska Układu Warszawskiego dokonały inwazji na krnąbrną Jugosławię, a 3 listopada Armia Czerwona po raz trzeci w historii ruszyła na pomoc fińskiej klasie pracującej.



Start rakiety Pershing II

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/DOD

eprasa.pl 0c302ee7c4



Uczestnicy szczytu G-7 w Wiliamsburgu, 1983 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/WHITE HOUSE PHOTOGRAPHIC COLLECTION

Jedyną odpowiedzią Zachodu było wysyłanie doradców wojskowych do zagrożonych krajów, ale Kreml uznał to za prowokację i 4 listopada sowieckie i NRD-owskie lotnictwo zaatakowało cele w RFN, Norwegii i Grecji. Za nimi wlewały się setki tysięcy żołnierzy i tysiące czołgów. Rozpoczęła się trzecia wojna światowa.

6 listopada Sowieci, niezadowoleni z postępów swojej ofensywy, zaatakowali rejony zgrupowania wojsk NATO bronią chemiczną. 8 listopada głównodowodzący sił NATO w Europie gen. Bernard W. Rogers poprosił swojego zwierzchnika, szefa kolegium połączonych sztabów USA, o zgodę na użycie broni atomowej. Ten przekazał prośbę do prezydenta, za pośrednictwem sekretarza obrony. Zgoda została udzielona. 9 listopada jeden z pocisków Pershing II trafił w rejon przemysłowy sowieckiego wówczas Kijowa. Ofensywa Układu Warszawskiego nie zwolniła, toteż głównodowodzący NATO poprosił tym razem o nieograniczone użycie broni atomowej. 11 listopada rakiety Pershing II i Gryphon, bombowce B-52 oraz F-111 atakowały sowiecki interior, rejony zgrupowań, węzły komunikacyjne, bazy na Półwyspie Kolskim i w Bułgarii. Zniszczone zostały m.in. porty i lotniska w Burgas, Warnie i Sewastopolu.

Jak u Clancy'ego

To nie jest wstęp do jednego z technothrillerów Larry'ego Bonda lub Toma Clancy'ego. Scenariusz ten zrodził się w 1983 r. w głowach autorów ćwiczeń wojskowych NATO o kryptonimie Able Archer. Dla obserwatora z zewnątrz manewry te musiały wydawać się koszmarnie nudne, może poza tym, że oficerowie biorący w nich udział ubrani byli w kompletne stroje przeciwchemiczne, maski gazowe i hełmy, a w jednym z punktów dowodzenia zepsuły się faks i drukarka, z powodu gigantycznej ilości kurzu, jaka nagromadziła się w nieużywanym od roku pomieszczeniu. Przez kilka dni dowódcy części wielkich jednostek NATO – głównie lotnictwa i broni rakietowej – siedzieli w podziemnych punktach dowodzenia używanych tylko w sytuacji zagrożenia wojną i testowali łączność, procedury, kodowanie wiadomości. W ćwiczeniach mieli brać udział sami Ronald Reagan i Margaret Thatcher. Przeczuwając jednak, że taki krok spowodowałby sowiecką nerwowość, zdecydowano, że zamiast prezydenta i pani premier w ćwiczeniach wezmą udział jedynie szefowie sztabów.

Generał Rogers, ćwicząc nuklearne procedury, wsadził mimo to kij w sowieckie mrowisko. Cześć badaczy twierdziła jeszcze kilkanaście lat temu, że „Able Archer" doprowadził Kreml do paranoicznego przekonania, że Amerykanie pod płaszczykiem ćwiczeń szykują się do niespodziewanego nuklearnego uderzenia na ZSRS, i świat stanął wówczas na krawędzi wojny nuklearnej. Jest to opinia przesadzona. Takiego jednak poruszenia jak na jesieni 1983 r. nie było w sowieckich wojskach rakietowych i lotnictwie od czasów kubańskiego kryzysu rakietowego w 1962 r. do samego końca zimnej wojny.

Sowieckie bolączki

Co doprowadziło Sowietów do takiej reakcji? Kilka tygodni przed „Able Archer" odbyły się dużo bardziej widowiskowe konwencjonalne ćwiczenia „Autumn Forge". W ich trakcie przez kraje zachodniej Europy przetoczyło się ok. 100 tys. żołnierzy NATO, w tym 16 tys. przerzuconych przez Atlantyk z USA. Sowieci nie odróżniali jednak tych ćwiczeń. Z ich perspektywy było to jedno wydarzanie, a samą nazwę „Able Archer" poznali dopiero później.

Włodarze Kremla panicznie bali się powtórki roku 1941 r., gdy zostali kompletnie zaskoczeni przez mniej liczny Wehrmacht. „Nigdy więcej Barbarossy, nigdy więcej zaskoczenia" – jak modlitwę powtarzali to sowieccy marszałkowie. W 1979 r. państwa NATO, w reakcji na sowieckie rakiety SS-20, zdecydowały o rozmieszczeniu w Europie rakiet Pershing II i Gryphon. Sowieci byli przekonani, że pierwsza z tych rakiet jest w stanie dolecieć z RFN czy Anglii do Moskwy w osiem minut i do tego jeszcze zniszczyć znajdujące się w stolicy podziemne bunkry dowodzenia. Okazało się potem, że Pershing nie mógł tego zrobić, bo miał zasięg tylko 1,8 tys. km, a nie 2,5 tys. km. Strach przed tymi rakietami utrzymywał się jednak do samego końca zimnej wojny.

Od początku lat 80. Moskwa zdawała sobie jednocześnie sprawę ze słabości swoich wojsk nuklearnych. Nie dotyczyła ona oczywiście liczby głowic, rakiet, okrętów podwodnych czy nawet takich podstawowych parametrów jak zasięg czy moc rażenia, ale dowodzenia, organizacji i tempa osiągania gotowości bojowej.

Szef sztabu, marsz. Nikołaj Ogarkow, twierdził, że starcy z politbiura są zbyt ociężali umysłowo, aby w krytycznym momencie podjąć jakąkolwiek decyzję w sprawie odpowiedzi na atak nuklearny. Domagał się minimum samodzielności w tej kwestii. Witalij Katajew, doradca KC KPZS do spraw obrony, zapytany, jak kierownictwo zareagowałoby na atak nuklearny, stwierdził z zakłopotaniem: „Nie wiem". W 1981 r. Amerykanie dowiedzieli się wiele na temat podmoskiewskich bunkrów dowodzenia, m.in. dzięki informacjom przekazanym przez Ryszarda Kuklińskiego.

W latach 70. sowieckie radary były w stanie ostrzec przed nadlatującymi amerykańskimi rakietami ziemia-ziemia z 15-minutowym wyprzedzeniem. W latach 1981–1983 wydłużono ten czas do 30 minut dzięki instalacji większej liczby radarów pozahoryzontalnych. Ledwo ten stan osiągnięto, a w Europie zaczęły pojawiać się wspominane pershingi II.

Załadowanie głowic atomowych do międzykontynentalnych pocisków rakietowych wciąż zajmowało Sowietom aż

eprasa.pl 0c302ee7c4



Myśliwce F-111 FOT. WIKIPEDIA/USAF

sześć godzin. Tylko 15–18 proc. sowieckich okrętów podwodnych z pociskami atomowymi przebywało na patrolach bojowych. Reszta tkwiła w portach, często z powodu remontów. Niewiele zmieniło się w lotnictwie strategicznym. Sowieci nie mieli np. w zwyczaju trzymać części maszyn na pasach startowych w gotowości do startu, wystrzegali się też patroli z bronią nuklearną na pokładzie, co w czasach zimnej wojny było normą w siłach powietrznych USA.

Obliczanie Reagana

Wdrożono więc ambitne programy naprawcze. Armie lotnicze w NRD i w Polsce otrzymały myśliwce bombardujące Su-24 mające być odpowiedzią na amerykańskie F-111. Artyleria sowiecka w NRD po raz pierwszy została wyposażona w pociski z głowicami nuklearnymi. W zaniedbywanej dotychczas Bułgarii na lotniskach wojskowych pojawiły się nowe schrony amunicyjne. Na Półwyspie Kolskim, gdzie spodziewano się NATO-wskiego desantu, usadowiła się nowa brygada piechoty morskiej. Ogarkow grzmiał: „Element zaskoczenia grał kluczową rolę w drugiej wojnie światowej. Dzisiaj też staje się czynnikiem wielkiej wagi strategicznej […]. Koordynacja między siłami zbrojnymi i gospodarką narodową jest wymagana dziś jak nigdy wcześniej". Wspomniana „koordynacja" oznaczała ni mniej, ni więcej poważną redukcję produkcji dóbr konsumpcyjnych, co rychło odczuł przeciętny Rosjanin.

Najważniejszy był jednak RJAN, czyli Niespodziewany Atak Rakietowy. Był to program komputerowy stworzony przez KGB, który miał obliczać prawdopodobieństwo nuklearnego ataku Amerykanów. Wachlarz danych, na których pracował program, był zaiste imponujący: jakość i ilość uzbrojenia, zmiany w organizacji i dowodzeniu, cechy osobiste generałów, działalność banków krwi, sytuacja na giełdach, gromadzenie złota, podróże Reagana i mnóstwo innych zmiennych. Komputer przyjmował wartość 100 dla gospodarczego, militarnego i politycznego potencjału USA. Pierwsze uderzenie Amerykanów było bardzo mało prawdopodobne przy posiadaniu przez ZSRS minimum 60 proc. amerykańskiego potencjału. Sowieci byli początkowo zadowoleni, ale w 1983 r. współczynnik wyliczany przez program zaczął gwałtownie pikować. KGB twierdziło, że wartość poniżej 40 proc. nie jest w stanie zagwarantować bezpieczeństwa ZSRS i trzeba szykować się do ataku wyprzedzającego na USA.

Nie wiadomo, w jakim stopniu politbiuro ufało owemu programowi. Wierchuszki KGB i wojska mówiły jednak w tym samym duchu: „Trzeba powstrzymać USA przed nuklearnym atakiem z zaskoczenia". Dyrektywa KGB wskazywała agentom rezydującym w Wielkiej Brytanii i RFN główne zadania na najbliższe lata: „Wykryć przygotowania NATO do ataku nuklearnego na Związek Sowiecki". Atak ten miał rzekomo nastąpić 7–10 dni od decyzji przywódców państw sojuszu. Kiedy miała ta decyzja zapaść? Tego nie wiedziano.

Wraz z prezydenturą Reagana skończył się złoty wiek sowieckich podbojów w Trzecim Świecie. Moskwa nie spodziewała się aż tak mocnej reakcji na swoją inwazję na Afganistan i tak mocnego wsparcia dla mudżahedinów. Reagan pragnął zniszczyć gospodarkę sowiecką, narzucając jej niespotykane tempo wyścigu zbrojeń – temu w pierwszej kolejności służyło ogłoszenie w 1983 r. programu SDI, popularnie zwanego Gwiezdnymi Wojnami. Krewki prezydent chciał również wykończyć przeciwnika nerwowo. Bombowce B-52 podlatywały teraz na Pacyfiku do granic sowieckich wód terytorialnych, po czym zawracały w ostatniej chwili. W czasie manewrów morskich na Pacyfiku jeden z amerykańskich samolotów przeleciał nad Kurylami, nieniepokojony przez obronę przeciwlotniczą. Skutki owego bicia prętem po sowieckiej klatce nie dały na siebie długo czekać. We wrześniu 1983 r. pilot myśliwca przechwytującego Su-15, któremu udzieliła się atmosfera zagrożenia panująca w siłach powietrznych, zestrzelił południowokoreański samolot pasażerski KAL 007 z 269 osobami na pokładzie, myśląc, że ma do czynienia z amerykańskim samolotem szpiegowskim.

Reagan nie omieszkał wykorzystać owej tragicznej pomyłki, w typowy dla siebie sposób wyzywając, zresztą jak najbardziej słusznie, Sowietów od „barbarzyńców nieszanujących praw jednostki". Andropow na zebraniu oficjeli KGB stwierdził ponuro, że USA szykują się do wojny nuklearnej. Nie oznaczało to przekonania o nieuchronności ataku. Kreml był jednak autentycznie przestraszony. „Szaleniec, ekstremista, kryminalista" – tymi epitetami ciskano w Reagana niemal co dzień w prasie i telewizji sowieckiej.

Gorąca jesień

Ćwiczenia „Able Archer" odbyły się więc atmosferze, w której poczucie zagrożenia było podgrzewane co najmniej od dwóch lat. Akurat w tym momencie doszło do słynnego incydentu z systemem wczesnego ostrzegania „Oko". W jednej z baz pod Moskwą nagle rozbrzmiały sygnały alarmowe: „Amerykański pocisk międzykontynentalny zmierza w kierunku Związku Sowieckiego!". Zaraz potem system ogłosił wystrzelenie czterech kolejnych rakiet. Załoga zaczęła panikować. Wówczas dowódca zmiany ppłk Stanisław Pietrow w kilku żołnierskich słowach kazał żołnierzom się uspokoić

eprasa.pl 0c302ee7c4

i zaczął analizować sytuację. Odpalenie kilku rakiet byłoby z punktu widzenia USA kompletnie bez sensu. Naraziliby się przecież na niszczący atak odwetowy. Pietrow zamiast dzwonić na Kreml, spojrzał na radary – te nic nie wykryły. Okazało się, że wadliwe satelity wzięły promienie słoneczne odbijające się od wysokich chmur za smugi amerykańskich rakiet. Nie był to najlepszy moment na takie awarie. Nie wiadomo, jak wówczas zareagowałoby politbiuro.

Każdy amerykański ruch Sowieci traktowali ze skrajną podejrzliwością. Na przełomie września i października 1983 r. KGB wyczuło wzmożone kontrole wokół amerykańskich baz na całym świecie. Wzięto to za przygotowania do wojny, jednak w rzeczywistości był to skutek zamachu na koszary amerykańskich marines w Bejrucie 23 października tamtego roku. W podobny sposób interpretowali przygotowania Reagana do wyjazdu z Waszyngtonu, gdy w rzeczywistości prezydent przygotowywał się do wizyty w Japonii. W czasie ćwiczeń „Autumn Forge" samoloty B-52 ćwiczyły załadunek atrap głowic nuklearnych z hangarów na pokłady samolotów. Szpiedzy KGB podejrzewali jednak, że głowice są prawdziwe. Największą nerwowość podczas „Able Archer" spowodowała jednak nagła zmiana kodów i szyfrów używanych przez NATO.

Wszystkie te informacje kazały Sowietom ogłosić stan podwyższonej gotowości w części wojsk rakietowych i w lotnictwie. Na sowieckiej Białorusi i Ukrainie ciągniki z rakietami SS-20 wyruszyły z miejsc stałej dyslokacji do wcześniej wybranych kryjówek w lasach. W stan gotowości postawione zostały też jednostki rakiet dalekiego zasięgu SS-19.

W NRD, Czechosłowacji i Polsce migi-23 czekały już na pasach startowych gotowe do przechwycenia manewrujących, lecących na małej wysokości gryphonów. W stan gotowości postawiono 4. armię lotniczą. Su-24 w bazach w Krzywej, Szprotawie i Żaganiu szykowały się do ataku na zachodnie lotniska, mosty i węzły komunikacyjne. Zawieszono wszystkie loty ćwiczebne i patrolowe, aby mieć w gotowości jak najwięcej maszyn. Pod Moskwą Ogarkow zszedł do podziemnego schronu dowodzenia wyposażonego we wszystkie instalacje potrzebne do życia i nie wychodził z niego przez kilka dni.

Sowieci nie chcieli zdradzić swojej pozycji, przeczuwając starcie i zakładając namierzenie przez inny amerykański okręt

Nieopodal Islandii znajdował się wówczas okręt podwodny USS Kamehameha z rakietami atomowymi na pokładzie. Ćwiczył otwieranie luków rakietowych i procedurę odpalania pocisków. W takich okolicznościach okręt sowiecki, jeśli tylko wyśledził Amerykanów, odpowiadał zwykle aktywnym sonarem, mówiąc niejako: „Wiemy, co robicie". Kapitan Kamehameha wiedział, że i tym razem niedaleko niego kręci się sowiecki okręt. Ten jednak milczał. Postawa ta sugerowała jedno: Sowieci nie chcieli zdradzić swojej pozycji, przeczuwając starcie i zakładając namierzenie przez inny, skrycie osłaniający Kamehamehę amerykański okręt.

Współcześni badacze zagadnienia (Gordon Barrass i Simon Miles) twierdzą, że nuklearna gorączka roku 1983 w ZSRS i Układzie Warszawskim służyła nie tyle przygotowaniom do odparcia nuklearnego ataku na USA, ile wywarciu presji na Zachód, aby nie instalował pershingów i gryphonów. 23 listopada miało się przecież odbyć w Bundestagu posiedzenie na temat instalacji rakiet. Kilku przestraszonych deputowanych mogłoby zagłosować wtedy po myśli Kremla.

Innym sposobem na korzystne rozstrzygnięcie było aktywowanie tzw. ruchów pokojowych. Przez Europę przetoczyły się dość liczne manifestacje, ale miały w zdecydowanej większości charakter pokojowy. KGB, niezadowolone z rozwoju wypadków, rozmieściło więc wokół baz lotnictwa NATO ładunki wybuchowe, które po odpaleniu miały sugerować atak terrorystyczny dokonany przez przeciwników zbrojeń. Miało to sprowokować rządy do wykonania gwałtownego ruchu wymierzonego w pacyfistów i w ten sposób wywołać jeszcze większe protesty. Zrezygnowano jednak z tego kroku. W 1984 r. pershingi i gryphony osiągnęły pełną gotowość w Europie. Gromyko rozmawiał potem na temat fiaska działań ruchów antyzbrojeniowych z Honeckerem. Dyktator NRD stwierdził, że przyczyną porażki był właśnie ich pokojowy charakter.

11 listopada ćwiczenia „Able Archer" się zakończyły, a 14 listopada Sowieci odwołali alarm w swoich jednostkach. Rodric Braithwaite w swojej monografii „Armagedon i paranoja" stwierdza, że wojna nuklearna między USA i ZSRS mogła wybuchnąć nie z powodu szaleństwa jednego z przywódców, ale błędnej interpretacji działań przeciwnika. W roku 1983 stało się to aż nadto oczywiste. „Nie uświadamialiśmy sobie, jak ku.ewsko bali się nas Sowieci" – ocenił Milt Bearden, szef wydziału sowiecko-wschodnioeuropejskiego w CIA.



Mobilne wyrzutnie rakiet SS-20

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/EDWARD M.COOPER

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

Barras G., *„Able Archer 82. What were the soviets thinking"*; ***Burriss L.,*** *„Sluching Towards Nuclear War and NATO exercise Able Archer 83"*; ***Miles S.,*** *„The war scare that wasn't".*

eprasa.pl 0c302ee7c4



1914–1920 / Bohater kawalerii Legionów i Wojska Polskiego

Miał być następcą Piłsudskiego

Patrol Beliny. Antoni Jabłoński pierwszy z prawej w pierwszym rzędzie FOT. NAC



Marek Gałęzowski

Antoni Jabłoński wyruszył w 1914 r. na wojnę jako 17-latek. Był jednym z ostatnich oficerów poległych w wojnie z Rosją bolszewicką

W jednej z najpiękniejszych książek o polskiej irredencie Michał Sokolnicki wspominał, że „nie zapomni wyrazu twarzy Piłsudskiego, gdy mi o poległym mówił w Spale, wiosną 1921 r. Piłsudski kochał swoich żołnierzy". Żal Marszałka łatwo wyjaśnić i tym, że poległym był ppłk Antoni Jabłoński. Uznawany przez dowódców za jednego z „najdzielniejszych oficerów polskiej armii" był najmłodszym żołnierzem słynnej „siódemki", która zapoczątkowywała 1. Pułk Ułanów Legionów Polskich płk. Władysława Beliny-Prażmowskiego i tym samym odrodzenie kawalerii Wojska Polskiego. Nie tylko jednak jej. Gdyż – jak pisał gen. Kazimierz Sosnkowski, szef sztabu I Brygady Legionów – „właściwy zaszczyt historyczny otwarcia polskich działań wojennych przypadł [...] w udziale tak zwanemu »patrolowi Beliny«" – czyli właśnie wspomnianej „siódemce".

„Służbę rozpoczął jako siedemnastoletni chłopak"

Ten, który wedle słów jednego z towarzyszy z pułku Beliny „okazał się wspaniałym żołnierzem o niezwykłej odwadze, połączonej z równym jej spokojem i opanowaniem w walce", urodził się 13 czerwca 1896 r. w Usarzewie w powiecie sandomierskim. Wychował się w środowisku ziemiańskim, w rodzinie o wysokim poczuciu patriotyzmu. Jego dziad Antoni był powstańcem styczniowym, a o rodzicach przyszłego oficera kawalerii legionowej i WP – Zdzisławie i Marii – pisał Sokolnicki, dostrzegając w ich domu „atmosferę zupełnie odmienną i niezwykłą" w stosunku do

eprasa.pl 0c302ee7c4

nastrojów dominujących w zaborze rosyjskim: „Byli z góry przekonani, roboty i przygotowania wojskowe uważali za obowiązek”.

Antoni uczył się w szkole handlowej w Radomiu i w niej rok przed wybuchem pierwszej wojny światowej zdał egzamin maturalny. Jak podaje Karol Koźmiński, jego wypracowanie maturalne z języka polskiego „uznane zostaje za rewolucyjne przez ciało pedagogiczne szkoły, za niemożliwe do okazania w kuratorium moskiewskim, jako kompromitujące nie tylko Jabłońskiego, ale i szkołę – i – jako zakwalifikowane do przechowywania wieczystego w zbiorze najcenniejszych pamiątek w archiwum szkolnym”.

Po maturze rozpoczął studia przyrodnicze na Uniwersytecie Lwowskim. Jako uczeń działał w środowisku zarzewiackim, współprzewodniczył związanej z nim organizacji Pet (Przyszłość) w Radomiu, w czasie studiów zaś, we Lwowie, wstąpił do Związku Strzeleckiego. Ukończył kurs oficerski, a w lipcu 1914 r. brał udział w letnim kursie instruktorskim w krakowskich Oleandrach.

Po wybuchu wojny, 2 sierpnia 1914 r., przyjął pseudonim Zdzisław i wstąpił do powstającej kawalerii legionowej. Michał Tadeusz Brzęk-Osiński wspominał: „Mój bezpośredni dowódca Antek Jabłoński był niecodzienną postacią. Służbę rozpoczął jako siedemnastoletni chłopak w słynnej siódemce »Beliny«, co to pierwsza przeszła przez granicę zaboru rosyjskiego, jeszcze bez koni, lecz z siodłami na plecach. Był synem ziemiańskim z majątku Usarzewo w Sandomierskiem, więc już wkrótce stawił się na wierzchowcu z ojcowskiego stada, nazywającym się Pajac. Na Pajacu odbył wszystkie kampanie legionowe i dbał o niego na pewno więcej niż o siebie samego. Było wiadomo, że ten najmłodszy oficer pułku posiada odwagę, rzutkość i wyczucie sytuacji urodzonego kawalerzysty. Najlepiej poznał go Orlicz-Dreszer i darzył takim zaufaniem, że na czas swojej



Druk upamiętniający Antoniego Jabłońskiego

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

okoliczności nieobecności jemu powierzył dowództwo szwadronu”.

Jabłoński, „ten chłopak wyglądający na 16, a nie 18 lat”, który – zacytujmy słowa Józefa Mariana Smoleńskiego, późniejszego generała WP – „okazał się wspaniałym żołnierzem o niezwykłej odwadze, połączonej z równym jej spokojem i opanowaniem w walce”, jak w boju pod Marcinkowicami 6 grudnia 1914 r., „kiedy to pod gradem kul moskiewskich zawrócił z przeciwległego brzegu na środek Dunajca, by mnie wyciągnąć z rzeki”, służył następnie w tym pułku. 1 stycznia 1915 r. Jabłoński został mianowany podporucznikiem i wyznaczony adiutantem dywizjonu, w lipcu zaś – dowódcą plutonu w pierwszym szwadronie pułku Beliny. „Pierwszorzędne zalety bojowe – zaufanie i sympatia podkomendnych […], spokojny, rozważny i obowiązkowy” – tak lapidarnie charakteryzowali Jabłońskiego przełożeni. Belina-Prażmowski dodawał, że „mimo młodego wieku pierwszej wartości oficer, tak bojowy, jak garnizonowy, energiczny i sprężysty”.



Legionowa odznaka „Za Wierną Służbę”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/SAPER 65

„Szarżują. Ognia!”

Podporucznik Antoni Jabłoński przeszedł cały szlak bojowy Legionów, od walk na Kielecczyźnie do Wołynia, gdzie odznaczył się m.in. pod Trojanówką: „Pluton Zdzisława wycofał się ławą przez las, który w tym miejscu był dość rzadki. W pewnej chwili słyszę głośny, ale spokojny krzyk Zdzisława: – Szarżują. Ognia! I widzę, jak Zdzisław, a za nim pluton, zawracają w miejscu konie i oddają kilka salw do pędzących kozaków, widocznych wśród drzew. Po czym Zdzisław dał rozkaz odwrotu”.

Inną z licznych walk, stoczonych z udziałem Jabłońskiego, wspominał kolejny z beliniaków, Wacław Budzyński: „Spotkanie zdarzyło się dnia 11/III [1916 r.]. Wyszliśmy, pluton II o godz. 7 ½ rano pod dowództwem ppor. Jabłońskiego wprost na Tabała-chan. Za leśniczówką spaloną tzn. niedaleko już od celu naszego wywiadu »szpica« i prawa osłona podpatrzyły na polanie lodowej dziwny ruch. Nie było wątpliwości: Moskale… Pluton w tyraliery!... Podchodzimy na skraj lasu. Moskale naładowali sianem parę fur i odjeżdżają. Mijają oto niewielką kępę sitowia. Rozkaz. Wypadamy na

eprasa.pl 0c302ee7c4



lód. Byle do kępy… Ślisko. W butach woda, gdyż nogi wyłamywały miejscami w cienkiej tafli przeręble i grzęzły wyżej ud. Zamaskowała nas wreszcie brudna plama szuwarów. Poczynamy bić do uciekających. Celownik 800. Śród nich popłoch. Porzucają jedne sanie, z innemi uciekają cwałem, chwytając tymczasem za broń. Widoczne z daleka wyraźnie długie czarne burki czy kożuchy i papachy z czerwonym dnem. Chyba dońcy… Jeden zaraz po naszych pierwszych strzałach padł. Dwóch go dźwiga i wlecze za sobą na lodzie. Za chwilę i oni poczynają się wstrzeliwać w naszą pozycję. Kule ze złym sykiem ścinają badyle tuż u głów albo prażą w lód z suchym trzaskiem. Czas się wycofać, dalsze bowiem ostrzeliwanie do niczego nie doprowadzi. Biegiem przebywamy przestrzeń z powrotem i skręciwszy w prawo na Tabałę, w kolumnie pojedynczo idziemy najspokojniej w dalszą drogę. Moskale jednak się rozwściekli, jak podrażnione dzikie zwierzę. Słyszymy, że uparcie ostrzeliwują las, gdzieśmy im zniknęli. Po paru minutach, gdy tu pod nogami wesoło śnieg chrzęści, tam zaczyna grać zajadle karabin maszynowy. To zapewne z placówki rosyjskiej za Wiesiełuchą. Wesoło zdąża krok w takt złowrogiej muzyki… Wracamy upojeni spotkaniem i rozbawieni komicznym wykazem strat: rozłupana kolba karabinu i przestrzelone spodnie jednego z ułanów".

Pod komendą Zaruskiego

Po odejściu Legionów z frontu, 1 stycznia 1917 r., Jabłoński został mianowany porucznikiem. Od lutego do kwietnia był wykładowcą w szkole oficerskiej pułku. Jako przeciwnik złożenia przysięgi na wierność państwom centralnym wraz z innymi oficerami legionowymi został internowany w Beniaminowie. Zwolniony w marcu następnego roku wyjechał do Krakowa i rozpoczął naukę w Studium Rolniczym na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jak jednak pisano w artykule wspomnieniowym o Jabłońskim, zamieszczonym w „Żołnierzu Polskim", „mało studiował, wybitnie pracując w Krakowskiej Organizacji Wojskowej, która przygotowywała się już do wysadzenia Austriaków z krakowskiej twierdzy". W końcu października wziął udział w obaleniu władzy zaborcy w Krakowie, co stało się sygnałem do oswobodzenia całej Małopolski. To zaś pozwoliło na rozpoczęcie formowania Wojska Polskiego.

W pierwszych dniach listopada 1918 r. Antoni Jabłoński sformował w Krakowie szwadron kawalerii (w istocie przez pierwsze tygodnie w większości spieszony), a zaangażowanie „Zdzisława" w tworzenie tego oddziału czyniło go jednym z pierwszych organizatorów i dowódców kawalerii odrodzonego Wojska Polskiego. Po zaledwie kilkudniowym szkoleniu szwadron Jabłońskiego został przydzielony do I Brygady Jazdy w grupie gen. Zygmunta Zielińskiego. 17 listopada szwadron wraz z 5. pp wyruszył na odsiecz Lwowa.

W kolejnych dniach Jabłoński uczestniczył w walkach z Ukraińcami pod Przemyślem, Gródkiem Jagiellońskim, Chyrowem. 17 grudnia 1918 r. został mianowany rotmistrzem. Tuż po awansie stoczył bój z przeważającymi oddziałami ukraińskimi w rejonie Cykowa i Popowic. Jak pisał Józef Soniński, „wywiązała się nierówna walka, szwadron trzymał się przez dłuższy czas, jednak coraz głębiej okrążany musiał stopniowo wycofać się na Popowice, po czym do Jaksmanic". W dzień wigilijny, w czasie działań ofensywnych na Chyrów, „szwadron rtm. Jabłońskiego idzie znowu w środku ataku, zajmuje Błożew, przechodzi pod ogniem około 500 m lodu, zajmuje Czyszki, bierze jeńców, jednak z powodu zupełnego wyczerpania i nagłego zaatakowania 1-go pułku ułanów przez Ukraińców, przykrywając odwrót grupy, cofa się do Nowego Miasta".

Na początku następnego roku szwadron wrócił do Przemyśla, a 27 stycznia 1919 r. rtm. Jabłoński objął dowództwo dywizjonu, formowanego w Kraśniku, gdzie uczestniczył w szkoleniu, prowadząc m.in. szkołę podoficerską. 16 marca dywizjon wszedł w skład tworzonego 11. pułku ułanów, a nasz bohater objął w nim funkcję zastępcy dowódcy pułku – płk. Mariusza Zaruskiego, słynnego taternika i żeglarza, także wywodzącego się z kadry oficerskiej Legionów Polskich. Tak pisał on o rtm. Jabłońskim: „Bardzo dobry oficer liniowy. Obowiązkowy, energiczny, gospodarny, bardzo dobry w polu i garnizonie".

Razem też ruszyli na wyprawę wileńską, zakończoną oswobodzeniem Wilna z rąk bolszewików. Podczas bitwy o miasto, 19 kwietnia 1919 r., rtm. Jabłoński został ranny w rękę w czasie walk ulicznych, ale już 21 maja, chociaż nie w pełni wyleczony, wrócił do pułku. Od czerwca do końca listopada 1919 r. uczestniczył

eprasa.pl 0c302ee7c4



Polscy kawalerzyści w Wilnie odebranym bolszewikom, 1919 r. Poniżej: replika odznaki 11. Pułku Ułanów

FOT. NAC, COMMONS WIKIMEDIA/ELŻBIETA KOSSECKA

w kursie Wojennej Szkoły Sztabu Generalnego w Warszawie. Był uznawany za oficera o charakterze poważnym, ambitnego, energicznego, obowiązkowego, o nienagannym zachowaniu w służbie i poza nią, starającego się pilnością nadrobić luki w wiadomościach wojskowych.

Ukończywszy kurs, został szefem Oddziału III Operacyjnego Frontu Wołyńskiego, a następnie 2. Armii. 25 lipca 1920 r. mianowany majorem, trzy dni później objął dowództwo 11. Pułku Ułanów. Na jego czele uczestniczył w dalszych walkach z bolszewikami, m.in. już 1 sierpnia w zwycięstwie pod Mikołajowem, które było najbardziej krwawą bitwą pułku w czasie wojny z bolszewikami, a następnie pod Rudenkiem.

„Bardzo dobry oficer. Osobiście znam go dopiero miesiąc, odniosłem jednak jak najlepsze wrażenie o jego wartościach moralnych" – pisał o mjr. Jabłońskim jego przełożony gen. Juliusz Rómmel, niewywodzący się wszak z Legionów. „Dowodzi 11. pułkiem ułanów wzorowo. W ciężkich chwilach boju okazał dużo energii i zimnej krwi".

Za męstwo okazane 20 sierpnia w bitwie pod Chołojowem został odznaczony Virtuti Militari: „[...] kiedy został nakazany odwrót grupy jazdy pod silnym naporem nieprzyjaciela, ukazał się bolszewicki automobil pancerny, szerząc popłoch wśród broniących odwrotu oddziałów. Podpułkownik Jabłoński stanął z kilkunastoma żołnierzami na drodze automobilu i swoim przykładem opanował popłoch, i salwami wstrzymał posuwający się automobil pancerny".

Poległ w ostatnim boju

W kolejnych tygodniach na czele pułku Antoni Jabłoński uczestniczył w osłonie Lwowa i obronie Zagłębia naftowego w rejonie Bóbrki i Chodorowa; tam też w drugiej połowie sierpnia zachorował i na pewien czas zdał dowództwo innemu z oficerów wywodzących się z pułku Beliny – mjr. Edwardowi Kleszczyńskiemu. Po wyzdrowieniu uczestniczył w dalszych walkach z bolszewikami nad Styrem, następnie m.in. w spektakularnie zwycięskim boju pod Jampolem.

Wojna była już prawie zakończona, bolszewicy cofali się na wschód, kiedy w czasie wypadu na Starokonstantynów 12 października 1920 r. pod Nową Sieniawką Jabłoński został ciężko ranny w rdzeń kręgowy. Miało to się stać w czasie silnego natarcia bolszewików, gdy „czoło pułku silnie związane natarciem moskiewskim cofa się pod ogniem". Jednak z relacji podoficera sanitarnego Mieczysława Srokowskiego dowiadujemy się, że mjr „Jabłoński został trafiony kulą w krzyż podczas niespodziewanej strzelaniny [...]. Wycofujący się na linię demarkacyjną oddział sowiecki ostrzelał z ukrycia nadjeżdżającą kolumnę polskiej kawalerii". Ciężko rannego natychmiast przewieziono do szpitala we Lwowie. Tak opisał to opiekujący się nim w drodze Srokowski:

„Otrzymałem rozkaz przewiezienia ciężko rannego podpułkownika do szpitala we Lwowie w celu dokonania tam operacji rannego. Należało przebyć około 80 kilometrów przez teren, gdzie buszowały jeszcze niedobitki armii sowieckiej. Rannego ułożono na miękko wysłanym wozie i w asyście kilku ułanów ruszyliśmy w drogę. Podpułkownik był przytomny i zdawał sobie sprawę zarówno z tego, że jest ciężko ranny, jak również z niebezpieczeństw czyhających na nas w drodze. Powiedział mi, że nie chce dostać się w ręce bolszewików, i musiałem mu dać słowo honoru, że w razie niebezpiecznej sytuacji osobiście go zastrzelę. W czasie podróży kilka razy trafialiśmy na niewielkie oddziały bolszewików, które po ostrzelaniu ich przez moich ułanów szybko wycofały się. Te chwile były dla mnie bardzo ciężkie, gdyż wiedziałem, że nigdy nie będę w stanie wykonać tego, o co mnie prosił pułkownik. Gdyby to się stało nieodzowne, byłem zdecydowany odebrać sobie życie. Na szczęście udało mi się dowieźć rannego do Lwowa".

Życia Antoniego Jabłońskiego nie udało się uratować. Zmarł 22 października 1920 r. w szpitalu we Lwowie. Był jednym z ostatnich oficerów WP, o ile nie ostatnim, którzy polegli w wojnie z bolszewikami. Pośmiertnie mianowano go podpułkownikiem i odznaczono Orderem Virtuti Militari oraz Krzyżem Walecznych z trzema okuciami. Wiele lat później za służbę w Legionach otrzymał też Krzyż Niepodległości.

Major został pochowany w grobie rodzinnym w Modliborzycach na Lubelszczyźnie. Wkrótce spoczął tam jego ojciec, a 45 lat po śmierci „Zdzisława" – jego matka. Grób ten jest też symboliczną mogiłą ppor. Józefa Jabłońskiego, młodszego brata Antoniego, który jako 19-latek służył pod jego dowództwem w 11. Pułku Ułanów, a później był oficerem rezerwy artylerii WP. Zmobilizowany w 1939 r., więziony w obozie w Starobielsku został zamordowany przez NKWD w Charkowie wiosną następnego roku.

Zasługę płk. Antoniego Jabłońskiego dla niepodległości Polski i polskiego wojska najlepiej oddają słowa Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, które matce poległego przekazał delegowany na pogrzeb gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski: „Pani straciła syna, a ja następcę".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl 0c302ee7c4



Tatarzy krymscy i niemiecki żołnierz FOT. DOMENA PUBLICZNA

Tatarska kolaboracja



Arkadiusz Karbowiak

W czasie drugiej wojny światowej niemal 15 tys. Tatarów krymskich podjęło współpracę z Niemcami. Dlaczego kolaborowali z okupantem, a niemieckie wojska witali na swoich ziemiach chlebem i solą?

Już jesienią 1941 r., podczas wlewania się oddziałów Wehrmachtu na Krym, Niemcy zauważyli, że pewna część tatarskiej społeczności jest nastawiona wrogo wobec bolszewików. Tatarzy stanowili wówczas ok. 19 proc. ludności półwyspu (niemal połowa mieszkańców była pochodzenia rosyjskiego, a 14 proc. ukraińskiego). Zdarzało się, że w niektórych tatarskich wsiach wkraczające oddziały Wehrmachtu witano chlebem i solą. Bywało też, że udzielano Niemcom informacji o miejscach pobytu sowieckich oddziałów partyzanckich oraz ich baz żywnościowych.

Obserwując te tendencje, niemieckie struktury okupacyjne zainicjowały działania na rzecz tworzenia pośród mieszkańców Krymu formacji samoobrony. O proniemieckich nastrojach wśród Tatarów wspominał dowódca walczącej na Krymie 11. Armii, gen. Erich von Manstein, pisząc: „Tatarzy natychmiast wzięli naszą stronę. Widzieli w nas swoich wyzwolicieli spod jarzma bolszewickiego, tym bardziej że szanowaliśmy ich obyczaje religijne". Rozumiejąc szansę, którą dawał pozytywny stosunek Tatarów do Niemców, późniejszy dowódca Grupy Armii Południe wydał instrukcję, aby w czasie operacji antypartyzanckich nie stosować represji wobec ludności tatarskiej (należało przy tym szczególnie poprawnie zachowywać się wobec kobiet). Mienie Tatarów miało

eprasa.pl 0c302ee7c4





Sewastopol po bitwie FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BUNDESARCHIV

być szanowane, a rekwizycje miały być dozwolone tylko w przypadku zupełnego braku możliwości zdobycia pożywienia i tylko na rozkaz dowódcy batalionu. Takim postępowaniem niemiecki dowódca chciał sobie zjednać Tatarów i z ich udziałem zwalczać sowiecką partyzantkę. Zamierzenia von Mansteina się powiodły – w niemieckich oddziałach antypartyzanckich zaczęli pojawiać się tatarscy przewodnicy, często dezerterzy z grup podziemnych.

Berlin i Ankara

Polityka niemieckiej armii wobec Tatarów krymskich była zbieżna z polityką wsparcia nierosyjskich narodów zamieszkujących okupowane terytoria ZSRS, realizowaną przez Alfreda Rosenberga i podległe mu Ministerstwo ds. Obszarów Wschodnich. Poza pragmatycznymi przesłankami wynikającymi z potrzeb dowództwa postępowanie to wiązało się również po części z polityką zagraniczną III Rzeszy. Początkowo Adolf Hitler, uważający Krym za prastare ziemie niemieckie zamieszkiwane przez plemię Gotów, zamierzał półwysep zgermanizować, przeprowadzając deportację wszystkich jego nieniemieckich mieszkańców, osiedlając w ich miejsce Niemców, m.in. z Tyrolu. Jednak ze względu na toczące się działania wojenne oraz wagę, którą przywiązywano do relacji z Turcją, tymczasowo zrezygnowano z tej koncepcji, przekładając ją na okres powojenny. Ankara bowiem, nęcona sugestiami współpracy z państwami Osi (postrzegająca siebie jako swoistego opiekuna muzułmanów, a więc i Tatarów na okupowanych obszarach ZSRS), bacznie przyglądała się niemieckiej polityce na Krymie. Turcy zabiegali o poprawę statusu Tatarów poprzez różne stowarzyszenia panturecki, a także bezpośrednio poprzez działania tureckich oficjeli. Jednym z przejawów tej polityki była odbyta późnym latem 1941 r. w Berlinie wizyta jednego z liderów ruchu panturecki, azerbejdżańskiego polityka przebywającego na emigracji w Turcji Nuriego Paszy, który przeprowadził w dniach 11–25 września 1941 r. rozmowy z szefem Wydziału Politycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Ernstem Woermannem. Nuri Pasza sugerował, aby Niemcy wykazali się otwartością wobec Tatarów krymskich. Miesiąc później na półwyspie pojawili się goszczący na froncie wschodnim dwaj tureccy generałowie, Hüseyini Hüsnü Emir Erkilet i Ali Faud Erden, a w sierpniu 1942 r. przybyła delegacja z jednym z posłów do tureckiego parlamentu.

Te wizyty oraz chęć wykorzystania antybolszewickiego nastawienia części Tatarów stworzyły warunki do instytucjonalizacji tatarskiej kolaboracji z Niemcami. Opcja proniemiecka miała już zresztą swoją tradycję, Krym był bowiem w 1918 r. opanowany przez kajzerowską armię. Wówczas to współpracę z Niemcami podjął znany działacz autonomiczno-niepodległościowy, a potem jeden z liderów ruchu prometejskiego w Polsce Dżafer Sajdamet. Nie zdecydował się on już później na współpracę z Niemcami z powodu niechęci do NSDAP oraz braku konkretnej oferty współdziałania ze strony Berlina.

Inni politycy tatarscy z bardziej niż skromnych propozycji niemieckich postanowili jednak skorzystać. Na przełomie lat 1941 i 1942 zaczęły się pojawiać na Krymie komitety narodowe, które jednak nie mogły prowadzić działalności politycznej. Najwięcej powstało komitetów muzułmańskich (tatarskich), a także pojawiły się bułgarskie, ormiańskie, greckie i ukraińskie. Pierwszy komitet muzułmański (nazwa „krymski" nie została zaakceptowana przez Niemców) powstał 20 listopada 1941 r. w Bakczysaraju; później przeniósł się do

eprasa.pl 0c302ee7c4

Symferopola. Na jego czele stał Dżemil Abdureszidow. Komitet miał aspiracje do reprezentowania wszystkich Tatarów, ale sprzeciwiło się temu dowództwo Einsatzgruppe D. Komitety współpracowały z Einsatzgruppe, a później z Sipo (Sicherheistpolizei) i SD (Sicherheistdienst) w zakresie zwalczania sowieckiej partyzantki, prowadziły nabór wolontariuszy do jednostek ochotniczych, udzielały pomocy rodzinom ochotników, a także zajmowały się odbudową życia religijnego oraz głosiły niemiecką propagandę, m.in. w gazecie „Azad Krim" („Wolny Krym").

Ograniczony zakres działalności komitetów nie spełniał nadziei Tatarów mających polityczne aspiracje; liczyli oni bowiem na stworzenie armii narodowej oraz uzyskanie autonomii lub własnego państwa. Mimo że Niemcy ograniczali ich działalność, Tatarzy próbowali realizować swoje cele. Krokiem ku samostanowieniu było nawiązanie kontaktu ze znanym narodowym przywódcą tatarskim, represjonowanym w czasach sowieckich Ametem Ozenbaszłym. Zmierzano do tego, aby wrócił na Krym i zaangażował się politycznie. Niedługo później, w listopadzie 1942 r., ten pisarz i lekarz neurolog napisał memorandum do władz niemieckich. Domagał się w nim uznania Tatarów za sojuszników Rzeszy, zwrotu utraconych dóbr podczas kolektywizacji, możliwości osiedlenia się na półwyspie Tatarów zamieszkujących inne obszary ZSRS, a także utworzenia religijno-narodowego ośrodka politycznego. Poplecznicy Ozenbaszłego nie byli przy tym zadowoleni z działań dotychczasowego przewodniczącego komitetu – Dżemila Abdureszidowa. 14 grudnia 1942 r. odwołano go z tej funkcji za zgodą Niemców (został wiceprzewodniczącym). Na krótko zastąpił go Erdzep Kurtseito, jednak ponieważ Niemcy szybko zorientowali się, że dokooptowani do komitetu zwolennicy Ozenbaszłego są nastawieni bardziej roszczeniowo niż ich poprzednicy, przywrócili na stanowisko Abdureszidowa.

W okresie poprzedzającym zmiany w symferopolskim komitecie uaktywnili się przebywający w Rzeszy liderzy tatarskiej emigracji, na czele z mieszkającym przed wojną w Wilnie Edigem Szynkiewiczem. Emigranci tuż po rozpoczęciu



Ludolf von Alvensleben, niemiecki zbrodniarz wojenny FOT. WIKIPEDIA

wojny niemiecko-sowieckiej rozpoczęli rozmowy z Niemcami. Próba odwiedzenia przez nich obozów jenieckich, w których przebywali Tatarzy, nie doszła do skutku. Za zgodą ministra Rosenberga udało im się co prawda odbyć podróż po Polsce, Litwie i Białorusi, gdzie odwiedzili skupiska Tatarów, jednak mieli zakaz wjazdu na Krym, nawet mimo że Szynkiewicza uznano za lidera tatarskiej społeczności. Zezwolenie wydano z dużym opóźnieniem. 16 grudnia 1942 r. Szynkiewicz spotkał się wreszcie z członkami komitetu symferopolskiego, do którego zresztą sam dołączył.

Wspólny cel

Zasadniczą płaszczyzną współpracy Niemców z Tatarami była sprawa utrzymania ładu i bezpieczeństwa. Na przełomie lat 1941 i 1942 zaczęły powstawać tatarskie oddziały samoobrony. Niemcy przydzielali do nich swoich instruktorów i wyposażali ich członków w lekką broń. Formacje te miały brać udział w zwalczaniu sowieckiej partyzantki. Jedna z pierwszych takich grup (9. Kompania samoobrony) powstała na początku stycznia 1942 r. we wsi Kousz. Jej liczebność w pierwszej fazie istnienia wynosiła 35 członków. Oddział prowadził dość aktywną działalność, wyszukując bazy i miejsca składowania żywności partyzantów. Bolszewicy wielokrotnie próbowali zniszczyć miejscową samoobronę, ale za każdym odpierali ich Niemcy stacjonujący we wsi (samoobrona szkoliła się wówczas w innej miejscowości). 9. Kompania była jedną z 15 utworzonych przez okupantów na Półwyspie Krymskim. Służyło w nich łącznie 1467 osób, z czego 717 to ochotnicy, a reszta to jeńcy zwerbowani w obozach.

Podstawą tworzenia tych jednostek była instrukcja gen. von Mansteina z 5 grudnia 1941 r. Nabór prowadzono ostrożnie, dokładnie selekcjonując zgłaszających się ochotników. Strukturą, na której barki spadł obowiązek tworzenia wspomnianych samoobron, była Einsatzgruppe. W rekrutacji mieli ją wspomagać członkowie komitetu symferopolskiego. Pierwsza wspólna tatarsko-niemiecka narada w tej kwestii odbyła się 2 stycznia 1942 r. Trzy dni później rozpoczął pracę punkt werbunkowy w Symferopolu. Równocześnie uruchomiono akcję propagandową.

Jednym z werbowników został Abdullah Karabasz, późniejszy Waffen-Haupsturmführer der SS. Rekrutacje przeprowadzono w 203 wsiach i osadach, a także w pięciu obozach podlegających 11. Armii. Do służby zgłosiło się 9255 osób, z których aż 8684 skierowano do 11. Armii i rozdzielono po poszczególnych jednostkach. Ochotnicy pełnili różne funkcje i nie zawsze byli „hiwisami" (niem. Hilfswillige – osoby wykonujące czynności pomocnicze). Czasami przydzielano ich też do oddziałów bojowych. Tak było w przypadku 22. Dywizji Piechoty i 24. Dywizji Piechoty, w których składach znajdowały się w batalionach saperskich pojedyncze kompanie złożone z Tatarów. Straty kontyngentu tatarskiego w bitwie o Sewastopol oraz na Półwyspie Kerczeńskim wyniosły 571 zabitych i rannych (według innych danych 398). Znaczną część ochotników stanowili jeńcy, których Niemcy zaczęli zwalniać z obozów w zamian za podjęcie służby w Wehrmachcie lub w samoobronie. Trwało to jednak krótko. Już 30 lipca 1942 r. rozwiązano kompanie samoobrony. Nowe dyspozycje niemieckiego dowództwa zakazywały tworzenia z Tatarów oddziałów bojowych. Mogli oni działać jedynie w oddziałach antypartyzanckich lub wartowniczych.

9 września 1942 r. na spotkaniu z SS-Brigadeführerem Ludolfem von Alvenslebenem podjęto decyzję o powołaniu do życia batalionów samoobrony, choć później zaczęto nazywać je batalionami Schutzmannschaftu. Miały one jednak nieco inny charakter niż te tworzone choćby w Generalnym Gubernatorstwie

eprasa.pl 0c302ee7c4

i podlegały Orpo, czyli niemieckiej policji porządkowej (poza kilkoma podlegającymi Sipo). Bataliony funkcjonujące na Krymie były formacjami wojskowymi i Wehrmacht płacił im żołd oraz wyposażał je. Liczyły one po 211 żołnierzy, a w każdym znajdowało się 16 Niemców. W listopadzie 1942 r. powstało osiem batalionów, lecz tylko część z nich zaangażowano do operacji antypartyzanckich. Początkowo ich skład narodowościowy był stricte tatarski, ale od wiosny/lata 1943 r. zaczęto wcielać do nich Ukraińców i kozaków. Podstawowym zadaniem tych jednostek była ochrona obiektów strategicznych i linii komunikacyjnych.

Rozłamy

Należy wspomnieć, że Tatarzy służący w formacjach niemieckich dopuszczali się także zbrodni wojennych. Do tragicznych wydarzeń z ich udziałem doszło 2 lipca 1942 r. podczas bitwy o Sewastopol, kiedy w okolicach Ałuszty desantowcy sowieccy starli się z Tatarami. Wziętych do niewoli Sowietów Tatarzy zaczęli rozstrzeliwać i dopiero interwencja włoskich marynarzy przerwała masakrę. Istnieje też przypuszczenie, że zbrodni na przebywających w obozie ulokowanym w kołchozie Krasnyj, w okolicach Symferopola, dokonali członkowie dwóch tatarskich plutonów wchodzących w skład kompanii podległej SD w Symferopolu (obozem zarządzał Wehrmacht, a tylko część podlegała SD). Czasami zdarzało się nawet, że sami Niemcy nie podzielali zapału Tatarów do przeprowadzania krwawych represji. Taka sytuacja miała miejsce, gdy dwa komitety muzułmańskie w Bakczysaraju i Ałuszcie zasugerowały niemieckim władzom, że wszystkich Rosjan w okolicy należy zlikwidować. Okupanci zbyli te postulaty milczeniem.

Wraz z klęskami ponoszonymi przez Wehrmacht na froncie wschodnim pod koniec 1943 r. skłonność Tatarów do kolaboracji zaczęła się zmniejszać. Jednocześnie nastąpił gwałtowny spadek morale w niektórych jednostkach tatarskich Schutzmannschaftu. Pewna część „szucmanów", chcąc uniknąć odpowiedzialności za służbę w batalionach, starała się nawiązywać współpracę z sowiecką partyzantką, na co z kolei Niemcy reagowali represjami (np. w 147. batalionie z tego powodu aresztowano i rozstrzelano jako element prosowiecki 76 żołnierzy).

Z drugiej strony były bataliony (149., 151., 150.), które do końca dzielnie biły się z nacierającą Armią Czerwoną. Wiosną 1944 r. ewakuowano z Krymu do Rumunii ok. 2,5 tys. tatarskich żołnierzy i wcielono ich do Waffen-SS, powołując do życia Brygadę Strzelców Górskich SS (Waffen-Gebirgsjäger-Brigade der SS). Rozkaz w tej sprawie został wydany 8 lipca 1944 r. Dowódcą jednostki został SS-Standartenführer Wilhelm Fortenbacher, który będąc przekonany, że skierowano go na to stanowisko za karę, nie miał zbyt wielkiej determinacji, aby doprowadzić do końca proces tworzenia oddziału. W efekcie w grudniu 1944 r. brygadę rozwiązano, a żołnierzy tatarskich wcielono do Wschodniotureckiego Związku Bojowego (Osttürkische Waffen-Verband der SS), a konkretnie do Waffengruppe „Krym", która poddała się Amerykanom we Włoszech. Jej żołnierze zostali wydani Sowietom. Poza tą jednostką 831 krymskotatarskich żołnierzy służyło w 35. Dywizji Grenadierów Policyjnych SS.



Rustem Eminov „Pociąg śmierci. 2" – deportacja Tatarów FOT. AVDET.ORG

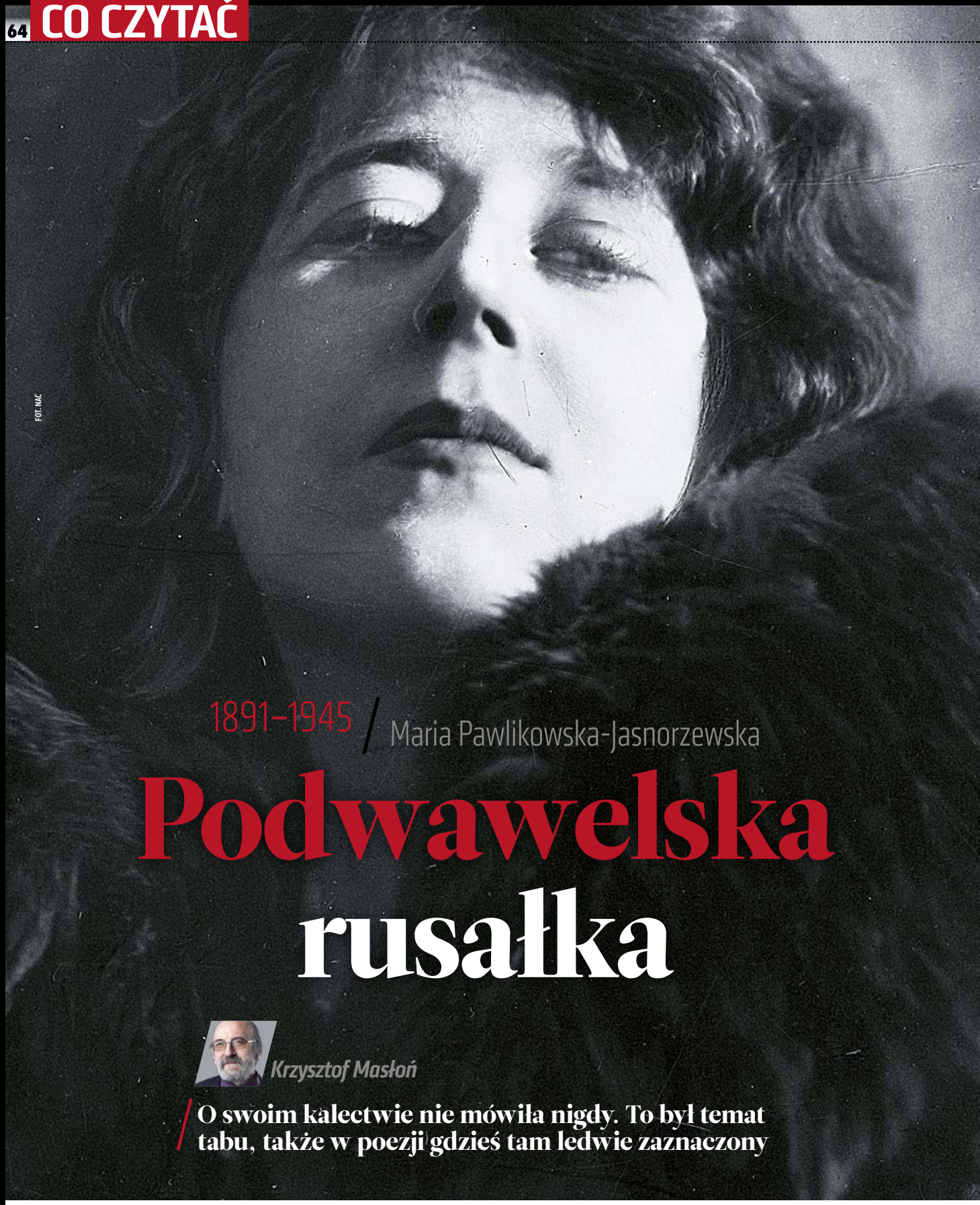
17 marca 1945 r. Centrum Narodowe Tatarów Krymskich zostało uznane przez III Rzeszę za polityczne i dyplomatyczne przedstawicielstwo Tatarów. Ten gest nie miał już jednak żadnego znaczenia. Wielu polityków tatarskich, w przeciwieństwie do żołnierzy, uniknęło deportacji do ZSRS i udało się na emigrację do Turcji (m.in. Szynkiewicz). W sumie w latach 1941–1944 ok. 10–15 tys. Tatarów podjęło współpracę z Niemcami. Z tego powodu w akcie zemsty Józef Stalin nakazał przeprowadzenie w maju 1944 r. deportacji Tatarów z Krymu. Wywieziono ich na Syberię, do Uzbekistanu, Kirgistanu i Kazachstanu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

Романько О.В., *„Крым в период немецкой оккупации. Национальные отношения, коллаборационизм и партизанское движение. 1941–1944", М.: Центрполиграф 2014;*
Романько О.В., *„Крым под пятой Гитлера. Немецкая оккупационная политика в Крыму 1941–1944 гг", М.: Вече 2011;* ***Романько О.В.,*** *„Советский легион Гитлера. Граждане СССР в рядах вермахта и СС", М.: Эксмо; Яуза 2006 i inne.*

eprasa.pl 0c302ee7c4



FOT. NAC

1891–1945 / Maria Pawlikowska-Jasnorzewska

Podwawelska rusałka

Krzysztof Masłoń

O swoim kalectwie nie mówiła nigdy. To był temat tabu, także w poezji gdzieś tam ledwie zaznaczony

eprasa.pl 0c302ee7c4

Jasnorzewska należała do najdziwniejszych w Polsce kobiet – twierdził Zygmunt Leśnodorski. – Wydawała się chwilami istotą zupełnie nierzeczywistą. Uosobioną magią poezji. Zjawa seansu, która boi się ostrego światła, zgiełku i ruchu. Salamandra, co wypełzła z ognia i zamieniła się w kobietę po to, by tajemnice różnych czarów, misteriów i niesamowitych wcieleń wyrazić w formie subtelnej miniatury wierszowej. Może dlatego było jej zawsze tak zimno? Otulona szalami, zwinięta w kłębek, spędzała większą część życia na kanapie w półmrocznym pokoju, z małą lampką umieszczoną nastrojowo gdzieś w kącie, na niskim stołeczku lub podłodze. W takim klimacie – przesiąkniętym wonią kwiatów, perfum, mocnych papierosów i starych mebli – czuła się najlepiej".

Urodzona w 1891 r. w Krakowie poetka była kaleką, „miała całe dzieciństwo zatrute krzywicą, która rozwinęła się u niej na skutek złamania prawej ręki" – jak pisała jej siostra Magdalena Samozwaniec. Z kolei według Ireny Krzywickiej musiała przechodzić chorobę Heinego-Medina. A Zofia Starowieyska-Morstinowa tak wyjaśniała jej ułomność: „Powodem […] była gruźlica stosu pacierzowego, na którą zachorowała jeszcze jako dziecko. Zrozpaczeni rodzice zawieźli ją do Berlina, uchodzącego wtedy za lekarską mekkę (szkoda, że nie do Szwajcarii, gdzie już wtedy skutecznie umiano tę chorobę leczyć). Jednak mekka zawiodła: berlińska sława zamiast unieruchomić chory krzyż w gipsie, co – jak wiadomo – jest lekarstwem skutecznym i już wówczas powszechnie było stosowane, poddawała swą małą pacjentkę męczącym i bolesnym ćwiczeniom gimnastycznym, co sprawiło, że chory krzyż giął się i krzywił, a dziewczynka w okresie, gdy powinna była najwięcej rosnąć, rozwijała się nieprawidłowo. I wskutek tej niefortunnej kuracji ładna i zdrowa z urodzenia dziewczynka wyrosła jakoś dziwnie nieproporcjonalnie. Owa długa choroba i kuracja były także powodem, że Lilka nie otrzymała nawet takiej edukacji, jaką już wówczas otrzymywała większość »panienek z dobrych domów«, a która poza klasycznym wykształceniem domowym obejmowała jeszcze taką lub inną maturę, nieraz rok lub dwa jakiejś pensji. Niefortunne skutki owej zdumiewającej dziś dla nas terapii były powodem tego, że Lilka zawsze musiała się otulać tiulami i futrami, a jakkolwiek robiła to doskonale, z właściwym sobie smakiem i wdziękiem, jednak od razu rzucało się w oczy, że była jakoś inaczej zbudowana niż wszyscy".

Jednak o swoim kalectwie nie mówiła nigdy. To był temat tabu, także w poezji gdzieś tam ledwie zaznaczony. Sama, „już w dzieciństwie – wspominała Magdalena Samozwaniec – nazwała siebie Lilką. »Lilą«, co – nie powiem – niesłychanie do niej pasowało, ponieważ ulubionym jej kolorem był właśnie kolor lila. Kiedy już dorosła, zawsze sprawiała sobie liliowe suknie i szale. Poza tym w swojej garderobie, w przepastnych szafach najpierw na Kossakówce, a później w alei Krasińskich i na Akacjowej, uznawała jeszcze tylko wszystkie odcienie błękitu i zieleni. Czerni nie cierpiała strasznie, podobnie jak i krwistej czerwieni".

Miała trzech mężów. Pierwszym był poznany podczas wojny (pierwszej!) porucznik Władysław Janota Bzowski. Był to związek kompletnie niedobrany. On chciał mieć żonę, która będzie mu gotowała obiady, do tego jeszcze był zazdrosny, ona dość szybko zaczęła się nim nudzić. Następny był w pełni odpowiadający jej intelektualnie Jan Pawlikowski, niestety, zdradzał ją na potęgę. Do trzech razy sztuka – stwierdziła i miała rację: Stefan Jerzy Jasnorzewski zwany Lotkiem (był lotnikiem) kochał ją bardzo i oddany był jej do końca. Ciekawe, że literaturą nie interesował się w ogóle.

Hymn na cześć miłości

„Dała w swej twórczości – pisał o niej Jalu Kurek – najpełniejszy kształt natury kobiecej, chyba to najdojrzalsza poezja kobieca epoki. Staroświecka dama rezydująca opodal wiślanego podwawelskiego bulwaru, zamknięta w ciszy domu, w zgiełku własnego serca, niewolnica pasjansów i wiedzy tajemnej, ścigana koszmarem przemijania, żyjąca w ciągłym lęku przed nieuchronną starością, porażona wizją kobiecego więdnięcia – wyśpiewała w poezji hymn na cześć miłości i pożądania".

Trudno zanegować te słowa, a jednak choć dużo napisano o niej na tę właśnie nutę, „wszystkim tym pochwałom – co wypunktował Jan Lechoń – czegoś brak: pisze się o niej, jak zawsze u nas, prawie jak o świętej. A to była czarownica. Rusałka to też znaczy czarownica".

W 1926 r. wydała tom „Pocałunki", w którym znalazł się m.in. ten czterowiersz zatytułowany „Miłość":

Nie widziałam cię już od miesiąca.
I nic. Jestem może bledsza,
Trochę śpiąca, trochę bardziej milcząca,
Lecz widać można żyć bez powietrza.

Po latach w Piwnicy pod Baranami do słów tych, do których dołączono jeszcze „Fotografię" i kolejną „Miłość" (z o rok późniejszego tomu „Wachlarz"), muzykę napisał Zygmunt Konieczny, a wszystko to genialnie wyśpiewała Ewa Demarczyk. Nawiasem mówiąc, i inne utwory Pawlikowskiej doczekały się wersji wokalnych, a to Niemena („Smutny Ktoś i biedny Nikt", „Ptaszek"), to znów Turnaua, Kayah, a nawet – i to w tym roku – Sanah.

Jak wiele mówią cztery wersy „Ofelii":
Ach, długo jeszcze poleżę
W szklanej wodzie, w sieci wodorostów, zanim
nareszcie uwierzę,
Że mnie nie kochano, po prostu.

Pisała o sobie, o swoich uczuciach, o miłości. Nawet wtedy, gdy pozornie inny był temat wiersza, bez miłości nie mogło się obyć. Jak w „Lenartowiczu" z tomu „Różowa magia" (1924):

Złotniczeńku ty na niebie
Chcę pić życie, nie mam z czego.
Zrób mi kubek, proszę Ciebie,
Z szczerozłota gwiaździstego!

Zrób mi kubek! Zrób mi kubek!
Ale proszę, zrób mi ładnie,
Wyrzeźb wszystko w nim, co lubię:
pieska, serce, gwiazdkę na dnie.

Zrób mi lekki i nieduży,
ale mocny zrób i trwały,
niech mi całą wieczność służy!
Chcę pić z niego dla twej chwały.

Otrzyj ręce swe z pozłoty,
Którą złocisz świat po ciemku,
dla miłości, dla tęsknoty,
uczyń kubek, Złotniczeńku.

Niekiedy zarzucano wierszom poetki nadmiar piękności. Czy może być poezja zbyt piękna?

eprasa.pl 0c302ee7c4

Jednak nawet ze słów jej stryjecznej siostry, Zofii Kossak (córki Tadeusza Kossaka, brata bliźniaka Wojciecha), też wziętej pisarki, wynika poczucie jakiegoś braku w wierszach Lilki:

„Ciągle czekam na coś godnego jej wielkich zdolności, a cóż to jest […] wytrząsanie z rękawa kolorowych piórek i dmuchanie na nie, żeby wiatr je poniósł, gdzie chce. A ona ma olbrzymi talent, po prostu olbrzymi: nawet trudno sobie wyobrazić, jak wielki i oryginalny […]. Ogromny talent Lilki wisi w powietrzu jak storczyk i jak stokrotka kwitnie ślicznie, dla znawców, ale tylko tyle trzeba mu gleby koniecznie, jakiejkolwiek, ale gleby.

Mnie najniezasłużonej Bóg dał życie tak pełne i bogate, ale siedząc w górach, za górami zaledwie nadążam przeżyć i przemyśleć wszystko, co mi ono przynosi. Ona, biedactwo, przy swojej olbrzymiej pojemności duchowej, ma życie bardzo puste jeszcze. Więc jeździ, »bawi się«, jest w nieustannym pseudoruchu, byle to czymś wypełnić".

Pszczoły i trutnie

Artystką zostać musiała, w końcu była wnuczką Juliusza i córką Wojciecha Kossaków, sławnych malarzy. Utrwalony został idylliczny obraz rodzinnego szczęścia i harmonii, nie do końca przystający do rzeczywistości. Joanna Jurgała-Jureczka w swojej książce „Kossakowie. Biały mazur" przedstawia dowody na to, że „poetka zdecydowanie niepoetycko walczyła o pieniądze, i to w dodatku najbardziej intensywnie w ostatnich miesiącach przed wybuchem wojny". W liście do bratowej Ewy Kossakowej pisała: „Notabene (nie bardzo bene) nic nie wiem o projektowanej licytacji Wygódki, naszej ewentualnej sprzedaży parcelki. Mamidło pisze mi o ptaszkach i ogrodniku, a te rzeczy pokrywa dyskretna cisza, co mnie irytuje po prostu".

„Obie z Magdaleną – czytamy w »Białym mazurze« – domagały się sprzedaży ogrodu, choć widziały wyraźnie, że rodzice są temu przeciwni. Maria zauważyła, że matka »znosi to ciężko – jak chorobę«, że jest »zaskórnie blada«, zmartwiona, rozżalona. Ojciec, który utrzymywał córki przez lata, teraz już ich finansowe żądania i pretensje uważał za nonsens. Tymczasem Maria Pawlikowska-Jasnorzewska chciała »wyrwać« dla siebie i siostry jak najwięcej. Oto do jakiego przy okazji doszła wniosku, niewątpliwie krzywdzącego dla rodziców: »Jednym słowem nauka, aby na przyszłość nie krępować się i żądać, bo Państwo starsi dawno zapomnieli o córkach, chociaż nas niby kochają wielce. Nierealni w każdym calu, po amatorsku traktują nasze egzystencje«".



Maria Pawlikowska-Jasnorzewska FOT. NAC

No, to już było wredne. Podobnie jak wredne było niezaproszenie przez Marię rodziców na swój trzeci ślub. Jest prawdą, że byli mu przeciwni, przede wszystkim dlatego, że o trwałości uczuć Lilki nie byli przekonani, a Wojciech Kossak wydał grube pieniądze na unieważnienie jej wcześniejszych małżeństw. Trzeba było wychodźstwa, osamotnienia i choroby, by Maria Jasnorzewska pojęła swój egoizm, a wtedy – czytamy – „wyrzucała sobie, że była wówczas nieustępliwa i interesowna, a powinna być kochająca i troskliwa".

Jej pierwsze utwory dramatyczne – zauważyła Zofia Starowieyska-Morstinowa – poświęcone były „kompleksowi dziecka, wstrętowi do macierzyństwa, wstrętowi, któremu towarzyszy jakieś bolesne odczucie jego braku". To nie przypadek, w jej liryce dzieci nie istnieją.

A skoro o dramatach mowa… Może i Piotr Kuncewicz przesadził, orzekając, że „Pawlikowska – dramaturg raczej kompromituje poetkę", a jej „sztuki budzą zażenowanie". W końcu były dziełem swojej epoki i przed wojną grano je z niejakim powodzeniem. Niemniej rzeczywiście – jak pisał Kuncewicz – „w »Dowodzie osobistym rodziny Zebrzydowieckich« (1935) każde z małżonków śpi z kim innym, a ostatecznym dowodem prawdy są dzieci – młodzi Zebrzydowiec-

eprasa.pl 0c302ee7c4

cy rodzą się z błonami między palcami. W »Zalotnikach niebieskich« (1933) przedstawiających środowisko lotników problem polega na tym, że bohaterka cierpi na frigiditas ze starym mężem, a nie cierpi – z młodym kochankiem. I tak dalej. Stosunek do mężczyzn przypomina Nałkowską – słusznie napisał Lesław Eustachiewicz, że »mężczyzna w jej komediach bardziej przypomina trutnia niż człowieka«".



Uroczystość wręczenia nagrody Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, 1937 r. FOT. NAC

Ene-due-rabe

Wydawała się jak najdalsza od spraw publicznych, od polityki, a jednak po tym, gdy w 1935 r. dwie agentki polskiego wywiadu, żony oficerów, zostały stracone przez Niemców, napisała wiersz „Enthauptet (Ścięte)", co nie uszło uwadze naszych zachodnich sąsiadów. Po prapremierze „Baby-Dziwa" w grudniu 1938 r. ambasada III Rzeszy zażądała już zdjęcia z afisza tej sztuki, wymierzonej w nienazwanego dyktatora, w którym hitlerowcy, jak najsłuszniej zresztą, rozpoznali swego Führera. Sztuki oczywiście nie zdjęto, a autorka znalazła się na hitlerowskiej liście wrogów, co miało przesądzić o jej emigracji.

4 września 1939 r. Jasnorzewscy opuścili kraj i przez Lwów, Zaleszczyki, Rumunię i Włochy dotarli do Francji. W lipcu roku następnego przyjechali do Anglii, gdzie pozostali na zawsze.

„Poetką śmierci – pisała Marta Podgórnik – mianowała ją choroba – nie tak romantyczna, sercowa, dramaturgicznie wygrana, jak np. u Haliny Poświatowskiej, lecz zwykły złośliwy nowotwór, z którym się zresztą nie bawiła w liryczne ene-due-rabe, który umieścił Ją najpierw na krześle inwalidzkim, a potem w trumnie".

„Widziała wojnę z pozornej oddali i pisała o wojnie tak, jak o miłości, znajdując nieubłagany rytm w każdym aspekcie bytu i niewiarygodny sens w każdym nonsensie wydanych ponad nami i bez nas wyroków" – konstatowała Marta Podgórnik. Jednak potrafiła tę wojnę, zawsze jej nienawistną, spuentować i tak jak w październiku 1941 r.:

„Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani",
śpiewał żołnierz, aż kulą w łeb trafiony urwał.
Pozwólcie mi błąd jeden sprostować, kochani:
Przede wszystkim nie pani żadna, ale k...
Na uchodźstwie tęskniła za ojczyzną, za domem,
z miesiąca na miesiąc coraz bardziej. Powstał
wówczas wiersz „Zielone miasto":
Kraków cały jest w liściach,
błyszczących po letnim deszczu
– podwójnie zielonych w księżycu
I w szmaragdowej latarni,
Wiszącej przy Zwierzynieckiej...

Kraków, cienisty ogrójec...
Jaśminów gąszcz, las kasztanów,
Inwazja drzew. Ptaków – roje!

W tym lesie – szepty tajemne,
W tym lesie łzy, pocałunki,
Zduszone w objęciach westchnienia...
– gromkie echo komendy niemieckiej.

Jużeś dla mnie widmem

„W bolesnej sytuacji życiowej – pisała Maria Danilewicz-Zielińska – w jakimś błysku natchnienia czy daru absolutnego widzenia narodził się wiersz »Wenecjo...«, jeden z najlepszych, jaki kiedykolwiek napisała, odbijający od schematu wierszy nostalgiczno-patriotycznych, łączących żałość z nadzieją powrotu". Trochę tu przesady, tych wierszy patriotycznych nie było wcale wiele, a wojnę Pawlikowska-Jasnorzewska postrzegała zawsze jako zło wymierzone w rodzinę, więc nostalgia ta miała swój wyraźny adres. Co nie zmienia tego, że „Wenecjo..." to utwór wybitny:

Do dziś jeszcze nie tknięta koronko kamienna!
Żegnam cię, boś zbyt piękna. Nie dzisiaj, to jutro;
Nie ta wojna, to inna. Jużeś dla mnie widmem...

Danilewicz-Zielińska generalnie krytycznie oceniała emigracyjną twórczość autorki „Pocałunków" i nie była w tym odosobniona. Nawet Tymon Terlecki, uważający poetkę za „pierwszą co do rangi w polskiej liryce kobiecej naszego czasu" i „zapewne jedną z pierwszych w kobiecej liryce europejskiej", przyznawał, że „pod działaniem wojny nastąpiło u Pawlikowskiej może nie naruszenie ośrodka równowagi, ale jakby jej wychwianie, przegięcie przez ciężar doznań do ostatecznej granicy, poza którą ustaje świadomość i opór, zaczyna się rozpacz i obłęd".

Hanna Mortkowicz-Olczakowa pisała: „Lata wojenne nie oszczędziły Lilce chyba żadnej z klęsk, jakich się bała. Straciła w tym czasie oboje ukochanych rodziców, wydawca londyński zagubił niesumiennie cały tom jej wierszy »Niezapominajki bagienne«. Odseparowana od kulturalnego życia emigracji, od przyjaciół i kolegów – wyizolowana i tym bardziej stęskniona w obcym, nudnym Blackpoolu, zmagała się z fizycznym cierpieniem – nieuleczalną chorobą.

W szpitalu w Manchesterze naświetlenia radowe przyprawiły ją o paraliż. Chciała się skryć ze swym cierpieniem jak topielec na dnie morza, jak ranny tygrys w dżungli. – Wy jesteście moją dżunglą – mówiła do przyjaciół. Zawczasu prosiła w listach: »Błagam o pomoc dla mnie, gdy się już droga otworzy, a rodacy zaczną się swarzyć o miejsca i utrudniać wyjazd«. A umarła 9 lipca 1945 r., właśnie wtedy, gdy droga powrotu była otwarta".

Pochowana została na cmentarzu koło szpitala onkologicznego w Manchesterze. W jednym ze swych ostatnich utworów napisała:

Chciałabym, aby i mnie ktoś podjął z wybrzeża i do ojczyzny zaniósł.
Jeszcze odżyłabym w tym moim morzu rodzonym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0c302ee7c4



Cmentarz w Berezowicy Małej FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ALINA I IRENEUSZ SKRZYPCZAKOWIE

Książka miesiąca / Obok Wołynia

Pomijane ludobójstwo

Problematyka antypolskiej akcji UPA na Wołyniu jest tematem wielu ciekawych książek i artykułów zarówno naukowych, jak i publicystycznych. W polskiej historiografii brakowało jednak do tej pory opracowania analizującego działania partyzantki ukraińskiej skierowane przeciwko polskiej ludności cywilnej w Galicji Wschodniej. Tę lukę wypełnia praca dr. Damiana Markowskiego. Przedstawia ona szczegółowy przebieg wydarzeń związanych z akcją antypolską UPA w Małopolsce Wschodniej.

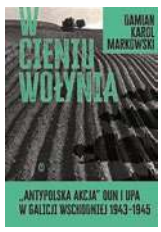
Przełomowym momentem był III Zjazd OUN-B, który odbył się w sierpniu 1943 r. To tam starli się ze sobą zwolennicy taktyki wołyńskiej, pragnący rozpocząć masakrę polskich cywilów na terytorium Galicji Wschodniej, z jej przeciwnikami uważającymi, że działania na Wołyniu zaszkodziły wizerunkowi ukraińskiego ruchu niepodległościowego. Ostatecznie zwycięzcami wewnętrznej konfrontacji okazali się ci pierwsi, na czele dowódcą UPA gen. Romanem Szuchewyczem „Turem". W przeciwieństwie do Wołynia początkowo struktury banderowskiego podziemia w Galicji Wschodniej wydały nieco łagodniejsze rozkazy nakazujące m.in. zabijanie Polaków aktywnych na antyukraińskim odcinku czy też wzywające Polaków za pomocą ulotek do opuszczenia ziem ukraińskich. W tym drugim przypadku, gdyby nie przyniosły one efektów, planowano przeprowadzać ataki mające na celu likwidację mężczyzn. W praktyce okazało się, że te wytyczne nie były w żadnej mierze przestrzegane, a za udział w masowych zbrodniach na kobietach i dzieciach nie wyciągano żadnych konsekwencji.

Władze niemieckie z niepokojem obserwowały narastającą falę mordów na Polakach, ponieważ oznaczało to dla nich chaos w okolicy frontu. W momencie nadejścia kulminacyjnej fali zdecydowały się nawet przekazać broń niektórym polskim samoobronom. Podczas rozmów, które toczyły się pomiędzy Wehrmachtem czy strukturami policyjnymi a UPA, okupanci domagali się zaprzestania ataków na polską społeczność. W tym kontekście należy wspomnieć, że pewnej pomocy zagrożonym fizyczną eliminacją Polakom udzielały jednostki węgierskie.

Z zażenowaniem należy natomiast skonstatować, że akcji antypolskiej UPA towarzyszyła pewna inercja działań Polskiego Państwa Podziemnego. Skupiając się na przygotowaniach do realizacji skierowanego przeciw Niemcom planu „Burza", centralne i okręgowe struktury AK i Delegatury niestety nie podjęły wystarczających kroków na rzecz ratowania Polaków przed fizyczną zagładą. W okresie hitlerowskiej okupacji bilans polskich ofiar ukraińskich nacjonalistów zamknął się w Galicji Wschodniej liczbą nie mniejszą niż 14 tys. zabitych.

Nadejście sowieckiej okupacji nie zakończyło tragedii Polaków w Galicji Wschodniej. Kolaboracja części z nich z Sowietami, szczególnie widoczna w pierwszym roku (lato 1944/lato 1945 r.), stała się pretekstem dla UPA do kontynuowania antypolskiej akcji. Z jednej strony służba w Istriebitielnych Batalionach była dzięki legalnemu dostępowi do broni w pewnym stopniu próbą ocalenia polskich skupisk na galicyjskiej prowincji, z drugiej jednak strony stanowiła współdziałanie z Sowietami w dokonywaniu zbrodni na Ukraińcach. Masowe wyjazdy naszych rodaków do komunistycznej Polski w latach 1945–1946 zakończyły akcję eksterminacyjną UPA. W sumie w Galicji Wschodniej ukraińscy nacjonaliści zamordowali 31 524 Polaków, z czego 15 263 ofiary znamy z nazwiska. ©℗

Arkadiusz Karbowiak



DAMIAN KAROL MARKOWSKI
„W CIENIU WOŁYNIA. ANTYPOLSKA AKCJA OUN I UPA W GALICJI WSCHODNIEJ 1943–1945"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

eprasa.pl 0c302ee7c4

Pół millennium później

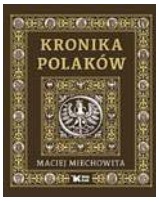
We wstępie do wydanej właśnie „Kroniki Polaków" („Chronica Polonorum") Miechowity (1457–1523) możemy przeczytać, że ta „forma uczczenia 500-lecia śmierci Macieja z Miechowa przejdzie do historii kultury polskiej jako niezwykle znaczące wydarzenie". Tak też my tę ważną pozycję wydawniczą postrzegamy. Było potrzeba aż pięciu stuleci, aby to wybitne literackie dzieło doczekało się przetłumaczenia na język polski. „Kronika" była pisana przez Miechowitę, wielkiego historiografa, geografa i humanistę doby renesansu, po łacinie. Dotychczas w języku polskim znana była tylko z fragmentów. Historycy w swoich pracach często odwoływali się do zapisów wielkiego uczonego. Teraz już i my możemy poznać dzieje Polski, tak jak je widział i rozumiał w okresie swojego życia jej autor. Mamy zatem na początku odwołanie się do dziejów bajecznych, poczynając od Lecha i Kraka, a koniec opowieści zamyka się na roku 1506.

„Kronikę Polaków" czyta się jak powieść. To oczywiście zasługa jej autora, a także tłumacza, który używa języka naszych czasów. Jeden tylko przykład: „[Piast] został wybrany na króla w wieku dojrzałym, a zmarł jako starzec, podaje się, [że] w wieku stu dwudziestu lat. Panował w pokoju, a pałac królewski przeniósł z Kruszwicy do Gniezna, [czyli] na pierwotne miejsce". Tego niezwykłego wysiłku podjął się ks. Michał Cichoń – znany tłumacz łacińskich dokumentów kościelnych.

Cytowany wyżej ks. prof. Janusz Królikowski pisze we wstępie „Kroniki Polaków": „Książkę, choćby najlepszą i najbardziej wartościową, nie wystarczy przetłumaczyć, gdyż trzeba znaleźć dla niej jeszcze odpowiedniego wydawcę i konieczne środki, gdyż nie wszystko, co słuszne, cieszy się wsparciem. W takiej sprawie można było zwrócić się jedynie do wydawnictwa Biały Kruk, które od blisko 30 lat wnosi wielki wkład w życie kulturowe i naukowe w dzisiejszej Polsce".

Pierwotne wydanie „Kroniki" z 1521 r. zawierało 47 ilustracji – portretów naszych władców, historycznych, a także tych legendarnych oraz sytuacji ważnych dla dziejów Polski. W najnowszym wydaniu także je obejrzymy. ©℗

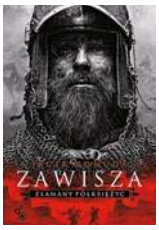
Leszek Lubicki



MACIEJ MIECHOWITA
„KRONIKA POLAKÓW"
BIAŁY KRUK

Zawisza i półksiężyc

Chrześcijańska Europa mierzy się z islamską nawałą, która chce się wedrzeć do serca Europy. Mieszkańcy tych ziem stają przed egzystencjalnym zagrożeniem – półksiężyc zdaje się być w apogeum swojej potęgi. Zygmunt Luksemburczyk zbiera najmężniejszych rycerzy, którzy pod znakiem krzyża będą się starali powstrzymać hordy najeźdźców. Wśród nich nie może zabraknąć tego, który pod Grunwaldem łamał teutońskie miecze. Kolejna wciągająca książka Jacka Komudy o Zawiszy Czarnym. Któż inny byłby w stanie z taką swadą (i ze znawstwem epoki) zabrać czytelników do świata dawnej chrześcijańskiej Europy, gdzie rycerski honor był cenniejszy od złota? ©℗ ***(p.w.)***



JACEK KOMUDA
„ZAWISZA. ZŁAMANY PÓŁKSIĘŻYC"
FABRYKA SŁÓW



TERESA KOWALIK, PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI
„ZWIERZĘTA NA WOJNIE"
FRONDA

PSY WOJNY

Czworonogów używano w armiach od niepamiętnych czasów. Tropiły przeciwników, ostrzegały wartowników przed niebezpieczeństwem i szarpały wrogów kłami. W XX w. psy były wykorzystywane do wielu nowych zadań, m.in. do noszenia amunicji czy ratowania rannych. W tej książce znajdziemy też wiele ciekawych historii o m.in. wojskowych gołębiach, a także... nietoperzach. ©℗ ***(p.w.)***



STEFAN GRAJEK
„W POSZUKIWANIU UTRACONEGO SMAKU"
ZYSK I S-KA

UTRACONY SENS

Ubrane w lekką formę rozważania na temat ostatnich kilkuset lat chrześcijańskiej Europy. Autor rozpatruje, co postmodernizm wydarł naszej cywilizacji, oraz próbuje odpowiedzieć na pytanie, kiedy i dlaczego to, co przez wieki było jasne i zrozumiałe, straciło nagle sens. Czy pojęcia takie jak miłość, wiara, rodzina, wolność znaczą jeszcze cokolwiek? ©℗ ***ASz***

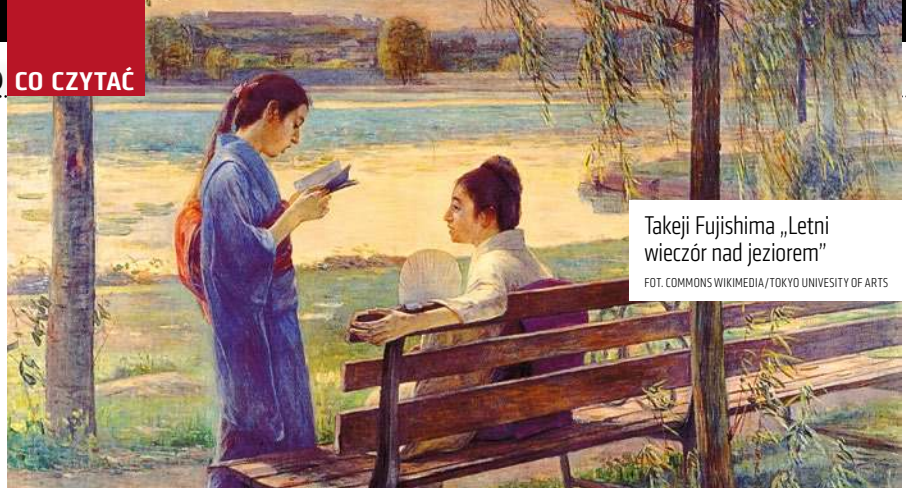


GRZEGORZ PODRUCZNY
„TWIERDZA KŁODZKO. MONOGRAFIA HISTORYCZNA"
WYDAWNICTWO AVALON 2023

BIOGRAFIA TWIERDZY

Pierwsza pełna monografia liczącej ponad 400 lat Twierdzy Kłodzko. Dzieje warowni, która przez stulecia odgrywała istotną rolę w systemie obronnym Śląska, Czech i Moraw, znane były dotychczas wybiórczo. Autor, jeden z najlepszych w Polsce specjalistów w historii fortyfikacji, na blisko 600 stronach opisuje dzieje twierdzy od samych jej początków do dziś. ©℗ ***(raw)***

eprasa.pl 0c302ee7c4



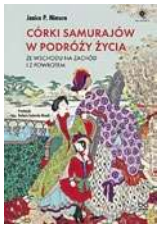
Takeji Fujishima „Letni wieczór nad jeziorem”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/TOKYO UNIVESITY OF ARTS

Przez uchylone drzwi

Europa poznała Japonię dopiero w połowie XIX w., kiedy Amerykanie zażądali, pod groźbą użycia siły, otwarcia jej portów na świat zewnętrzny. Po wiekach izolacji za czasów rządów siogunatu zetknięcie światów okazało się dla obu stron bardzo zaskakujące.

Jakim sposobem siogunat przetrwał tyle lat? Odpowiedź zawiera się w cytacie, który przytacza autorka: „Nasi historycy każą nam […] kroczyć drogą naszych przodków i niczego nie zmieniać. Jeżeli będziesz tak postępować, czeka cię powodzenie i dobrobyt; jeżeli cokolwiek zmienisz, czeka cię upadek. Ów wymóg posłuszeństwa jest tak mocno zakorzeniony, że jeśli przodkowie każą ci zmierzać do jakiegoś miejsca okrężną drogą, a ty odkryjesz prostszą i krótszą drogę, nie wybierzesz jej. Musisz zawsze podążać śladem przodków”.

To, co działo się w Japonii po obaleniu siogunatu i przywróceniu rzeczywistej władzy cesarzowi, było prawdziwą rewolucją. Japonia nie zapomniała o korzeniach, lecz daimyo i samurajowie musieli poważnie zweryfikować myślenie o państwie i o swoim miejscu w świecie.



JANICE P. NIMURA
„CÓRKI SAMURAJÓW W PODRÓŻY ŻYCIA”
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

Nakreślając tę nową rzeczywistość, autorka opisuje losy pięciu nietypowych Japonek. Status kobiet w Japonii był od wieków bardzo niski. Dziewczynki były wychowywane według surowych zasad na pokorne i kierujące się honorem żony. W Japonii nastała jednak nowa epoka. Niektórzy doszli do wniosku, że dopóki kobiety będą trzymane jedynie za zamkniętymi drzwiami domostw, dopóty w kraju nic się nie zmieni.

U progu epoki Meiji postanowiono więc przeprowadzić eksperyment. Do USA wysłano pięć japońskich dziewczynek, które przez 10 lat miały pobierać nauki i uczyć się języka angielskiego. Pomysł nie spotkał się z entuzjazmem. Mało kto chciał wysłać swoją córkę w podróż do „barbarzyńskiej Ameryki”. Czy ich pobyt w USA był zatem szczęśliwy? Jak odnalazły się w zupełnie nowej rzeczywistości, a także jak wyglądało ich życie, gdy wróciły do Japonii? Książka amerykańskiej pisarki, która mając męża Japończyka, sama „balansuje” pomiędzy dwoma światami, to niezwykła podróż przez historię i przemiany społeczne w Japonii.

Anna Szczepańska

Polskie skrzydła przed wojną

Ta niewielka książka jest cennym, bogato ilustrowanym kompendium wiedzy o polskich fabrykach samolotów oraz o wytwarzanych w nich maszynach. Stworzenie polskiego przemysłu lotniczego było jednym z najważniejszych osiągnięć II RP. Publikację otwiera przedstawienie pierwszych polskich samolotów, które powstały jeszcze przed odzyskaniem niepodległości.

Z kolei pierwsze samoloty dla wojska – najpierw na licencji, a potem już własne – rozpoczęła produkować lubelska wytwórnia Plage i Laśkiewicz. Jedną z najbardziej udanych konstrukcji był Lublin R-XIII. W 1928 r. do produkcji samolotów wzięło się państwo i tak powstały PZL, czyli słynne Państwowe Zakłady Lotnicze. Zasłynęły one z samolotów myśliwskich konstrukcji Zygmunta Puławskiego i jego następców. Były to konstrukcje na tyle udane (P-11 i P-24), że eksportowano je do Rumunii, Bułgarii, Turcji i Grecji. Publikacja omawia także prototypowe konstrukcje, takie jak PZL „Jastrząb” i PWS „Wyżeł”, które nie weszły do produkcji z powodu wybuchu wojny.

Dużą renomą cieszyły się prywatne Doświadczalne Warsztaty Lotnicze, dzięki samolotom RWD, w tym RWD-6 i RWD-8, na których polscy piloci zwyciężali w zawodach Challenge. Książka zawiera też informacje o szybowcach (w tym o wyczynowym PWS-101) i ich producentach. *(t.s.)*



PRACA ZBIOROWA
„POLSKI PRZEMYSŁ LOTNICZY 1918–1939”
CENTRALNA BIBLIOTEKA WOJSKOWA

eprasa.pl 0c302ee7c4

Piórem i mieczem

Obecna wojna na Ukrainie toczy się nie tylko na polach bitew. I nie wybuchła wcale ani 24 lutego 2022 r., ani nawet wiosną 2014 r. Agresja rosyjska trwa od wieków. Również na froncie literackim. O tym wymiarze konfliktu pisze Wira Ahejewa w książce „W cieniu imperium. Kulisy ukraińsko-rosyjskiej wojny kulturowej". Na Ukrainie została wydana kilka miesięcy przed pełnoskalową inwazją. Choć w Polsce pojawiła się ponad rok później, to jednak nic nie traci na aktualności.

Ahejewa jest ukraińskim filologiem i krytykiem literackim. Sama chętniej nazwałaby się „filolożką" i „krytyczką". Jest bowiem również feministką. Na Ukrainie tego rodzaju lewicowe przekonania nie idą automatycznie w parze z pragnieniem dekonstrukcji narodowych mitów. Przeciwnie – Ahejewa, podobnie jak autorka przedmowy, pisarka Oksana Zabużko, jest „feministką patriotką", która np. staje po stronie „żołnierzy UPA", ponieważ walczyli z przeważającymi siłami (sowieckiego) wroga o słuszną sprawę, czyli byli uciskaną mniejszością (o zbrodniach banderowców w książce nie pisze nic). Ukraina jawi się z jej perspektywy jako kolonia, podbita przed uboższe cywilizacyjnie imperium. Nie wspomina przy tym, że zachodni sznyt ukraińska tożsamość zawdzięcza w ogromnej mierze wpływom polskim. Forsuje też ahistoryczną tezę, zgodnie z którą Ruś Kijowska wcale nie była kolebką trzech narodów wschodniosłowiańskich, tylko (tego nie pisze wprost, ale czytelnie sugeruje) jednego z nich – Ukrainy oczywiście.

Jeśli przedstawia ciemne strony z historii własnego narodu, to są to przypadki pisarzy, którzy w ten czy inny sposób poszli na współpracę z Moskwą. Przyznaje przy tym, że nie zawsze taka współpraca była godną potępienia zdradą. Wielu twórców, szczególnie w czasach sowieckich, starało się w warunkach okupacji zachować tyle rodzimej kultury, ile się da. Przykładem jest poeta Mykoła Bażan, który pisał panegiryki na cześć Lenina i Stalina, ale jednocześnie (dzięki silnej pozycji w oczach partii) bronił rodaków piszących w ojczystym języku przed represjami i redagował „Ukraińską encyklopedię sowiecką". Autorka opisuje przypadki dwóch wielkich pisarzy XIX w. – Tarasa Szewczenki i Nikołaja Gogola. Obaj byli Ukraińcami. Szewczenko pisał jednak w swoim ojczystym języku, bezkompromisowo krytykując „Moskali". Gogol natomiast wybrał tożsamość zaborcy i stał się klasykiem literatury rosyjskiej. Z prowincjonalnej Połtawszczyzny przeprowadził się do Petersburga. Ahejewa próbuje go jednak zukrainizować.

Pierwsze opowiadania Gogola osadzone były w sielskiej atmosferze „małorosyjskiej" wsi i pełne były pogardy dla „Moskali". Ahejewa udowadnia, że autor „Martwych dusz" uważał Ukrainę (a dokładniej Kozaczyznę) za kraj o heroicznej i godnej szacunku przeszłości, ale bez przyszłości. Był więc ostatnim z wielu ukraińskich intelektualistów, którzy po ugodzie perejasławskiej postanowili współtworzyć kulturę wielkiego imperium, zachowując przy tym choć część własnej tożsamości.

Pod koniec 2022 r. okupacyjne władze Mariupola zasłoniły ruiny słynnego, zbombardowanego teatru parawanem z wielkimi portretami Tołstoja, Dostojewskiego, Gogola i innych klasyków literatury rosyjskiej. Zdaniem Oksany Zabużko to idealna ilustracja do książki Ahejewej. Pokazuje bowiem, czym naprawdę jest Rosja. Na scenie – wielka kultura. Za kulisami – wielka zbrodnia. ©℗

Maciej Pieczyński



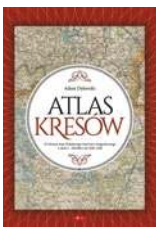
WIRA AHEJEWA
„W CIENIU IMPERIUM. KULISY UKRAIŃSKO-ROSYJSKIEJ WOJNY KULTUROWEJ"
ZNAK HORYZONT

Kresy na mapach

Najmniejszą nawet miejscowość na dawnych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej można znaleźć w „Atlasie Kresów" Adama Dylewskiego. Autor miał znakomity pomysł. Jest nim zarówno zreprodukowanie przedwojennych map Wojskowego Instytutu Geograficznego w skali 1:300 000, z lat 1928–1938, jak i opatrzenie każdego arkusza opisem krajobrazu, przyrody, a także obiektów kultury materialnej. Są to głównie kościoły, pałace i dwory, gdyż – jak stwierdza Adam Dylewski – są one „najbardziej widocznym typem obecności polskiej na Kresach". Nieistniejące już zabytki są oznaczone w tekście znakiem krzyża. Znaków tych jest zatrważająco dużo. Autor tłumaczy, że z braku miejsca, tylko niekiedy wspomina o cmentarzach a także o budowlach wzniesionych w latach II Rzeczpospolitej. Atlas obejmuje jej wschodnie województwa, pokazuje jednak także ziemie, które pozostały poza granicą ryską w takim zakresie, jak przedstawili je kartografowie WIG.

Opisom arkuszy mapy Kresów towarzyszą fragmenty z książek „Rodzinna Europa" Miłosza, „Pożoga" Kossak-Szczuckiej, „Bunt rojstów" Mackiewicza. Smutna refleksja z lektury „Atlasu Kresów" to nie tylko żal, że tak wiele polskiego dziedzictwa kulturowego uległo zagładzie, lecz także to, że dziś pozostaje tylko podróż po mapie.gdyż z oczywistych powodów wyjazdy na Białoruś i Ukrainę są obarczone dużym ryzykiem. ©℗

(t.s.)



ADAM DYLEWSKI
„ATLAS KRESÓW"
WYDAWNICTWO DRAGON

eprasa.pl 0c302ee7c4

/ Felieton



Rafał A. Ziemkiewicz

Kapitalizm zwyrodniały

/ Giełda z miejsca, gdzie spotykają się i kooperują inwestorzy, zmieniła się w miejsce hazardowych zakładów, gdzie – jak w każdym hazardzie – biedniejsi, łudzeni nadzieją cudu, dobrowolnie oddają swe pieniądze bogatym

Coś się popsuło w silniku, który w ostatnich stuleciach nadał cywilizacji europejskiej pęd nieznany wcześniej dziejom – tak wielki, że w ciągu kilku pokoleń przeszliśmy od wytwórczości opartej na pracy ręcznej i sile mięśni do ery cyfrowej i od powszechnego głodu do powszechnego przejedzenia. Tym silnikiem – gotów jestem się spierać z każdym, którzy go widzą gdzie indziej – był kapitał akcyjny. Wynalazek giełdy zmienił sposób alokowania zasobów. Wcześniej trafiały one tam, gdzie je kierowali władcy. A władcy, wiadomo, czasem są mądrzejsi, czasem głupsi – ale nawet ci mądrzejsi nie zawsze mogą kierować się mądrością, bo muszą np. kogoś pozyskać, kogoś wynagrodzić albo imponować poddanym. W efekcie zasoby – mówiąc prościej, pieniądze – notorycznie marnowane były na budowę różnych piramid, pałaców, na bezsensowne wojny, słowem – na rzeczy, które nie przynosiły zysków. A gdzie nie ma zysku, tam nie ma rozwoju.

Giełda natomiast kierowała pieniądze tam, gdzie inwestorzy oczekiwali zysku – i nic innego się na niej nie liczyło. Kapitały zaczęły być alokowane w przedsięwzięciach najbardziej obiecujących. Pomysł, żeby sprzedawać udziały w przedsięwzięciu, zmienił też zarządzanie gospodarką. Własność rozproszona, akcjonariat, wymusiła nowy sposób zorganizowania przedsiębiorstwa i nadzorowania go. W ten sposób narodziły się współczesne korporacje – rada nadzorcza, zarząd, walne zgromadzenie udziałowców. Wytworzyła się korporacyjna kultura zarządzania. W połączeniu z pogonią za giełdowym zyskiem podniosło to efektywność gospodarki do poziomów dla poprzednich pokoleń niewyobrażalnych i przyśpieszyło rozwój cywilizacyjny ponad wszelkie ich wyobrażenia.

Dziś niewiele z tego pozostało. Giełda z miejsca, gdzie spotykają się i kooperują inwestorzy, zmieniła się w miejsce hazardowych zakładów, gdzie – jak w każdym hazardzie – biedniejsi, łudzeni nadzieją cudu, dobrowolnie oddają swe pieniądze bogatym. W korporacjach, w miarę wzrostu ich siły, ujawniła się opisana w głośnym dziele Jamesa Burnhama sprzeczność między interesami właścicieli a menedżerów. Próbując ją rozwiązać, sięgnięto po pomysł „akcji menedżerskich", co okazało się lekarstwem gorszym od samej choroby. Skoro zarządy i szefowie korporacji wynagradzani być zaczęli „opcją" od wzrostu wartości akcji, realizowaną jako odprawa, to zaczęli kierować się zasadą „po mnie choćby potop" i maksymalizować zyski w krótkim terminie – choćby po zakończeniu kadencji wszystko się miało zawalić, to już będzie problem następcy. Wszystko się rzeczywiście zawaliło, w roku 2008. Rządowi USA udało się jakoś uspokoić sytuację wyczarowanymi miliardami, ale przypominało to leczenie kaca „klinem": sprolongowano tylko nieuchronny krach, niech się martwi któryś z kolejnych lokatorów Białego Domu, na kogo popadnie, na tego bęc.

Wszystko to stało się niepostrzeżenie. Gdy w początkach XX w. jeden człowiek sięgnął po monopol na rynku ropy i jej pochodnych, ustawą Kongresu podzielono jego firmę na kilkanaście mniejszych. Jeszcze Ronald Reagan robił to samo z wyrodniejącymi w monopole i oligopole koncernami telekomunikacyjnymi i transportowymi. Donalda Trumpa, gdy jeszcze był urzędującym prezydentem, oligopoliczne koncerny odcięły od kontaktu z wyborcami i zablokowały karty bankowe. I nic nie mógł im zrobić. Oto może najbardziej wymowny symbol zmiany, która się dokonała. ©℗

eprasa.pl 0c302ee7c4

/ Felieton



Piotr Semka

Złota nadzieja

Dlaczego ludzie, w szczególności wojskowi, tak głęboką symboliczną czcią otaczają broń, np. szable? Broń to obietnica zwiększenia szans człowieka w starciu z zagrożeniami, których nie sposób przewidzieć. Podobną rolę odgrywało zawsze w dziejach ludzkości złoto. Przeglądając jeden z niemieckich magazynów z lat 70., natrafiłem na reklamę banku sprzedającego południowoafrykańskie złote monety, tzw. krugerrandy. Slogan reklamowy brzmiał: „Ein Stück Gold, Ein Stück Sicherheit" – co w wolnym tłumaczeniu brzmi: „Kawałek złota, kawałek bezpieczeństwa". Autorzy reklamówki najwyraźniej starali się dotrzeć do mentalności pokolenia, które przeżyło drugą wojnę światową. Ludzi, którzy musieli opuścić Pomorze, Prusy Wschodnie, Dolny Śląsk – często, jak to się wtedy mówiło, z jedną walizką w ręku.

Ale motyw ludzi, którzy starali się zmniejszyć siłę rażenia niepewnego losu, zachowując na czarną godzinę złote monety, pojawia się i wcześniej. W niezwykle popularnym polskim filmie „Znachor" kresowy gospodarz grany przez Bernarda Ładysza, chcąc odwdzięczyć się tytułowemu znachorowi Antoniemu Kosibie za wyleczenie syna z kalectwa, wyciąga ze schowka w desce mnóstwo złotych monet. „Bierz, to złote imperiały" – zachęca. Jak wspominała moja babcia, w przedwojennej Polsce istnieli ludzie, którzy myśleli o przyszłości jako o ponurej bestii, która może jeszcze raz ukąsić. Byli to Polacy, którzy mieli za sobą doświadczenie bolszewickiej rewolucji. To właśnie oni skupowali w okresie międzywojennym złote monety i ukrywali je w specjalnych schowkach w swoich mieszkaniach. Jak opowiadała mi moja babcia, to właśnie ludzie ze „stażem" wojny domowej w Rosji podejmowali najtrafniejsze decyzje, kiedy wybuchła wojna. Ci, którzy nigdy w życiu nie zderzyli się z taką dawką zła i zdziczenia, z uporem pocieszali się, że wcale nie musi być tak źle.

Potem, po wielu latach, gdy w 1996 r. odwiedziłem Hongkong, rok przed oddaniem przez Brytyjczyków tej kolonii ChRL, opowiadano mi o specyficznych nawykach tamtejszych biznesmenów. Szczególnie ci, którzy utracili w Chinach cały majątek, ale dzięki swojej przedsiębiorczości zarobili nowe, duże pieniądze w Hongkongu, mieli ponoć zawsze spakowane walizki z najniezbędniejszymi rzeczami i złotymi monetami zaszytymi w torbie podróżnej. Lęk przed kolejną czerwoną nawałą kazał im mieć przygotowaną walizkę, którą w razie jakiegoś nieszczęścia można pochwycić i uciec z nią za granicę. Zastanawiałem się kiedyś, czy ktoś przeprowadził badania, ilu warszawskich Żydów w ciągu lata 1939 r. po cichu sprzedawało majątek i wyjechało za ocean.

> / Czy dzisiaj zwykli Polacy biorą pod uwagę myśl, **że być może będą musieli kiedyś z jedną walizką uciekać z kraju?**

Fascynująca jest też lektura książek na temat technik przetrwania w pierwszych latach okupacyjnych. Historycy odnotowali casus rektora Uniwersytetu Poznańskiego Stanisława Kasznicy, który groźbę agresji nazistowskiej od momentu wspięcia się Adolfa Hitlera na szczyt władzy w Niemczech traktował jak najbardziej serio. Pan Kasznica już przed wojną kupił złote monety i w czasie okupacji niemieckiej rozsądnie nimi gospodarował. Inni musieli wyprzedawać się z mebli, biżuterii, książek, dzieł sztuki czy odzieży. Bardzo często taka wyprzedaż była błyskawiczna. We wspomnieniach niemieckich Żydów wywożonych do gett na terenie okupowanej Łotwy czy Ukrainy uwieczniony jest bezsilny tragizm tych ludzi. Nagle z przerażeniem odkrywali oni, że najcenniejsze przedmioty, które ze sobą zabrali, trzeba sprzedać w ciągu raptem dni lub tygodni, a nie wielu miesięcy, jak to sobie wcześniej wyobrażali ci przybysze z Hamburga czy Kolonii.

Wszystko to były zachowania ludzi, którzy próbowali za pomocą cennych precjozów oddalić wyrok śmierci. Ale czy dzisiaj zwykli Polacy biorą pod uwagę myśl, że być może będą musieli kiedyś z jedną walizką uciekać z kraju? Niedawno zresztą widzieliśmy sami podobny exodus. Setki tysięcy Ukraińców w ciągu paru tygodni docierały na przejścia graniczne koło Przemyśla, nie będąc w stanie sobie wyobrazić, jak przetrwają kolejne miesiące. Bóg się do nich jednak uśmiechnął – napotkali życzliwość milionów Polaków. Czy ci, którzy pakowali jedną walizkę w czasie pierwszych nalotów na Kijów czy Charków, zaczną teraz skupować w Polsce złote monety? Być może oni też widzą w nich polisę na nieznane jutro. ©℗

eprasa.pl 0c302ee7c4

50. rocznica wojny / Jom Kippur w ogniu

Sądny dzień Izraela



Izraelscy żołnierze świętujący zwycięstwo
FOT. ISRAELI DEFENCE FORCE



Grzegorz Janiszewski

Sytuacja była już na tyle krytyczna, że najważniejsi izraelscy politycy zaczęli naciskać premier Goldę Meir, aby zezwoliła na użycie bomb atomowych

Około wpół do trzeciej po południu 6 października 1973 r. przez Kanał Sueski ruszyła niezwykła flotylla. Prawie 500 niewielkich łodzi odbiło od egipskiego brzegu. Płynęły w kierunku wysokiego na 25 metrów ziemnego wału, który na drugim brzegu usypali Żydzi. W łodziach, w piaskowych kamizelkach ratunkowych i hełmach na głowach, uwijali się saperzy. Słychać było ryk odpalanych agregatów i pracujących pomp. Kiedy łodzie zbliżyły się do brzegu, saperzy otworzyli zawory i skierowali strażackie węże na wał. Zaczęły z nich z sykiem wypływać strumienie wody pod wysokim ciśnieniem. Piach z wału powoli spływał do kanału. W wydającej się nie do zdobycia zaporze ziały coraz większe dziury. Po drabinkach linowych wdzierali się na nią egipscy komandosi, likwidując nielicznych obrońców.

Kanału broniło niespełna 500 żołnierzy z trzecioliniowego batalionu. Od poprzedniego dnia trwało największe żydowskie święto – Jom Kippur. Jak wspominał egipski sierżant Nadżi Ali, jednej z pozycji na brzegu kanału bronił samotny izraelski żołnierz. „Rozstrzelanie go było bezcelowe – pisał w dzienniku. – Skopaliśmy go wojskowymi butami, aż umarł. Potem zabraliśmy całe wyposażenie posterunku, jedzenie, wodę, amunicję i oddaliśmy naszym żołnierzom, którzy sforsowali kanał”.

Kto przetrzyma?

Wojna sześciodniowa w 1967 r. była oszałamiającym sukcesem. Wydawało się, że Izrael nareszcie jest bezpieczny, a granice możliwe do obrony. Syria, Jordania i Egipt nie miały jednak zamiaru się z tym pogodzić. Niemal natychmiast zaczęły się przygotowania do następnego starcia. Najbardziej zainteresowany nim był Egipt. Uchodzący za regionalną potęgę oprócz prestiżu stracił też półwysep Synaj. Kanał Sueski – znaczące źródło egipskich dochodów – został zablokowany. Od razu po zakończeniu wojny gorącej zaczęła się druga – wojna na wyczerpanie. Izraelski brzeg był bombardowany, a egipscy komandosi wdzierali się na okupowane tereny.

Izrael nie mógł sobie pozwolić na ciągłą mobilizację rezerwistów bez poważnych szkód dla gospodarki. Dlatego postawił na obronę pasywną. Na brzegu Kanału Sueskiego usypano wysoki na 20–25 metrów ziemny wał o nachyleniu 60–65 stopni. Nie było sposobu na pokonanie go przez jednostki zmechanizowane czy pancerne. Wzdłuż wału

eprasa.pl 0c302ee7c4

rozmieszczono punkty oporu. Pod wodą znajdowały się rury do pompowania na powierzchnię kanału ropy. Zapalona miała uniemożliwić przeprawę. Kanał miał się stać grobem dla egipskiej armii.

Żydzi oceniali, że forsowanie rozciągającej się od Morza Śródziemnego do Morza Czerwonego linii Bar-Lewa zajmie Egipcjanom przynajmniej 24 godziny. Wystarczająco długo, żeby ściągnąć posiłki. Tymczasem podczas Jom Kippur obsadzonych było zaledwie 16 posterunków na pierwszej linii. Wielu żołnierzy wyjechało na przepustki, a kraj jak co roku zamarł.

Ten szczególny czas postanowił wykorzystać egipski prezydent Anwar as-Sadat. Uważany za przejściowego przywódcę, po nagłym zgonie w 1970 r. wybitnego poprzednika Gamala Nasera, walczył nie tylko o ziemię, lecz także o utrzymanie władzy. As-Sadat wraz z zaufanymi wojskowymi zakładał, że pokonanie Izraela nie jest możliwe. Postanowił jednak wykorzystać jego słabości. Przede wszystkim wrażliwość na długotrwały konflikt, połączony z mobilizacją i ze stratami w ludziach.

Egipcjanie z wojny sześciodniowej wyciągnęli słuszne wnioski. O jej wyniku zdecydowało panowanie w powietrzu, które umożliwiło sprawne działania wojsk pancernych i zmechanizowanych, a także pełna gotowość do walki. A gdyby uniemożliwić izraelskim samolotom loty, sparaliżować pancerne rajdy i zaskoczyć niezmobilizowanego przeciwnika?

Przygotowania zaczęto jeszcze za rządów Nasera. Egipskie jednostki były słabo zmotywowane, nawet do obrony własnego kraju, źle wyszkolone i uzbrojone. Dowódcy każdego szczebla zwyczajnie okłamywali przełożonych. Tym razem postanowiono do perfekcji wyćwiczyć proste manewry, możliwe do opanowania przez wszystkich żołnierzy. Oddziały latami, tydzień po tygodniu, ćwiczyły forsowanie kanału, układanie na nim rurociągu albo celowanie do czołgów.

W dużych ilościach zaczęto pozyskiwać uzbrojenie przeciwlotnicze i przeciwpancerne od Związku Sowieckiego. Zestawy krótkiego zasięgu Strieła 2 i Kub, średniego S-75 Dwina i S-125 Newa były niezwykle groźne dla izraelskiego lotnictwa. Wsparcie dla egipskich przeciwlotników zapewniała w ramach operacji „Kaukaz" skierowana do Egiptu specjalnie sformowana sowiecka 18. Dywizja Rakiet Przeciwlotniczych Specjalnego Przeznaczenia. Egipska armia została nasycona prostymi w obsłudze i skutecznymi wyrzutniami przeciwpancernych pocisków kierowanych 9M14 Malutka. Egipt miał ich ponad 1 tys. Co drugi żołnierz był wyposażony w ręczny granatnik przeciwpancerny RPG 7.

Ad-Sadat chciał się wedrzeć na Synaj pod osłoną pozostającej na drugim brzegu obrony przeciwlotniczej, utworzyć przyczółki i rozwinąć je w silne pozycje obronne, nasycone bronią przeciwpancerną. Izraelskie lotnictwo miało być blokowane, mobilizowane oddziały wchodzące stopniowo do walki niszczone. Przedłużający się konflikt miał w końcu spowodować reakcję mocarstw.



Wojska egipskie przekraczające Kanał Sueski
FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Umocnienia izraelskie – linia Bar-Lewa FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Sądny dzień

Izraelski wywiad wojskowy się nie spisał, raportując brak przygotowań do wojny. Dopiero 6 października powiadomił rząd, że jest ona nieuchronna. Żydzi rozpoczęli mobilizację o godz. 8. Wał na linii Bar-Lewa został w 70 miejscach rozmyty silnymi strumieniami wody, umożliwiając sforsowanie kanału. Nurkowie wcześniej zacementowali wyloty rur z ropą. Następnego dnia Egipcjanie na Synaju mieli już 30 tys. żołnierzy i 500 czołgów.

Równocześnie rozpoczęły się działania na północy, na Wzgórzach Golan. Syryjczycy byli jeszcze mniej zmotywowani do walki niż Egipcjanie, za to mieli wsparcie Iraku i innych państw arabskich.

Synaj dawał naturalną głębię operacyjną, pozwalając izraelskim dowódcom na złapanie oddechu. Na północy sytuacja wyglądała znacznie gorzej. Zajęcie Wzgórz Golan i sforsowanie Jordanu pozbawiłyby Izrael naturalnych fortyfikacji. Droga do żywotnych dolin Galilei, żydowskich osiedli i zasobów wody byłaby otwarta.

Na północy Izrael wybudował pas umocnień wzdłuż tzw. Purpurowej Linii, która rozgraniczała wojska po wojnie sześciodniowej. Ciągnął się tam rów przeciwczołgowy, dalej pola minowe,

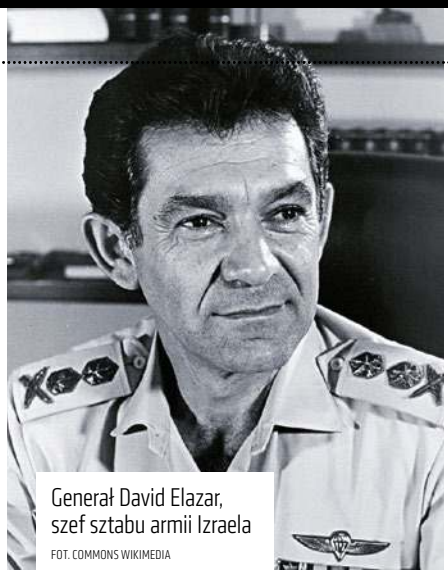
eprasa.pl 0c302ee7c4

bunkry i umocnione punkty ogniowe, zasieki z drutu kolczastego i zasadzki na czołgi. Jednak podobnie jak na Synaju pozycje były słabo obsadzone.

Pewne sygnały, że nadchodzi atak, dało się obserwować od końca września. Syryjscy żołnierze nie wyjeżdżali na przepustki, mobilizowano rezerwistów. Jednak szef izraelskiego wywiadu wojskowego, gen. Eli Zeira, był przekonany, że to tylko pozory. Gdy jednak 3 października Syryjczycy rozmieścili główne siły wzdłuż „Purpurowej Linii", rolnikom zabroniono wychodzić w pole, a rodziny sowieckich doradców wojskowych opuściły Damaszek, wybuch wojny był pewny.

Syryjczycy zaatakowali jednocześnie z Egipcjanami. Artyleria zaczęła masowy ostrzał żydowskich pozycji. W tym czasie do położonej na granicy Izraela, Libanu i Syrii, wysokiej na ponad 2,8 tys. metrów góry Hermon zbliżały się cztery śmigłowce Mi-8 z syryjskimi komandosami z 82. Brygady Spadochronowej. W obserwatorium meteorologicznym i tunelach wydrążonych pod szczytem góry mieściła się placówka izraelskiego wywiadu wojskowego. Były to oczy i uszy Izraela na Syrię. Z góry można było obserwować prawie całą „Purpurową Linię", a nawet Damaszek, i nasłuchiwać transmisji elektronicznych urządzeniami przekazanymi przez CIA.

Około godz. 14 syryjska artyleria zaczęła ostrzał obserwatorium. Godzinę później 30 komandosów z dwóch śmigłowców wylądowało poniżej i zaczęło atak na wysunięte izraelskie posterunki na stokach góry. Trzeci śmigłowiec się rozbił, zahaczając łopatą wirnika o skalne zbocze. Reszta oddziału ruszyła do ataku na posterunek, biegnąc z syryjskiej części góry Hermon. Zaskoczeni Żydzi wycofali się do budynku. Dwa karabiny maszynowe z trzech zostały wyeliminowane przez syryjską artylerię. Załoga trzeciego też szybko uległa. Syryjczycy posuwali się naprzód, pod słabym ogniem broni osobistej, wrzucając do środka budynku granaty i wpuszczając dym z przyciągniętego generatora. W środku zapanował chaos. Nieostrzelani izraelscy żołnierze wpadli w panikę, myśląc, że Syryjczycy użyli gazu. Syryjski komandos Jasin Ali tak wspominał atak: „Kiedy włamaliśmy się w pierwszą linię obrony, zobaczyłem izraelski karabin



Generał David Elazar, szef sztabu armii Izraela
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

maszynowy i dwóch żołnierzy strzelających do nas. Major Al-Hajer kazał mi i mojemu koledze, Muhammadowi Al-Farkowi, zniszczyć karabin. Zrobiliśmy to, zabijając dwóch żołnierzy, i ruszyliśmy do obserwatorium. Zobaczyłem Majora Al-Hajera wspinającego się na maszt flagowy z bagnetem i syryjską flagą w ręce. Kiedy tam dotarł, odciął izraelską flagę i zawiesił syryjską. Zszedł na dół, a my wzięliśmy go z Muhammadem na ramiona i zaczęliśmy krzyczeć »Allah Akbar«, Arabowie zwyciężą! To był jeden z najszczęśliwszych dni naszego życia, smak zwycięstwa". Kilka dni później sowieccy doradcy zdemontowali urządzenia podsłuchowe i wywieźli je do ZSRS. W ręce Syryjczyków dostała się też książka kodów izraelskiej armii.

W tym czasie Izrael przeżywał chaos pospiesznej mobilizacji. Jak wspominała Barbara Goldstein: „Siedziałam podczas nabożeństwa w synagodze w Jerozolimie, kiedy nagle zobaczyłam biegających dookoła mężczyzn, którzy klepali po plecach modlących się Żydów. Ci zaczęli wyskakiwać z ławek, powiewając w powietrzu tałesami. Kiedy wyszłam z dziećmi przed synagogę, stały tam już dziesiątki transporterów, do których wskakiwały setki odświętnie ubranych Żydów wyruszających na wojnę".

Dolina Łez

Tego samego dnia na Wzgórzach Golan izraelskie pozycje zaatakowało 60 tys. żołnierzy ze wsparciem 940 czołgów T-55, 460 nowoczesnych T-62 i 800 sztuk artylerii. Ich zadaniem było całkowicie zaskoczyć Żydów, rozerwać ich obronę i w ciągu 24 godzin dotrzeć do brzegu Jordanu. Przestrzeni powietrznej broniło 100 baterii przeciwlotniczych. Żydzi dysponowali jedynie 177 zmodernizowanymi czołgami Centurion, 50 samobieżnymi działami i ok. 7 tys. żołnierzy. Plany zakładały samodzielną obronę i powstrzymywanie Syryjczyków przez 36 godzin. Potem miały wkroczyć rezerwy.

Izraelskie załogi były lepiej wyszkolone, 105-milimetrowe działo Centuriona celniejsze, a pancerze czołgów bardziej odporne. Na wzgórzach przygotowane były zamaskowane pozycje, znacznie utrudniające wykrycie i zniszczenie maszyn. Syryjskie T-62 miały z kolei większy zasięg i osiągały wyższą prędkość na drodze, były łatwiejsze w obsłudze i posiadały noktowizję pozwalającą na walkę w nocy.

Syryjczycy atakowali metodycznie, ze wsparciem lotnictwa i artylerii. Jednak przeciwczołgowy rów, pola minowe i zamaskowane izraelskie pozycje były trudne do przejścia. Podciągnięto mosty towarzyszące, które stały się głównym celem dla izraelskich centurionów. Nie sposób było jednak obronić całego rowu. Syryjskie czołgi zaczęły go przenikać po groblach zbudowanych pod ostrzałem przez spychacze. Całonocny atak przy wykorzystaniu noktowizji przesunął linię walk zaledwie kilka kilometrów, i to przy dużych stratach. Nad ranem, w miejscu nazwanym później Doliną Łez, leżało 100 wraków syryjskich czołgów. Około 90 przedzierało się dalej. Izraelskie straty też nie były małe. W 7. Brygadzie Pancernej walczącej na północy ze 105 czołgami pozostało zaledwie 35 sprawnych maszyn.

Izraelscy dowódcy podzielili szczupłe siły na zespoły złożone z trzech–sześciu czołgów, prowadzących samodzielne działania. Na północy kluczową rolę odegrał 77. batalion pancerny dowodzony przez ppłk. Avigdora Kahalaniego z 40 maszynami. Pierwszego dnia miał przeciw sobie 500 syryjskich czołgów. Izraelscy czołgiści celowali w syryjskie maszyny z kilkoma antenami, wiedząc, że jadą nimi dowódcy. Szkoleni przez Sowietów na wojnę jądrową, zamknięci w wieżach Syryjczycy nie widzieli pola walki. Siedzący w otwartych włazach Żydzi niszczyli czołgi nieprzyjaciela jeden

eprasa.pl 0c302ee7c4

po drugim. W 188. Brygadzie zginęli jej dowódca i wszyscy dowódcy batalionów. Kahalani skakał z jednego czołgu na drugi, mobilizując żołnierzy. Wchodzące do walki kolejne maszyny pochodziły z różnych jednostek. Niezgrane załogi walczyły skutecznie dzięki doskonałemu wyszkoleniu i wpajanej samodzielności, podczas gdy Syryjczycy oglądali się na rozkazy przełożonych. Większe sukcesy odniósł jedynie wyszkolony w USA gen. Omar Abrasz, który zresztą wkrótce zginął w swoim czołgu.

Na południu 7 października syryjska 5. Dywizja Piechoty i 46. Brygada Artylerii znalazły się 12 km od brzegów Jordanu. Zamiast złapać przyczółki i odciąć izraelskie siły na północy, wyszkoleni na sowieckiej doktrynie dowódcy pytali o instrukcję naczelne dowództwo, które nakazało wstrzymanie natarcia i reorganizację sił. Na północy 3. Dywizja Pancerna uwikłała się w walki z izraelską 7. Brygadą, zamiast ruszyć na południe, zadając decydujący cios.

Syryjczycy mieli jeszcze potężne siły i nic nie było przesądzone. Na wschodni brzeg Jordanu przeprawiły się zmobilizowane 146. i 240. Dywizje Pancerne Rezerwy. W poniedziałek 8 października zostały one użyte do kontrofensywy na południe od Wzgórz Golan. Sukcesy w walce z syryjskimi zestawami przeciwlotniczymi zaczęły też odnosić izraelskie siły powietrzne. Na północy walki trwały w najlepsze. 9 października Żydom zostało już tylko 12 czołgów. Kahalani wydał rozkaz do ataku na 50 syryjskich maszyn, ale nikt się nie ruszył. Wtedy dowódca zaczął motywować podwładnych: „Co się z nami stało? Jesteśmy Żydami, jesteśmy od nich lepsi. Czy jesteście tchórzami? Kto chce, może do mnie dołączyć". Po tym wezwaniu czołgi ruszyły. Syryjczycy, zwykle motywowani kopniakiem dowódcy, widząc nadjeżdżające posiłki, w końcu zaczęli się cofać.

Trzeciej wojny nie będzie

Wojna rozstrzygnęła się na polach bitew, jednak decydujące znaczenie miała postawa mocarstw. 9 października ZSRS zaczął wysyłać do Egiptu i Syrii uzbrojenie i sprzęt. Tego samego dnia decyzję o wsparciu Izraela podjął prezydent Nixon.

Szymon Peres, który był orędownikiem izraelskiego programu nuklearnego, wraz z ministrem obrony Mosze Dajanem zaczęli naciskać premier Goldę Meir, żeby zezwoliła na użycie bomb atomowych jako środka odstraszania. Ta odmówiła, stwierdzając, że jeśli bomby nie odstraszyły Arabów do tej pory, to nie odstraszą ich też teraz.

Sytuacja na frontach zaczęła się zmieniać. Na północy Żydzi doszli 13 października do Sasy, 40 km od Damaszku. Następnego dnia Amerykanie rozpoczęli operację „Nickle Grass". Strategiczne lotnictwo wojskowe zaczęło przerzucać broń i wyposażenie do Izraela. Samoloty F-4 Phantom były dosłownie przekazywane z rąk do rąk. Maszyny w godzinę były przemalowywane w izraelskie barwy, a piloci odlatywali nimi na front.



Zniszczony syryjski czołg T-62 FOT. COMMONS WIKIMEDIA/JAKED

W połowie miesiąca izraelscy żołnierze dotarli do Kanału Sueskiego, a 22 października wyszli na przedmieścia Suezu, 100 km od Kairu. Tego samego dnia pod naciskiem USA i ZSRS ogłoszono tam zawieszenie broni. Związek Sowiecki groził jeszcze desantem spadochronowym na Wzgórzach Golan, a w Karolinie Północnej spadochroniarze z 82. Dywizji Powietrznodesantowej wsiadali do samolotów. Było to jednak tylko prężenie muskułów. Trzy dni później zawieszono działania również w Syrii.

W wojnie zginęło ponad 2,5 tys. izraelskich i od 8 do 15 tys. arabskich żołnierzy. Izrael bezpowrotnie stracił ok. 800 czołgów i pojazdów opancerzonych oraz 100 samolotów. Straty Arabów wyniosły ponad 2,3 tys. czołgów i od 300 do 400 samolotów.

Izrael kolejny raz wygrał, a państwa arabskie zostały pokonane. O zwycięstwie zdecydowały przede wszystkim wyszkolenie i motywacja Żydów, a także zachodni sprzęt. Sprzedawca z suku, pchany do wojny przez dyktatora z Damaszku, nie był w stanie pokonać izraelskiego rezerwisty, walczącego o swoje demokratyczne państwo i rodzinę.

Percepcja wojny po obu stronach jest oczywiście zupełnie inna. W Izraelu wojnę Jom Kippur postrzega się jako przykład nieprzygotowania państwa do obrony i sprowadzenia go na krawędź katastrofy. W Egipcie i Syrii to wielkie zwycięstwo nad znienawidzonym wrogiem.

Wojna przyniosła dla Egiptu skutki zamierzone przez as-Sadata. Rozpoczęła proces pokojowy, który przywrócił mu Synaj i znormalizował jego stosunki z Izraelem. W końcu nastąpiło też pojednanie izraelsko-jordańskie. Nieprzejednana pozostała dynastia Asadów, za co słono zapłacili Syryjczycy w toczącej się od kilkunastu już lat wojnie domowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0c302ee7c4

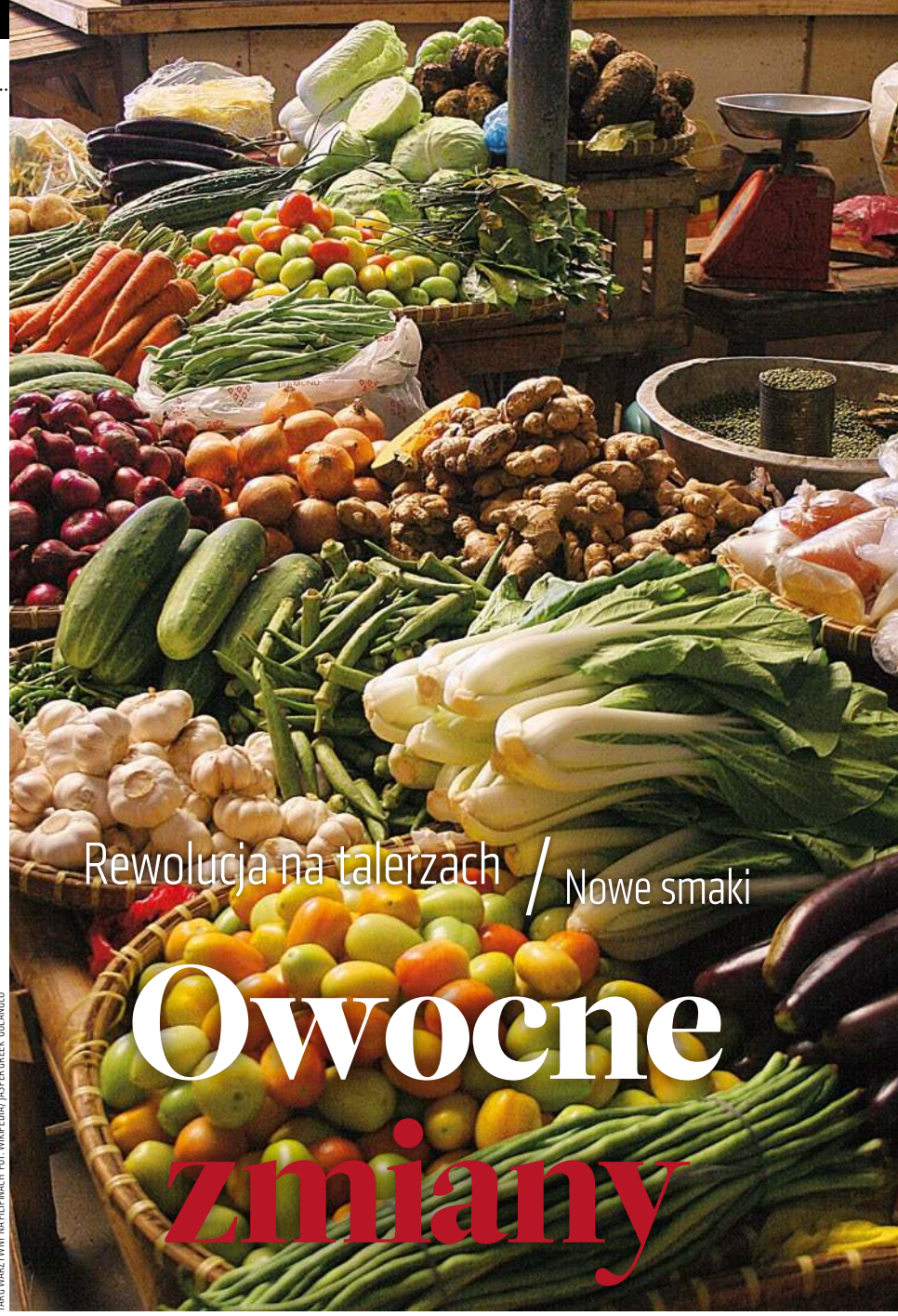


Tymoteusz Pawłowski

Rewolucja na talerzach / Nowe smaki

Owocne zmiany

Owoce i warzywa goszczące w naszych domach nie są tymi samymi, które jedli nasi przodkowie. Zmieniają się one wraz z rozwojem nauki, możliwościami technicznymi i modami. Jabłko, które zjadł Adam, wcale nie było „naszym" jabłkiem, a i maliny, które zbierała Alina, smakowały zupełnie inaczej niż maliny, które są dostępne dla nas



TARG WARZYWNY NA FILIPINACH. FOT. WIKIPEDIA / JASPER.GREEK. GOLANGCO

Co jest warzywem, a co owocem? Ta kwestia o ogromnym znaczeniu od wielu lat zaprząta umysły niemal wszystkich ludzi. Biolodzy i kucharze walczą na noże i pipety. Ci pierwsi tłumaczą, że owoc to część rośliny i pomidor jest oczywiście owocem (a dynia to jagoda). Kucharze upierają się, że botanicy muszą być szaleni, bo przecież decydująca jest różnica w smaku: owoce są słodkie, a warzywa nie. Swoje dokładają jeszcze lingwiści: owoce je się na surowo, a warzywa po uwarzeniu, czyli ugotowaniu we wrzącej wodzie.

I wówczas wchodzą do dyskusji – cali na biało – historycy, mówiąc, że wszystkie te argumenty są nieistotne, a całe zamieszanie da się łatwo wyjaśnić. Wystarczy cofnąć się 550 lat – do czasów średniowiecza. Wówczas podział był jasny: to, co wyciągało się z ziemi, było warzywem, a co zrywało z krzaka – owocem. No dobrze! – zakrzyknie czytelnik. – A co z pomidorem?! Odpowiedź jest prosta: pomidorów w średniowieczu nie było.

A co było? Były groch, cebula, korzonki i duuużo kapusty. Kapusty było tak dużo, że znudzeni nią ogrodnicy zaczęli eksperymentować i wytworzyli różne jej odmiany: kalafior, jarmuż, kalarepę, brokuł, brukselkę. Nie były one jednak zbyt popularne, trudno je było bowiem przechować przez zimę. Jadano więc głównie kiszoną kapustę z beczek, suchy groch przechowywany w workach, cebulę schowaną w piwnicy i korzonki trzymane w kopcach. „Korzonki" to marchewki i buraki, które jednak nie były zbyt podobne do dzisiejszych, te średniowieczne uznalibyśmy za blade i niewyrośnięte...

Średniowieczna dieta była mało urozmaicona. Jadano dwa posiłki dziennie. Na śniadanie: chleb z serem i cebulą, a na obiad: kaszę z soloną wieprzowiną i kapustą lub cebulą. I tak przez 365 dni w roku, a właściwie przez 365 dni, pomijając dni postne, kiedy solone śledzie zastępowały soloną wieprzowinę. Patrząc w XV-wieczne europejskie menu, przestajemy się dziwić, że Europejczycy

eprasa.pl 0c302ee7c4

wyruszyli na oceany w poszukiwaniu drogi do wysp korzennych, a w pogoni za przyprawami podbili niemal cały świat.



Martwa natura z warzywami i owocami. Obraz hiszpański z XVII w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MUSEO DEL PRADO

Idzie nowe!

12 października 1492 r. Krzysztof Kolumb zakończył średniowiecze, odkrywając Amerykę, ale musiało minąć jeszcze kilkaset lat, żeby amerykańskie warzywa i owoce zagościły na europejskich stołach. Na razie, w dopiero co rozpoczętym renesansie, cieszono się nowymi odmianami starych warzyw: kapustą włoską, pomarańczowymi marchewkami, okrągłymi selerami i białymi porami. Pory to odmiana cebuli, a właściwie czosnku, bo i cebula to... czosnek. Te nowe renesansowe warzywa dotarły do Polski z tego samego kierunku, z którego dotarła renesansowa architektura i poezja, więc nazywa się je włoszczyzną.

Ominęła nas jednak renesansowa rewolucja owocowa i wciąż jedliśmy niemal wyłącznie jabłka, a czasem śliwki. Słodkie gruszki były rzadkością, a maliny starano się dopiero udomowić. Nie zawitały do nas śródziemnomorskie słodycze, przede wszystkim owoce cytrusowe i granat, który był najpopularniejszym owocem (granat był „jabłkiem", które Adamowi dała Ewa, i to granat stał się symbolem władzy królewskiej). Owoce cytrusowe – podobnie jak kapusta czy cebula (a właściwie czosnek) – były jedynie prototypami współczesnych pomarańczy, cytryn czy mandarynek: małymi, kwaśno-gorzkimi owocami o intensywnym smaku.

Dzisiaj nie za bardzo potrafimy rozróżniać warzywa i owoce z dawnych lat. Nie było mediów społecznościowych, w których publikowano zdjęcia posiłków, książki kucharskie były bardzo rzadkie (a jeśli były, to nie zawierały obrazków), a artyści – gdy tworzyli obraz pt. „Martwa natura z talerzem owoców" – jako modele wybierali owoce ozdobne, a nie stołowe. Archeolodzy odnajdują różne pozostałości warzyw oraz owoców i zastanawiają się, jak je połączyć z opisami uczt i posiłków pisanych po łacinie, staropolsku czy staroangielsku.

Tak jest np. ze sprowadzonym z Nowego Świata złotym jabłkiem, zwanym z włoskiego pomo d'oro. Przez długi czas była to ogrodowa roślina ozdobna, której maleńkie żółte owoce rosnące w gronach zachwycały widzów, ale – jak każde psiankowate – były lekko trujące. W XVIII w. zaczęto robić z nich dżemy i przetwory – gotowanie unieszkodliwiało groźne alkaloidy – a ogrodnicy dokładali starań, aby owoce były coraz większe. W XIX w. zdołano wyhodować je duże, czerwone i pozbawione alkaloidów, nadające się do jedzenia na surowo. Przy okazji: liczba mnoga wyrażenia pomo d'oro brzmi... pomi d'oro. Pomidor!

Rewolucja

Pomidory są z nami od niedawna. Większość warzyw pojawiła się 100 lat wcześniej, w XVIII w. Wówczas na masową skalę zaczęto eksperymentować z uprawianiem i krzyżowaniem roślin, osiągając zadziwiające rezultaty. Wspaniały nasturmidor (skrzyżowanie nasturcji i pomidora) jest jedynie legendą, w którą wierzą jedynie ostatni naiwni, kalaciejka (krzyżówka kalafiora i maciejki) była cuchnąca, ale niektóre eksperymenty bywały udane. Sukces osiągnięto, m.in. krzyżując dzikie poziomki, dzięki czemu możemy cieszyć się dzisiaj smakiem truskawek. Polskie – a właściwie europejskie – poziomki nie odegrały w tym jednak żadnej roli. Truskawki powstały z ożenienia poziomek wirginijskich z poziomkami chilijskimi, wykradzionymi w 1714 r. przez francuskich szpiegów gospodarczych.

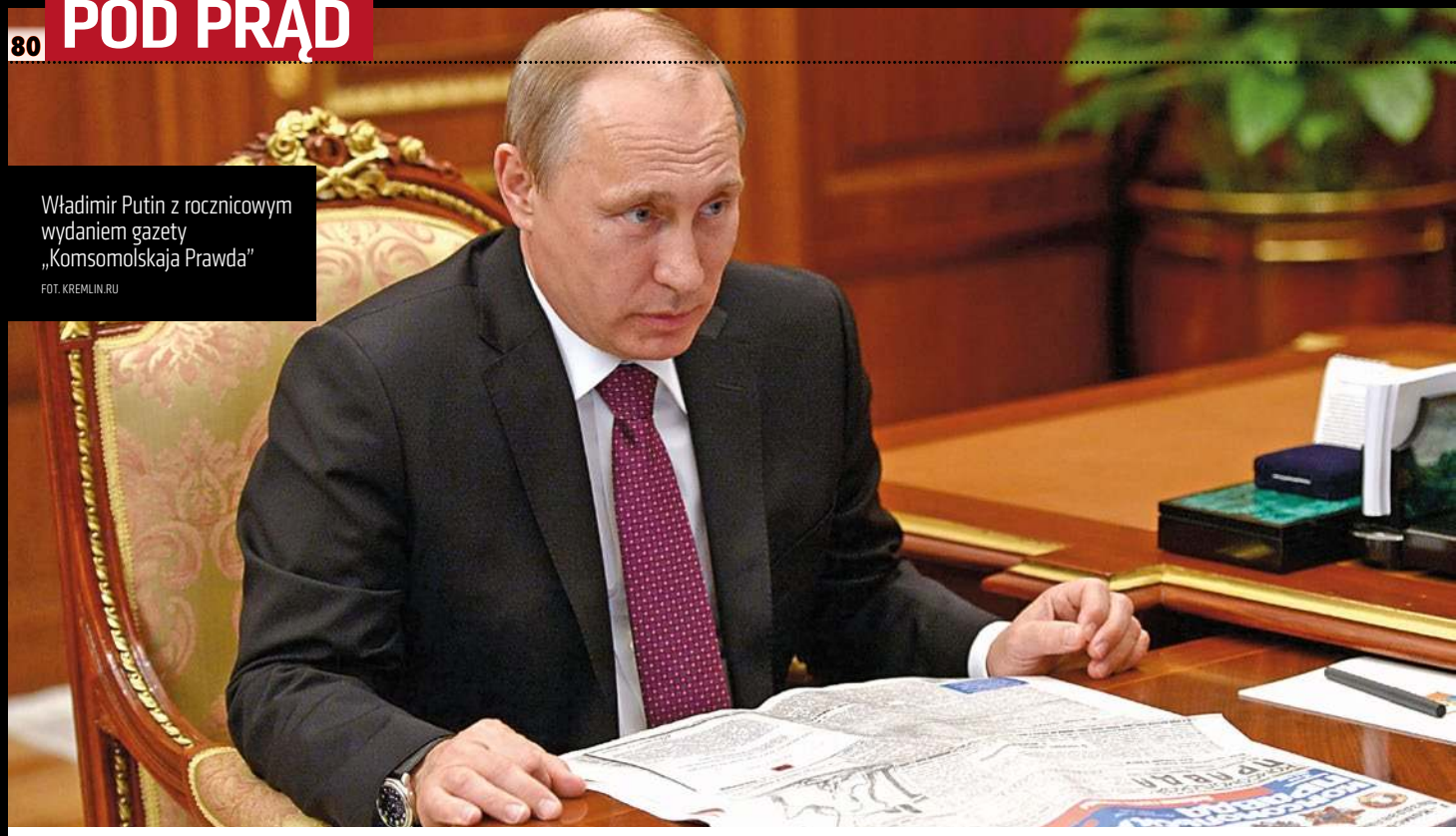
Osiemnastowieczna rewolucja agrarna towarzyszyła rewolucji przemysłowej i urbanistycznej. Wraz z rozwojem przemysłu miasta stawały się coraz większe i coraz trudniej było wykarmić miliony ich mieszkańców. Warzywa i owoce trzeba było dowieźć do miasta czy na stację kolejową, z której jechały do miasta – coraz większe znaczenie miała więc odporność na warunki podróży i na nowe metody przechowywania, przede wszystkim w chłodniach i zamrażarkach. Między innymi to właśnie dlatego ziemniaki odniosły w XIX w. sukces: łatwo było je przewozić i łatwo było je przechowywać, nic więc dziwnego, że wyparły popularne niegdyś kasze i makarony.

Jeszcze ciekawszym przypadkiem są banany. Owoce słodkie, małe, miękkie, ale mające tendencje do błyskawicznego dezintegrowania się w nieapetyczną papkę. Pod koniec XIX w. udało się jednak wyhodować w Ameryce Środkowej fenomenalną odmianę, która umieszczona w temperaturze 13 st. C zatrzymuje na cztery tygodnie proces dojrzewania. Cztery tygodnie to czas wystarczający na zapakowanie zielonych kiści bananów na statek, przywiezienie do Gdyni i rozwiezienie do sklepów, gdzie stają się żółte i apetyczne. Nie są to jednak najsłodsze i najlepsze banany, a jedynie takie, które daje się transportować. Żeby spróbować najsłodszych i najlepszych, trzeba jechać za ocean.

Niestety, jest wiele owoców i warzyw, których prawdziwego smaku nie zaznamy, nie są bowiem w stanie przetrwać transportu do Europy. Sztandarowym przykładem jest mango, owoc o rajskim smaku. Rajskim, gdy się go je prosto z drzewa. Odmiany sprzedawane w Europie przypominają go jedynie w niewielkim stopniu. Pokonanie oceanu jest dużym wyzwaniem, ale przecież są owoce, które nie przetrwają nawet podróży na drugą stronę ulicy. Takie są chociażby morwy. Można je jeść jedynie prosto z drzewa – wówczas smakują lepiej niż mango – ale nie sposób zebrać ich do koszyka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0c302ee7c4



Władimir Putin z rocznicowym wydaniem gazety „Komsomolskaja Prawda”

FOT. KREMLIN.RU

Pierwsza ofiara / Prawda w czasie konfliktów

Wszyscy kłamią na wojnie



Piotr Zychowicz

Wojna służy do realizacji egoistycznych interesów państwa. Ale nie można przecież tego powiedzieć masom! Stąd narracja, że w wojnie chodzi o wartości

Winston Churchill powiedział kiedyś, że pierwszą ofiarą wojny pada prawda. Trudno o bardziej trafne i trzeźwe spostrzeżenie. Rzeczywiście nowoczesne konflikty zbrojne toczyły się nie tylko w trzech klasycznych domenach – w powietrzu, wodzie i na lądzie. Nie mniej ważna była (i jest!) tzw. domena informacyjna.

Innymi słowy: na wojnie wszyscy kłamią. Absolutnie wszyscy. Chodzi oczywiście o to, żeby przekonać (swoich i obcych), że to my mamy słuszność. A nie przeciwnik. Że to my walczymy w sposób rycerski. A nie przeciwnik. Chodzi o maksymalne zohydzenie obrazu wroga i możliwie największe wyidealizowanie obrazu własnego.

Propaganda wojenna zyskała na znaczeniu w dobie popularyzacji środków masowego przekazu. Czyli w XIX i XX w. Wówczas służyła już nie tylko do celów stricte politycznych, lecz także do mobilizowania własnych obywateli. I demobilizowania obywateli państwa-przeciwnika.

Po rewolucji francuskiej – gdy nastała epoka gigantycznych armii obywatelskich – politycy stanęli bowiem przed trudnym

eprasa.pl 0c302ee7c4

zadaniem. Jak skłonić miliony mężczyzn do opuszczenia swoich domów i rodzin oraz pójścia na front. Do przełamania instynktu samozachowawczego i narażania życia. A także do przełamania naturalnej niechęci do zabijania bliźniego.

Nie można było przecież powiedzieć obywatelom prawdy. Czyli że wojny są przedłużeniem polityki i służą do realizacji egoistycznych interesów państwowych. Że obywatele mają umierać i zabijać w imię abstrakcyjnych dla większości z nich geopolitycznych celów.

Zdecydowano się więc wcisnąć masom bajkę, że tak naprawdę chodzi o wartości. Że oni na froncie reprezentują dobro, a przeciwnik jest ucieleśnieniem wszelkiego zła. W ten sposób można było z jednej strony wzbudzić w żołnierzach gotowość do patriotycznego poświęcenia. Z drugiej – wzbudzić nienawiść do odhumanizowanego przeciwnika.

Jako modelowy przykład takiej operacji można wskazać choćby propagandę państw ententy z czasów pierwszej wojny światowej, która opowiadała niestworzone rzeczy o niemieckiej okupacji Belgii. Zgodnie z nią „teutońscy barbarzyńcy" mieli odgryzać małym belgijskim dziewczynkom głowy i chłeptać ich krew z pikielhaub. To samo powtórzyło się podczas drugiej wojny światowej. Tylko na jeszcze większą skalę.

Jak wiadomo, anglosaskie mocarstwa morskie w systemie międzynarodowym pełnią rolę „zamorskiego strażnika równowagi sił". Oznacza to, że powstrzymują każde państwo na kontynencie europejskim (lub na Pacyfiku), które staje się na tyle potężne, że narusza równowagę. I może sięgnąć po statut kontynentalnego hegemona.

Sytuacja taka godzi w najczulsze interesy mocarstw morskich. Dlatego właśnie w XIX w. Brytyjczycy pobili Napoleona. A w XX w. Anglosasi pobili kajzera Wilhelma II. I z tego samego powodu Stany Zjednoczone poszły na wojnę z Hitlerem.

Amerykański aparat propagandowy przekonywał jednak swoich obywateli, że muszą iść na front w obronie wzniosłych wartości: demokracji i praw człowieka. Dlatego że Hitler był strasznym dyktatorem, narodowy socjalizm paskudną totalitarną ideologią, a III Rzesza dokonywała masowych mordów na niewinnych.



Plakat amerykański z lat drugiej wojny światowej

FOT. WIKIPEDIA

Masy oczywiście tę bajkę kupiły. I tylko co bardziej dociekliwi amerykańscy żołnierze zadawali sobie pytanie, dlaczego – skoro w tej wojnie chodzi o walkę dobra ze złem – ich najbliższym sojusznikiem są bolszewicy. Bo przecież Stalin też był strasznym dyktatorem, komunizm był paskudną ideologią, a Związek Sowiecki dokonywał masowych mordów na niewinnych.

Były to jednak te pytania, których – parafrazując Józefa Mackiewicza – nie wolno było w Ameryce zadawać głośno. Można było się bowiem narazić na oskarżenie o bycie faszystą i agentem Hitlera.

To samo zjawisko występowało podczas drugiej wojny światowej w Niemczech. Adolf Hitler w 1941 r. uderzył na Związek Sowiecki, ponieważ potrzebował surowców Wschodu. Ropy naftowej z Kaukazu, zboża z ukraińskich czarnoziemów. Celem każdego mocarstwa kontynentalnego jest bowiem osiągnięcie autarkii, czyli samowystarczalności gospodarczej.

Tylko wówczas może się oprzeć blokadzie morskiej założonej przez mocarstwa oceaniczne. Niemcy miały niezwykle rozbudowany, nowoczesny i potężny przemysł. Ale cierpiały na drastyczny niedobór surowców i – w dłuższej perspektywie – żywności. Podczas pierwszej wojny światowej skończyło się to dla nich tragicznie, gdy cesarska Rzesza została dosłownie zagłodzona przez Anglosasów.

Hitler nie mógł jednak powiedzieć swoim obywatelom, że mają umierać i zabijać dla… osiągnięcia autarkii przez przyszłe imperium europejskie. Wcisnął im więc kit, zgodnie z którym mają iść na front, by walczyć z bezbożnym, zbrodniczym bolszewizmem, który bezwzględnie gnębi miliony ludzi. Z tyranem Stalinem.

Masy oczywiście tę bajkę kupiły. I tylko co bardziej dociekliwi niemieccy żołnierze zadawali sobie pytanie, dlaczego – skoro w tej wojnie chodzi o walkę dobra ze złem – narodowy socjalizm niewiele różni się od komunizmu. Bo przecież III Rzesza również była bezbożnym, zbrodniczym reżimem, który bezwzględnie gnębił miliony ludzi. A Hitler również był tyranem.

Były to jednak te pytania, których nie wolno było w Niemczech zadawać głośno. Można było się bowiem narazić na oskarżenie o bycie komunistą i agentem Stalina.

Przykłady takie można mnożyć. Oczywiście najbardziej zakłamanym ze wszystkich państw biorących udział w drugiej wojnie światowej był Związek Sowiecki. To, co wyrabiała bolszewicka propaganda, zasługuje na osobny felieton. Bez wątpienia na tym polu Stalin był niedoścignionym mistrzem.

Na koniec zaś smutna konstatacja. Wojenna propaganda była tak sugestywna i wszechogarniająca, że przetrwała samą wojnę. Po zakończeniu konfliktu była powtarzana przez kolejne pokolenia powojennych dziennikarzy, polityków i „historyków". Gdy umilkły działa – zmagania wojenne przeniosły się na szpalty gazet i karty książek. Karabiny zamieniono na pióra, a czołgi na maszyny do pisania.

Szczególnie dotyczy to krajów postkomunistycznych. Najpierw przez blisko 50 lat historię zakłamywali komuniści. A po 1991 r. starą komunistyczną formę zalano nową, patriotyczną treścią. Zamiast obiektywizmu, chłodnej oceny przeszłości i bezstronnego opisania faktów – społeczeństwa w naszej części świata faszerowane są stronniczą, czarno-białą propagandą.

Wystarczy wskazać na to, co wyrabiają ze swoją historią Litwini czy Ukraińcy. U nas zaś to postkomunistyczne zjawisko nosi nazwę „polityki historycznej".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0c302ee7c4

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

JÓZEF ULMA I WIKTORIA NIEMCZAK WZIĘLI ŚLUB W 1935 ROKU. WKRÓTCE PRZYSZŁO NA ŚWIAT ICH PIERWSZE DZIECKO – STANISŁAWA (1936), A NASTĘPNIE BARBARA (1937), WŁADYSŁAW (1938), FRANCISZEK (1940), ANTONI (1941) I MARIA (1942). RODZINA MIESZKAŁA W MARKOWEJ, GDZIE ZAJMOWAŁA SIĘ OGRODNICTWEM, A TAKŻE PSZCZELARSTWEM CZY HODOWLĄ JEDWABNIKÓW. PASJĄ JÓZEFA BYŁA FOTOGRAFIA – SAM ZMONTOWAŁ SWÓJ PIERWSZY APARAT. ZROBIŁ TEŻ PRZYDOMOWĄ ELEKTROWNIĘ WIATROWĄ I JAKO PIERWSZY W MARKOWEJ MIAŁ PRĄD W DOMU.



W 1942 ROKU NIEMCY ROZPOCZĘLI AKCJĘ WYWOŻENIA ŻYDÓW Z MARKOWEJ I OKOLIC. TRAFIALI ONI DO OBOZU PRACY W PEŁKINIACH, A PÓŹNIEJ DO OBOZU ZAGŁADY W BEŁŻCU. WIELU SZUKAŁO SCHRONIENIA U SĄSIADÓW, W TYM WŁAŚNIE U RODZINY ULMÓW. ULMOWIE ZGODZILI SIĘ IM POMÓC, CHOĆ WIEDZIELI, ŻE ZA UKRYWANIE GROZI KARA ŚMIECI.



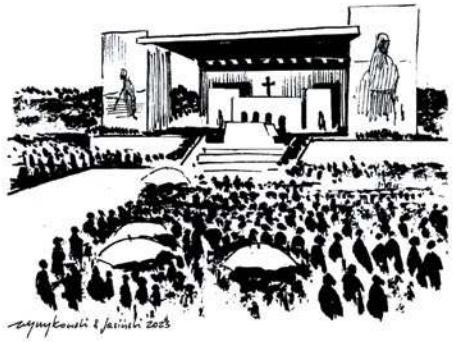
W GOSPODARSTWIE ULMÓW UKRYWAŁO SIĘ OSIEM OSÓB: SAUL GOLDMAN, JEGO CZTERECH SYNÓW: BARUCH, MECHEL, JOACHIM I MOJŻESZ, A TAKŻE JEGO KREWNE – CÓRKI CHAIMA GOLDMANA: GOŁDA I LEA ORAZ JEJ CÓRECZKA RESZLA.



JEDNAK W NOCY Z 23 NA 24 MARCA 1944 ROKU POD DOM ULMÓW PODJECHALI GRANATOWI POLICJANCI I ŻANDARMI, KTÓRYMI DOWODZIŁ PORUCZNIK EILERT DIEKEN.



NAJPIERW ZASTRZELONO UKRYWAJĄCĄ SIĘ NA PODDASZU RODZINĘ ŻYDOWSKĄ, A NASTĘPNIE JÓZEFA I WIKTORIĘ, KTÓRA BYŁA W SIÓDMYM MIESIĄCU CIĄŻY I ZACZĘŁA RODZIĆ. NA KOŃCU ZAŚ WSZYSTKIE ICH DZIECI.



OD 2018 ROKU 24 MARCA JEST OBCHODZONY JAKO NARODOWY DZIEŃ PAMIĘCI POLAKÓW RATUJĄCYCH ŻYDÓW POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ. IMIĘ RODZINY ULMÓW NOSI MUZEUM POLAKÓW RATUJĄCYCH ŻYDÓW PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ, KTÓRE OTWARTO W MARCU 2016 ROKU W MARKOWEJ.

PAPIEŻ FRANCISZEK W GRUDNIU 2022 ROKU PODPISAŁ DEKRET O MĘCZEŃSTWIE RODZINY ULMÓW. UROCZYSTOŚĆ BEATYFIKACYJNA ODBYŁA SIĘ 10 WRZEŚNIA 2023 ROKU. WŁĄCZONO TYM SAMYM JÓZEFA I WIKTORIĘ ULMÓW ORAZ ICH SIEDMIORO DZIECI DO GRONA BŁOGOSŁAWIONYCH. DO MARKOWEJ PRZYJECHAŁO OKOŁO 37 TYSIĘCY WIERNYCH ABY UCZESTNICZYĆ W MSZY ŚWIĘTEJ. BYŁA TO PIERWSZA BEATYFIKACJA CAŁEJ RODZINY W HISTORII KOŚCIOŁA.

eprasa.pl 0c302ee7c4

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

HISTORIA DO RZECZY

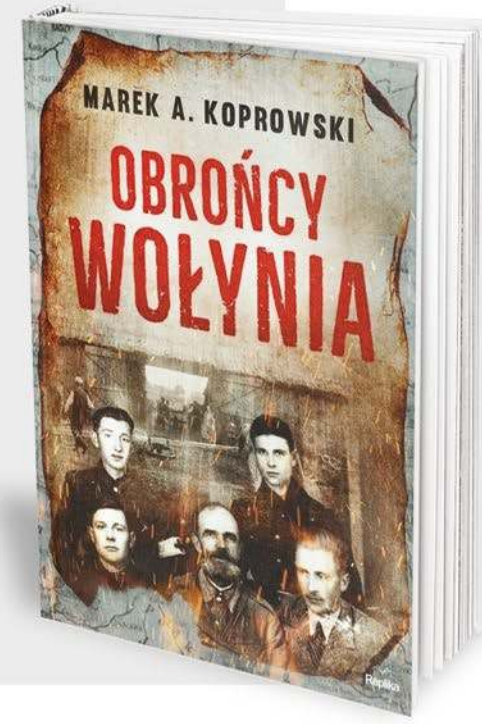
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA MAREK A. KOPROWSKI: „OBROŃCY WOŁYNIA”

Członkowie polskiej konspiracji na Wołyniu występowali w obronie zagrożonej ludności, przeciwko mordom i masowej eksterminacji. O polską rację walczyło wielu bohaterów. Zorganizowany opór wobec okupanta pojawił się na Wołyniu już w kilka tygodni po zajęciu tego terenu przez Sowietów. Samodzielne grupy konspiracyjne składały się najczęściej z młodych, niedoświadczonych zapaleńców, dlatego Sowieci rozbijali je bez trudu. Związek Walki Zbrojnej skierował na Wołyń oficera mającego zmontować tam siatkę organizacyjną. Ją również rozbito bardzo szybko, a Sowieci dokonali masowych aresztowań, zatrzymując ponad dwa tysiące osób. Utrudniło to niezmiernie zbudowanie struktur konspiracyjnych po wkroczeniu Niemców.

Komenda Główna ZWZ-AK powołała tam do istnienia struktury „Wachlarza”, miał też powstać Okręg AK, ale wszystko skończyło się gigantyczną „wsypą” i aresztowaniem kolejnych dwustu członków konspiracji, co ponownie ogromnie ją osłabiło. W efekcie niektórzy Wołyniacy zaczęli tworzyć samorzutne oddziały samoobrony. Były one zalążkiem legendarnej 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK – formacji stanowiącej absolutny fenomen nawet w skali Polskiego Państwa Podziemnego.

Pamiętając, że historia poznawana przez pryzmat indywidualnych ludzkich losów jest ciekawsza od narracji ogólnej, niniejsza książka przybliża kilkunastu bohaterów, którzy trwale zapisali się w dziejach Wołynia. Są to zarazem dzieje polskiego oporu wobec trzech wrogów: Sowietów, Niemców i Ukraińców.



146 zł

oszczędność 47 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 0c302ee7c4

Gramy z mistrzem Polski!

zondacrypto
Trade tomorrow, today

Weź udział w naszym konkursie!

Do wygrania
do 2 500 USD
w bitcoinie!

Dowiedz się więcej



Niniejsza treść nie stanowi porady inwestycyjnej, porady finansowej, porady handlowej ani żadnego innego rodzaju porady i nie należy jej traktować jako takiej; zondacrypto nie zaleca kupna, sprzedaży ani posiadania żadnej konkretnej kryptowaluty. Inwestowanie w kryptowaluty wiąże się z wysokim ryzykiem. Istnieje ryzyko utraty zainwestowanych środków w wyniku zmian kursów wymiany kryptowalut.

eprasa.pl 0c302ee7c4